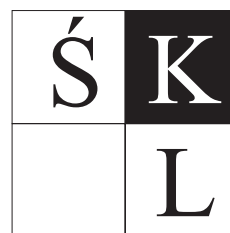


ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2015 NR 3-4 (49-50)
ISSN 1429-849-X

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO



Uta Przyboś: *Dosiego Roku*

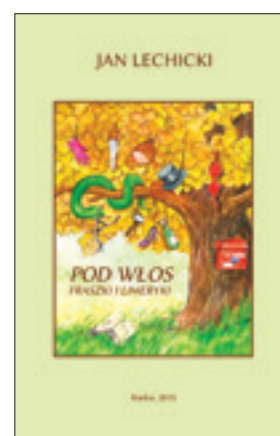
Nagroda „SKL” dla JANA LECHICKIEGO za całokształt twórczości literackiej



Statuetka z krzemienia pasiastego – nagroda „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”. Pomysł i współpraca Kazimierz Ryk, wykonanie statuetki mgr inż. Andrzej Wilk



Od lewej: Andrzej Wilk i Kazimierz Ryk gratulują Janowi Lechickiemu przyznania nagrody-statuetki za twórczość literacką, którą podczas Wieczoru świętokrzyskich literatów w KCK 4 września 2015 wręczył redaktor naczelny „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” Stanisław Nyczaj



JAN LECHICKI urodził się w 1931 roku w Łagowie na Kielecczyźnie.

Z zawodu jest lekarzem (specjalista medycyny ogólnej, organizacji ochrony zdrowia i pediatrii). Debiutował jeszcze podczas studiów w „Medyku Krakowskim”. Artykuły, wiersze, opowiadania, fraszki i aforyzmy drukował w „Kamieniu”, „Odgłosach”, „Słowie Ludu”, „Przemianach”, „Służbie Zdrowia”, „Eskulapie Świętokrzyskim”, „Ikarze”, „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”, a ponadto w almanachach: *Bazar*, *Spektrum 3*, *Słowo*, *Nad Czarną*, *Nowe figliki*, *Aforyzmy polskie*, *Wielka księga myśli polskiej*, *Księga aforystyki polskiej XXI wieku*.

Wydal: zbiory wierszy *Kształt bólu* (1980), *Przetaczanie myśli* (1990), *Fraszki i aforyzmy* (1991), zbiór opowiadań *Tomograf duszy* (1993), aforyzmy *Nagiej prawdy się nie ubiera* (1995), zbiór prozy wspomnieniowej i wierszy *Okruczy dzieciństwa* (1996), zbiór fraszek, aforyzmów i humoresek *Widziane zezem* (1997), zbiór opowiadań *Zapiski prowincjonalnego lekarza* (1999), zbiór wierszy *Pojedynek z sobą* (1999), miniatury prozą *Wysupłane z pamięci* (2002), zbiór opowiadań i wspomnień *Odpryski* (2005), zbiór aforyzmów i sentencji *Myśli nieokiełznane* (2009), zbiór *Myśli o zdrowiu, chorych i lekarzach oraz humor i satyra medyczna* (2012).

Znane są też jego książki popularyzujące wiedzę medyczną na temat uzależnień: *Co wiem o alkoholu i alkoholizmie* (1986), *Narkomania w szkole – problem medyczny i pedagogiczny* (1992), *Postępowanie w uzależnieniach i innych patologiach w szkole* (2007), *ABC–Kierowca–Alkohol–Narkotyki* (2014).

Za działalność literacką i zawodową otrzymał m.in. Krzyż Kawalerski OOP, odznakę „Zasłużony Działacz Kultury”, II nagrodę miasta Kielce za osiągnięcia w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechnienia i ochrony kultury, II nagrodę Marszałka Województwa Świętokrzyskiego za dokonania w dziedzinie twórczości literackiej. Laureat ogólnopolskiego konkursu literackiego im. Mikołaja Reja. Otrzymał dwie III nagrody w konkursie Ministerstwa Zdrowia pn. „Społeczna inicjatywa w doskonaleniu opieki nad pacjentem”.

ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X
KIELCE 2015 NR 3-4 (49-50)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach
Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5

**Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy
Samorządu Województwa Świętokrzyskiego
i Wodociągów Kieleckich Sp. z o.o.
przy współdziałaniu Oficyny Wydawniczej „STON 2”
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach**

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP
STANISŁAW NYCZAJ – prezes, redaktor naczelny
BEATA KĘPIŃSKA – sekretarz, BENEDYKT KOZIEŁ – wiceprezes, JAN LECHICKI – wiceprezes
EWA MARIA WOJTASIK – skarbnik
oraz KRYSZYNA CEL

Korekta: IRENA NYCZAJ
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie utworów i artykułów do publikacji.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów,
a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „SKŁ”.

OD REDAKCJI

Wieczór świętokrzyski na otwarcie 44. Warszawskiej Jesieni
Poezji. Laury WJP. M. Wawrzkiwicz: *Wojna* 5

TWÓRCZOŚĆ – ESEJE – RECENZJE

E. Musiał: fragm. poematu <i>Mówię pochyloną cambrią</i>	8
Z. Antolski: <i>Czwarty wymiar miłości</i>	9
B. Wrońska: wiersze.....	11
Sz. Wroński: wiersze	12
M. Kania o nowych książkach Sz. Wrońskiego	13
A. Piskulak: wiersze z tomu <i>Lirobranie</i>	16
E. Zyman o poezji A. Piskulaka	17
T. Staszewski o XV Światowym Dniu Poezji w Staszowie 20	
S. Nyczaj, St. Jurkowski, J. Lechicki o Staszowskim	
Lecie Literackim.....	25
A.M. Musz o <i>Pamiętce</i> ... St. Jurkowskiego.....	29
Z pleneru literackiego w Staszowie	32
W 45. rocznicę śmierci J. Przybosa o tomie M.A. Łypa.....	33
Promocja nowego tomu poetyckiego Uty Przyboś	40
Uta Przyboś: wiersze.....	41
J.A. Borzęcki: francuskie wydanie powieści <i>Mniszka</i>	43
Czerwona kartka (fragm. nowej powieści).....	43
J.A. Borzęcki o poezji J. Kłaczyńskiej.....	47
T. Stolarski o poezji B. Koceli	49
B. Kocela: wiersze.....	54
H. Morawski: wiersze.....	56
K. Świegocki i K. Cel o poezji S. Nyczaja.....	57
S. Nyczaj: nowe wiersze.....	61
M. Szafran: <i>Z kroniki kazimierskiego pleneru</i>	63
K. Ryk: wiersze.....	67
S. Bartos: <i>Pod przymkniętą powieką</i>	68
T. Stolarski o M. Szyszkowskiej	69
E. Stangrodzka i L. Luty: wiersze kazimierskie	74
B. Kępińska o poezji Z. Walas.....	75
Z. Walas: wiersze z tomu <i>W żywicy słów</i>	76
I. Paździerz o nowych książkach A. Błachuckiej	77
I. Paździerz: <i>Aniołom śmierci</i>	80
M. Węgrzynowicz-Plichta o poezji E.M. Wojtasik	81

M. Węgrzynowicz-Plichta: wiersze z tomu <i>Artefakty</i>	84
K. Cel o powieści <i>Miłość i wojna</i> J. Chruślińskiego	86
K. Cel: nowe wiersze	88
P. Borowska: fragm. powieści <i>Źródło Biruty</i> wyróżnionej	
w II Konkursie im. St. Żeromskiego	89
B. Kozieł: <i>Stare domy</i> (z antologii WJP).....	91
I. Kaczmarczyk o Świetłanie Aleksijewicz	92
B. Wrocławski: <i>Archeologia</i>	94
A. Dębkowski: „... ku gwiazdom?” (z antologii WJP)	95
E. Jach o nowych tomikach-miniaturach z serii „Liście”: M.	
Kruk, K. Metzger, P. Skrzypczyńskiego, A. Zakrzewskiej	96
J. Lechicki: nowe wiersze	99
W. Nowik-Pala o nowym tomie poetyckim S. Stanika	101
S. Stanik: <i>na łące poświętniańskiej</i>	102
M. Domagała o liryce męża W.J. Domagały.....	104
Z. Antolski: <i>Ostatni podryw elewa Walczaka</i>	106
K. Szczykutowicz: z nowych utworów	110
Wiersze z antologii WJP:.....	112
R. Bielendy <i>Ogród zapachów</i>	112
A. Błachuckiej <i>Sonet sierpniowy, Redukcja obyczajów</i> ..	112
I. Stopierzyńskiej-Siek <i>włókno życia</i>	112
M.A. Zarębskiego <i>Przemijanie</i>	112
B.M. Sierakowska <i>Wirtualnie i realnie</i>	114
E. Strzałkowska: <i>Na chwilę</i>	115
M. Jedlecki: wiersze	116
H. Jachimowski: wiersze	117
J. Daniel: <i>Pożegnanie Stefana Żeromskiego</i>	119
J. Rychner: <i>Wyjątkowa opowieść o najnowszej historii</i> ..	123

WSPOMNIENIA

125

Wspomnienia o Piotrze Szczerskim (1953–2015).....	125
G. Kozera: <i>Piotr Szczerski – kronika zapowiedzianej</i>	
<i>śmierci</i>	125
G. Rak: <i>Dyrektor</i>	127
<i>Postscriptum</i> od S. Nyczaja.....	129
Wspomnienie o Andrzeju Pedrycu (1955–2015)	130
Konrad Sutarski: <i>Pożegnanie naukowca i poety</i>	130
<i>Postscriptum</i> od S. Nyczaja.....	131



ZARZĄD
KIELECKIEGO ODDZIAŁU
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

serdecznie dziękuje

panu ANDRZEJOWI DĄBROWSKIEMU

dyrektorowi Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach

za dotychczasową życzliwą pomoc okazywaną świętokrzyskiemu środowiskowi literackiemu
– w tym zwłaszcza pisarzom skupionym w naszym Oddziale –
w różnych formach promocji ich twórczości ze szczerego serca w gościnnej zawsze siedzibie
także poprzez wartościowe publikacje książkowe
i wspieranie „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”

Z wielką wdzięcznością
i najlepszymi życzeniami



Wieczór świętokrzyski na otwarciu 44. Warszawskiej Jesieni Poezji

8 października w auli Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu przy imponującej liczbie widzów – wypełnionej głównie przez miłośników literatury z Warszawskiego Klubu Przyjaciół Ziemi Kieleckiej (z prezesem honorowym Stanisławem Bartosem, sekretarzem Robertem Kowalczykiem, płk. Ryszardem Piwowarczykiem) – miała miejsce gala świętokrzyskich poetów. Zespołowa prezentacja od siedmiu lat w przeddzień WJP ponawiana (wcześniej w bibliotekach Ursynowa, Mokotowa, Bibliotece Głównej Miasta Stołecznego na Koszykowej), tym razem, jako już na dobre zadomowiona, wpisana w ścisły program festiwalu. Wystąpili przede wszystkim literaci (nie wszyscy, jacy chcieli, z powodu różnych osobistych uwarunkowań), ale także ci, którzy nas organizatorsko wspomagają, mają pewien, premiujący ich poetycki dorobek w postaci wydanych profesjonalnie tomików.

Po recytacji dwu własnych wierszy zapraszam więc na scenę kolejno: Annę Błachucką, Romualda Bielendę, Beatę Kępińską, Benedykta Kozieła, Henryka Morawskiego, Irenę Paździerz, Andrzeja Piskulaka, niedowidzącą Irenę Stopierzyńską-Siek (z jej lektorem mężem Januszem), Kazimierę Szczykutowicz, Zofię Walas, Marię Włodno, Ewę M. Wojtasik, Iwonę Zielińską-Zamorę (z recytacją Janusza Sieka), jak również Stanisława Bartosa i Annę Zielińską-Brudek. Tę ostatnią w podwójnej roli, bo prócz swoich wierszy przeczytała fragmenty z poematu *Mówię pochyloną cambrią* Elżbiety Musiał, która w tym samym czasie w Batidzie przy Placu Konstytucji honorowana była za ten poemat nagrodą „Czwartego Wymiaru” im. Piotra Kuncewicza, dopiero co przez miesięcznik ustanowioną. Wieść o tym wydarzeniu obwieściła, tryumfalnie wkroczywszy do auli, Aldona Borowicz – prezeska Warszawskiego Oddziału ZLP.

Wieczór ubarwiły piosenki z repertuaru Anny German i Anny Jantar, śpiewane przez Małgorzatę Siemieniec z Kielc, chętnie partnerującą naszym występom. Na koniec Jan Rychner (przewodzący warszawskiemu Stowarzyszeniu „Nasza Twórczość”) zaśpiewał pieśń Bułata Okudżawy *Dopóki Ziemia kręci się...*



Z grona literatów gościliśmy na wieczorze ponadto:

- prezesa Szczecińskiego Oddziału ZLP (członka Zarządu Głównego) Leszka Dembka,

- wielce przychylnego naszemu środowisku Aleksandra Nawrockiego (red. nac. „Poezji dzisiaj” i Wydawnictwa Książkowego IBIS), o którego podwójnym jubileuszu piszemy w tym numerze,

- znakomitych eseistów: Wiesławę Olbrych, Kazimierza Świegockiego (także cenionego jako poetę),

- pisarzy związanych swą biografią z Kielecczyną: Jana Chruślińskiego, Piotra Dumina, Stanisława Grabowskiego, Pawła Sorokę, Stanisława Stanika, Marlenę Zynger (red. nac. „LiryDramu”),

- uczestników prowadzonych przeze mnie (jako komisarza) plenerów nadmorskich i kaziemskich: Krystynę Guranowską-Stolarz, Lidę Lewandowską-Nayar, Wandę Stańczak (z grupą członków kierowanego przez nią warszawskiego oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich).

Znany czytelnikom „SKL” poemat Elżbiety Musiał z lektury poprzedniego numeru – z pokłosa II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego – jest od niedawna dostępny w całości w wydaniu książkowym (zamówienia można kierować na adres Wydawnictwa Nowy Świat: 00-366 Warszawa, ul. Kopernika 30, tel. 22 826 25 43). Trafnie i ciekawie interpretuje go na naszych łamach Zdzisław Antolski.

Stanisław Nyczał



Fot. Grażyna Sosenko



Elżbieta Musiał – laureatka nagrody im. Piotra Kuncewicza przyznanej przez miesięcznik „Czwarty Wymiar”



Wieczór ubarwili wokaliści Małgorzata Siemieniec i Jan Rychner



Laury 44. Warszawskiej Jesieni Poezji

Nagrodę Literacką im. Jarosława Iwaszkiewicza – za całokształt twórczości literackiej – otrzymał prof. dr hab. Andrzej Gronczewski, zasłużony literaturoznawca, krytyk literacki i eseista. Uznanie jury konkursu 44. Warszawskiej Jesieni Poezji zyskała w szczególności jego redakcja „Dzienników” Iwaszkiewicza.

Nagrodę Iwaszkiewicza w kategorii upowszechniania literatury przyznano poecie Ireneuszowi K. Szmidtowi, prezesowi Oddziału ZLP w Gorzowie Wielkopolskim.

Podczas tegorocznego międzynarodowego festiwalu poezji przyznano także Nagrodę Literacką im. Juliusza Słowackiego. Otrzymał ją – za całokształt twórczości literackiej – poeta, prozaik i tłumacz literatury, wieloletni prezes ZLP Marek Wawrzkiwicz.

Z antologii WJP *I to jest nasze życie*

(Tytuł antologii został zaczerpnięty z wiersza bez tytułu Jarosława Iwaszkiewicza z cyklu *Mapa pogody*. Jarosław Iwaszkiewicz, zmarły przed 35 laty, patronował tegorocznej WJP. Jemu właśnie poświęcił słowo wstępne prezes naszego Związku Marek Wawrzkiwicz).

Marek Wawrzkiwicz

Wojna

Szarobiałe obłoki. Opona na niebie.
Słońce zaledwie przez nią prześwituje,
Ale dzień zapowiada się parny i upalny.
Bezsilny księżyc pojawia się tylko o świcie,
Niczego nie obiecuje i niczym nie wabi.

Dotykam cię nieśmiałą myślą i nawet nie wiem,
Czy chcesz się przed tym bronić. Jesteśmy przecież
[zmęczeni
Bezkrwawą wojną z sobą i losem. Skryłaś się
[w okopie
Skąd niekiedy widać dym polowej kuchni.

Verdun. Woń gazu musztardowego i iperytu.
Wchłaniamy ją tak długo, że już nie truje,

Fundatorem obu nagród jest Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

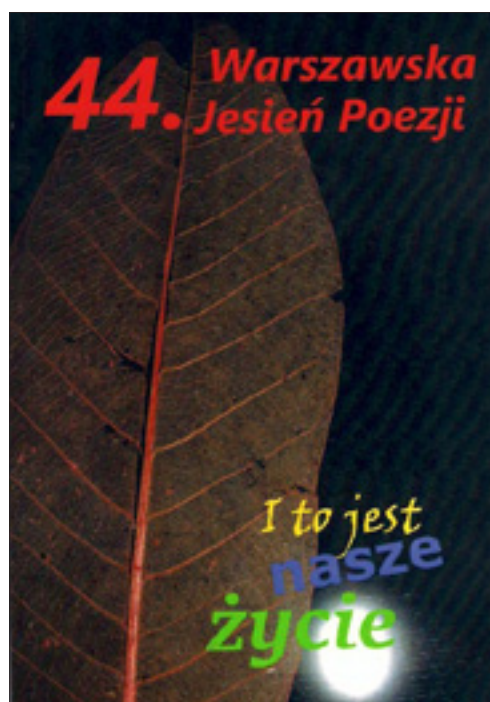
W tym roku podczas WJP po raz pierwszy przyznano specjalną nagrodę „Dodatkowa recenzja” dla młodego poety (do 30 lat). Otrzymał ją Arkadiusz Kwaczek za książkę *Światy równoległe* (Fundacja Duży Format, Warszawa 2014). Statuetkę ufundowali z prywatnych środków Aldona Borowicz i Andrzej Tchórzewski.

Jan Cichocki – sekretarz Oddziału Warszawskiego ZLP

<https://zlpwarszawa.wordpress.com/2015/10/12/laury-44-warszawskiej-jesieni-poezji/>

Jest słodkawa jak niespełnienie i ewentualność
Zawieszenia broni. Wierni przysięgom
Trwamy w sobie i przeciwko sobie. Nie kusi mnie
Niewierność. Zbyt krótkie są przesmyki
Między nocą a dniem. Są wprawdzie brzaski,
Ale znużeni najczęściej je przesypiamy.
Z głowami na piasku, z myślami jak piasek
Pełen niewybuchów.

**SERDECZNIE GRATULUJEMY
ZASZCZYTNEJ NAGRODY!**



Elżbieta Musiał

Wybrane fragmenty (z części *Meksykański danaid* poświęconej Fridzie Kahlo) z poematu *Mówię pochyloną cambrią*

Gipsowy gorset w motyle. Zaczęłaś
od obrazu najcięższego. W odpowiedzi danaidy
[wędrownie
opadły na więzione ciało. Żyły dłużej niż
jeden dzień i karmiły się buntem przeciw wyroczeni.
Pozostały z tobą nawet wtedy, gdy kruk
na dobre rozsiadł się na twarzy.

Kruk to jest zwierzę zawiste nad skupionym spojrzeniem
w portrecie. Kruk to są te dwa czarne skrzydła krzaczaste
nad parą oczu. Chyba nigdy nie myślałaś o nich
w ten sposób.

[...]
Plątanina korzeni i liści wokół. Ale wcześniej twarz
dziewczyny, widzisz ją w lustrze. Kobieta, którą malujesz,
leży w pośnaniu na znak, a lustro jest wprost nad tobą
zamiast baldachimu. Kobieta, którą najlepiej znasz,
ma na imię Frida. Dlatego dojrzałym kolorem Meksyku
zapisujesz jej ból. Już wiesz, że on namacalny i może być
wszędzie, nawet na kawałku zagruntowanej płyty.

Tropikalnych roślino-zwierząt z rojeń nie zna
żaden album. Mają nieodparty
aspekt cielesny. W konsekwencji powinno
dochodzić do wytrysku i dochodzi.
Potem z sutka kapie życiodajne mleko. Karmisz nim
trójkę swoich nienarodzonych dzieci i jego. On to jest
Diego, twój mąż *fizjologicznie niezdolny do wierności*⁹.

[...]
Na obrazach zakładasz maskę. To raczej przedmioty
w tle mówią, co czuje Frida. Kolia z cierni i anatomiczne
szczegóły widziane przez skórę. I danaidy
gotowe do zwycięstwa. Motyl to jest takie zwierzę,
które w kruczych włosach śpiewa zmartwychwstanie.

[...]
Za oknem pomrukuje Mexico City. Tam mniej folkloru
niż w twoim stroju. Dokąd się wybierasz?
Do nocnej knajpy? Tango i tequila na złość Diego? Będzie
tłum mężczyzn, ale czy do tańca stanie kobieta, z którą
w noc pójdziesz? Nie wszystkie są Josephine Baker zdolne
do wolności. Ale idź i bierz, ile uniesiesz.
Ból będzie z tobą.

[...]
Po co mi stopy, skoro mam skrzydła? – napisałaś
[w dzienniku,

nim odpiłowali. Zanim odeszłaś. Czy znikąd spojrziałaś
jeszcze na ten dzień powrotu ze szkoły, szczebiotliwy
i młodzieńczy, który nagłością wdarł się w życie
i zegary nazwał cierpieniem?

Więc czy z odwróconej perspektywy zerknęłaś
na filigranowe ciało leżące bez ruchu na bruku?

[Przebił je
pręt długi, twój drugi kochanek. Na szczęście dzień

[wcześniej
zdążyłaś to zrobić z Alejandro w ciemnym pokoju
rodzinnego domu. Nawet pył złoty jak na zamówienie
sypał się z nieba podczas kraksy. Krew, złamana miednica,
kręgosłup, obojczyk i w jedenastu miejscach noga,
ta koślawka po polio. I na to wszystko złoty pył opada.
Cudna pointa drogi i scena gotowa do filmu.

Obstawiam, że jednak odwróciłaś oczy od cielesnego
wroga, który nie opuścił cię nawet na chwilę. I spojrziałaś
na Diego, jak dzień z rąk mu wypada
i płaczą się nogi. To nic, że zdrada.

Było przecież szczęście, a nawet
pogoda ustawiana w kadrze. Dwoje ludzi
związanych obrazem po zawsze.

Jedność to jest takie zwierzę z baśni, które najpierw
jest pragnieniem, a gdy już w nie uwierzysz, smutnieją
[drogi.

Droga to obraz mierzony bólem i chwilą
z pojawiającym się na ułamek drugim człowiekiem.
Za zakrętem pochłania go już inna ścieżka
i wierzy, że winien jest jej wszystko.
Chwila i zmiany – tylko one.

Elżbieta Musiał



Meksykański danaid – grafika Elżbiety Musiał

Czwarty wymiar miłości

Poemat Elżbiety Musiał *Mówię pochyloną cambrią* otrzymał I nagrodę w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, a także



nagrodę „Czwartego Wymiaru” im. Piotra Kuncewicza – za wartości metafizyczne – na ostatniej Warszawskiej Jesieni Poezji. Nieco wcześniej autorka otrzymała także brązowy medal *Gloria Artis*. Bardzo to trafna kandydatura w konkursie im. Kuncewicza, bo

tomik istotnie przesiąknięty jest ponadczasowymi wartościami, oddaniu się sztuce i miłości.

Utwór składa się z czterech części, a każda z nich poświęcona jest innym artystom. Poemat Elżbiety Musiał pisany jest metodą patchworkową, każda postać przedstawiana jest jakby przez narratora, a może biografę, który jest także krytykiem, znawcą sztuki, a te wersy przeplatane są z osobistymi wypowiedziami bohaterki, a czasem nawet przez sam obiekt sztuki artystycznej (!). Ale to nie wszystko, włącza się też głos współczującej autorki, poetki, która zwraca się wprost do bohaterki poematu ze słowami zrozumienia, pociechy, podziwu, a czasem krytyki.

Całości dopełniają przypisy (jak w książce naukowej, wyjaśniającej czytelnikowi szczegóły z biografii artysty, lub definiujące jego warsztat artystyczny). Ale w sumie, ten przecież trudny materiał podany jest bardzo lekko słowami, które wprost suną w powietrzu.

1. Czwarty wymiar

Bohaterami pierwszej części poematu są: Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński. Związek ten, dwojga wybitnych artystów awangardowych (Strzemiński był także teoretykiem sztuki) bardzo burzliwy i pełen dramatyzmu, którą można zamknąć w stwierdzeniu: od miłości do nienawiści.

Ich życie przypadło na straszny okres I i II wojny światowej. Podczas okupacji Kobro podpisała tzw. „listę rosyjską”, czym Strzemiński był bardzo oburzony i co zapoczątkowało duchowy rozkład ich związku.

Oto refleksje o rzeźbach Katarzyny Kobro, która była prekursorką sztuki wirtualnej:

„Wiszę wbrew prawu ciężenia. Jestem owalnym kamieniem wspartym o pręt cienki jak nitka. Jedna z nieludzkich planet ludzkiego układu krążenia. Lewituję dzięki twojej wyobraźni i sprawdzam na sobie czwarty wymiar”.

A potem autorka zwraca się wprost do Kobro:

„Brak emocji w rzeźbach. Może życie przejrzało się w ich zwierciadle, może najpierw kochałaś za mocno na dobre, a potem złe przyszło”.

W tym fragmencie poematu rozważania o sztuce przeplatają się z obrazami z życia niezwyklej pary artystów, gdzie miłość i poświęcenie przeplatają się z nienawiścią i obojętnością. Do tego dochodzi zazdrość na tle artystycznych dokonań, poszukiwanie tożsamości i wyrzuconych na śmietnik dzieł sztuki. Szaleństwo i geniusz – w lapidarnej formie, piórem Elżbiety Musiał, która staje się trzecią osobą dramatu. Zaiste: mieszanka wybuchowa. Nie chcę tu mnożyć cytatów, bo najlepiej, jeśli czytelnik sam przeczyta poemat w całości.

2. Meksykański danaid

To poetycka opowieść o Fridzie Kahlo, meksykańskiej artystce, która mimo upośledzenia i wypadku była wybitną artystką. Jej mężem był inny artysta, Diego Riviera. Ten dziwny związek, podobnie jak poprzedni, był bardzo burzliwy. Ale poetkę, Elżbietę Musiał, interesuje raczej sens życia człowieka w ogóle, jego powołanie artystyczne, które jest zarówno przekleństwem, jak i wybawieniem, niż fakty z życia. Sztuka, która zwycięża ból i przemijanie, nadaje sens. Znów w sposób zwarty poetka snuje swoje rozważania na kanwie życia wybitnej artystki.

O Fridzie poetka pisze:

„Dziś znów wpięłaś we włosy organy generatywne roślin, twój znak i aureolę. Na szyi spoczywają prekolumbijskie korale z jadeitu, zielona

spódnica do ziemi zaślania kołkowatą nogę. Frido, stoisz tak po dziś dzień. A obok on z miniaturową paletą, wielki jak słoń albo ropucha przy gołębiczy”.

3. *Corpus delicti*

Kolejny „odcinek”, fragment poematu, poświęcony jest miłości Camille Claudel do Augusta Rodina. Camille była starszą siostrą poety Paula Claudela, rzeźbiarką. Została kochanką Rodina, zaszła z nim w ciążę i poroniła. Zapadła na chorobę psychiczną, w wyniku której zniszczyła wiele swoich rzeźb. Resztę życia spędziła w szpitalu psychiatrycznym, opuszczona przez rodzinę, odwiedzana jedynie sporadycznie przez brata.

„Sprawdzam, czy łatwiej miłość wyrzeźbić w marmurze. Dwadzieścia lat wydobywam z niego dziesięciopalce dłonie zrosłe z rylcem. Już płynie przez nie kamień jak mistyczna woda. Moja rozpacz wielka. Rodin, Rodin, Rodin!”.

Ciekawy jest głos autorki poematu zwrócony do tragicznej rzeźbiarki:

„Jestem kobietą. Przyszłam wiek po tobie. Mówię pochyloną cambrią i mam pewien kłopot. Ja w odruchu solidarności mogłabym co najwyżej książki utopić, lecz Sekwana tu nie mieszka. Zresztą, po co mi twoja rzeka. W każdej z nas jakaś inna płynie”.

4. Reinkarnacje, czyli prawdy i kłamstwa

Ostatni „życiorys poetycki” dotyczy postaci Elinor Wylie Morton (1885–1928) amerykańskiej poetki, która miała burzliwe życie osobiste. Ten fragment jest najbardziej ezoteryczny, bowiem obraca się w kręgu horoskopów, reinkarnacji, rozważań, czy męczyzna może być w poprzednim wcieleniu kobietą, intuicji na stylu kobiecości i męskości, pożądania i odrzy, przeczuć, erotyzmu i śmierci.

Łatwość czytania tego poematu jest pozorna. Mieści on w sobie multum znaczeń i odniesień, jak karty Tarota. Ten tekst nie jest jedynie do „czytania”, ale raczej do „medytowania” i „przeżywania”. Emocje i chłodna ocena mieszają się ze sobą, powodując zawrót głowy. Zależnie od przygotowania duchowego, można w nim odkrywać coraz to nowe znaczenia, tajemne przejścia i związki. Ale też trzeba bacznie uważać, bo przecież gdzieś tu w czterech ścianach wiersza czai się obłąd, jakiemu w którymś momencie życia uległy bohaterki poematu. A wszak od geniuszu do obłąd

jest nieraz bardzo blisko. I poemat zaczyna nas wciągać w swoje mroczne, węzowe zwoje i zaczynamy ulegać odurzeniu szaleństwem sztuki.

Zaczynamy się dosłownie dusić od natężenia metafizycznych znaczeń i zagadek. Pod powierzchnią gładkiego i pogodnego lustra wody poematu czai się mroczna głębia, w której pływają harpie i węże obłąkanej miłości do sztuki, pragnienia pełnego zespolenia ciał i dusz. Niepostrzeżenie poemat wciąga nas w swój labirynt, a jednocześnie sam wychodzi ze słów i oplata nasze życie, nasze wewnętrzne obrazy, ocalone z przeszłości, nadając im obsesyjnych znaczeń. Są bowiem w poemacie dziwne zawirowania, które wciągają nas w swój niedocieczony umyślny bezmiar wyobraźni. Zaiste, zadziwiająca i magiczna pod każdym względem książeczka.

Autorce udało się uniknąć szczęśliwie patosu i współczucia wobec swoich bohaterek. Prowadzi z nimi dialog, a jednocześnie dokonuje wiwisekcji ich dusz, nie cofa się przed ukazaniem ułomności ciała. Ten poemat zdaje się wprowadzać czytelnika w „czwarty wymiar”, metafizyczną krainę, gdzie rozmawiamy z duchami artystów, jakby ciągle byli obecni, istnieli w wiecznym „tu i teraz” i mieszały się w dodatku w nasze życie. Całość uzupełnia niepokojąca, pełna ukrytych znaczeń okładka oraz interesujące, korespondujące z treścią, ilustracje autorki poematu, która wykazuje się także zdolnościami plastycznymi.

Pod koniec Elżbieta Musiał pisze, zwracając się do jednej z bohaterek, jakby w „komentarzu autorskim”:

„Czas jest po twojej i jego stronie, Elinor. Zrozumiałam to, gdy przyszedł sen, ale nie do mnie. Choć śniło mi się, że on idzie do ciebie, by stopić na twoim dojrzałym łonie śnieg. Ale na Boga, uważaj. To niebezpieczny poeta. Jego wiersze rozchylają usta do pary, czytasz jak z ręki ku zgubie. Będiesz ufnie spacerowała po linie, gdy nagle otworzysz oczy i obarczona ciałem poznasz ten lęk. *Płynę do brzegu, którego nie znam*”.

Przekazuję to ostrzeżenie dla wszystkich, którzy lubią podróż przez czas, lubią wplatać nieznanne w swój życiorys i gubią się w dżungli uczuć, przeczuć, a także wyobrażeń o sztuce i miłości.

Zdzisław Antolski

Elżbieta Musiał, *Mówię pochyloną cambrią*, wyd. Nowy Świat, Warszawa 2015, s. 56.

Znicze

Najlepiej byłoby wymyślić
nieskończenie palące się znicze
i
samoczyszczące się wieńce
A my moglibyśmy
oglądając mecz w telewizji
i
pogryzając chipsy
spokojnie zamyślić się
nad przemijaniem

Ona

Zabijał ją słowem
gestem
zabijał milczeniem
znakiem krzyża
pieśnią

Bóg patrzył i milczał
jak
zamykała się w sobie
obojętniała
świat kurczył się
niknął

Dziś nie obudziło jej słońce
księżyc zapomniał o swojej wędrówce
i tylko noc
skrzek ptaków
żarówka wypalająca oczy

Piosenka

Wychwalają Twoje imię
narody wszelkie
w imię Ojca
Syna
Ducha

Zabić
ukraść
opluć bliźniego bez siebie samego

Byle ja
o mnie
dla mnie
i amen nie kończy tu niczego
i karuzela, karuzela
znowu niedziela
bez pojednania
bitwa przegrana
diabeł na pogrzebie
uśmiechnie się do ciebie

* * *

Basi Dziekańskiej

W Pąkowcu
Poetka
Barwny
Kwiat w oceanie obojętności
Barwny
ptak w bezkresie nieba
Basia, Basieńka
...
Jest



Gdybym

gdybym był ptakiem
skrzydła włókiłbym po ziemi
co za stereotyp „fruwający w przestworzach”

gdybym był gadem
wspinałbym się na szczyty
po co miałby ktoś deptać moją płaską głowę

gdybym był trawką
skreśliłbym słówko „jarać”
zachęcałbym do tańca wokół kopki siana

gdybym był drzewem
ściąłbym się na papier
po co głupio szumieć jak można krzepić serca

gdybym był wódką
zmieniłbym się w konwalię
i posiadałbym elektorat rozważanych tłumów

gdybym był ogniem
zgasłbym natychmiast
niech zatęsknią do światła pławiący się w ciemności

gdybym był strumieniem
wycofałbym się w góry
niech tropią mnie po śladach świeżości spragnieni

A gdy jedyną skałą
roztrzaskałbym się w piasek
niech wszystkie dziwki czasu wyją za opoką

Różaniec słów

dawniej oczekując na sygnały z głębi
przesiadywałem nad pustą kartką z długopisem

teraz czatuję przed jarzącym ekranem
z niecierpliwymi palcami nad klawiaturą

czasem sygnały przychodzą w formie słów
znaków przestankowych nie zapisuję

wolny wiersz wyrwany z ciemności
wyłania się literka po literce w różańcu słów

bywa wyradza się w metaforę rzeczownikową
zwaną ostatnią deską ratunku brzytwą

zdarza się że nic z tego nie pojmuję
jednak chwytam jakiś drążący sens

mój ojciec szlachetny ateista łowiący ryby
wyjmuje haczyk z błyszczącego pyszczka

stoi na brzegu z palcem na ustach

Narodzenie

Matka
ma i tka – los z codziennych niepokojów
że wszystko będzie dobrze i głowa do góry

Ojciec
tak chciałby uciec gdzieś cisnąć kij strażniczy
nadyma się odpędza złe
białkami błyska

Syn
dopiero co zrodził się wraz ze słowem czy
zabić ojca coś mówi – nie! – chwyta pojedynczych
znaczeń nie potrafi jeszcze objąć
słowa nóż tkliważ kołyseczka
koszyczki kwiateczków aksamitki

Kwili niemowlę Ojciec milczy nad kwileniem
[podnosi się
na szczęście paruje w mlecznej zupie miłość
[objawiona
lecz staje się ość z za węgła uderza i pierzcha

Matka zaciska powieki by nie widzieć
osieroconych liter
wydziedziczonych ze słów
ich losów złych

„Kawał dobrego oddechu”

Szkic o najnowszej twórczości Szczęsnego Wrońskiego

Po tym, jak Szczęśny wywędrował z żoną Basią do Kielc, nastał między nami zwyczaj częstych i długich rozmów telefonicznych. Najczęściej dzwonił Szczęśny, ot tak, zwyczajnie, żeby zapytać, co słychać w Krakowie, żeby podzielić się jakimś pomysłem, coś omówić, coś przedyskutować. Wielokrotnie jednak po to, aby zdać relację z pracy nad *Konsultantami* – największym przedsięwzięciem artystycznym ostatnich lat. Pomysł na tę powieść literat nosił w sobie od dawna i wydaje mi się, że żadnemu ze swoich dzieł – ani prozatorskiemu, ani poetyckiemu – nie poświęcił tak wiele czasu i energii. Na początku utwór rozrastał się w zawrotnym tempie; w pewnej chwili maszynopis liczył około 350 stron. Później Szczęśny podjął decyzję, aby podzielić go na dwa tomy i w tej formie opublikować. W końcu jednak – zgodnie z sugestią prof. Gabrieli Matuszek – zaczął skracać tekst. Kiedy w listopadzie 2014 r. przesłał mi do wglądu ostateczną wersję (około 480 tys. znaków z odstępami), odniosłem wrażenie, że jest zmęczony pisaniem i że szykuje się do uspienia, przyczajenia, niespiesznego czyhania na słowa. Tak zresztą bywało już nieraz. Ostatnią książkę – wybór wierszy *Nie pozwól milczeć sercu* – wydał w 2008 r. Potem publikował niewiele, lecz artystyczne serce nadal „nuciło swą piosenkę”, wbrew wszelkim przeciwnościom losu (i „twardzieliom tego świata”). Finalnym zmaganiem twórczym z *Konsultantami* towarzyszyła tragedia osobista. 15 listopada 2014 r. po ciężkiej chorobie zmarł przyjaciel Szczęsnego, poeta, prozaik i dramaturg Henryk Jachimowski¹. O tej śmierci rozmawialiśmy dużo. Przez kolejne miesiące nie było właściwie chwili, aby Szczęśny nie wspominał zmarłego przyjaciela. Tymczasem pod koniec roku 2014 *Konsultanci* dojrżeli do druku. Otrzymali też okładkę z reprodukcją znakomitego obrazu Grzegorza Steca *Książę*². Okładkowy Książę to postać fantasmagoryczna, trudna do jednoznacznego opisanie. Z podbitego futrem płaszcza wyziera pozbawiona oczu... głowa (?), główka (?), jakieś ciało gąbczaste (...). Kiedy ów falliczny twór pozwolił się sportretować? Czyżby wówczas, gdy zastygł na moment, by rozważyć sens zastyszanych słów: „Chcąc być

łagodnym, okrutnym być muszę”? W tle postaci rozpościera się fiolet – kolor władzy, luksusu, przepychu i próżności.

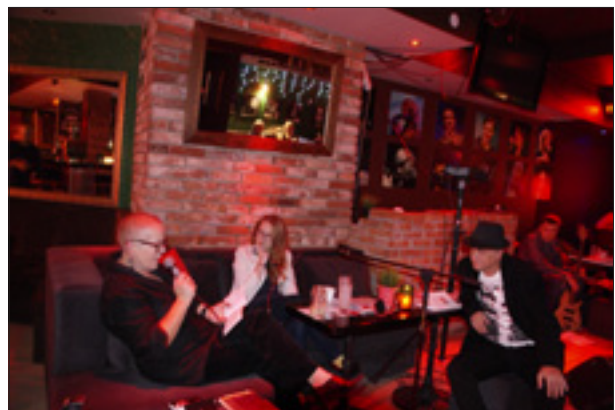
23 grudnia w Krakowie Szczęśny wręczył mi egzemplarz swojej powieści. Długo rozmawialiśmy na jej temat. „Cieszę się, że mam to już za sobą – powiedział w pewnej chwili. – Ta książka zawiera część mojego życiowego doświadczenia i jednocześnie sama jest doświadczeniem. Musiałem ją napisać. Musiałem zanurzyć w niej siebie”. Kiedy to mówił, przypomniał mi się fragment wiersza *Fallowanie*: „Wypisałem się jest OK”³).

Na początku 2015 r. czas dla Szczęsnego zdecydowanie przyspieszył. Rozpoczęły się promocje i spotkania z czytelnikami. 17 lutego w Domu Literatury w Warszawie odbyło się pierwsze z nich. Całość prowadził Krzysztof Miklaszewski, wybrane fragmenty przeczytał Olgierd Łukaszewicz. 9 marca w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach miała miejsce promocja książki z udziałem prof. Gabrieli Ma-



tuszek i dr. Ryszarda Kozieja. Fragmenty czytali Szczęsny i Basia. Gościem specjalnym był Grzegorz Stec, oprawę muzyczną przygotowali Roch Dobrowolski (wiolonczela) oraz Michał Zapała (gitara i śpiew). Zaprezentowano też obraz *Księżę*⁴⁾. 27 marca Szczęsny zjawił się z książką w kieleckim Czerwonym Fortepianie. Promocja miała charakter spektaklu słowno-muzycznego, z doskonałym akompaniamentem krakowskiej grupy jazzrockowej Too Black Project, której wokalistą jest poeta Daniel Lizoń. 30 marca, w ramach akcji „Dotknij Teatru”, literat odpowiedział na zaproszenie Teatru Mumerus z Krakowa. Spotkanie prowadzili: prof. Gabriela Matuszek i Krzysztof Miklaszewski (zastąpił Michała Zabłockiego). Fragmenty powieści, oprócz autora, czytali aktorzy: Anna Lenczewska, Jan Mancewicz i Karol Zapała. Interesującą oprawę muzyczną zapewnili: Małgorzata Tekiel „Tekla”, Jaga Wrońska i Marek Jaworski. 18 czerwca, w ramach cyklu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich „Droga do czytania”, Szczęsny gościł w kluboksięgarni Czuły Barbarzyńca. Wieczór prowadził – a dokładnie: „przecierał drogę” – Michał Zabłocki. 22 czerwca Szczęsny wystąpił w Jamie Michalika w programie poetycko-muzycznym zrealizowanym przez SPP. Później przemknął jeszcze wraz z Basią przez krakowski Zielony Kontrabas oraz Noc Poetów, zorganizowaną przez Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”. Znow wrócił do formy, znow był w swoim żywiole. „Konsultował”, „rockandrollował”, szokował. Uczestniczył ponadto w imprezach artystycznych w Czerwonym Fortepianie oraz spotkaniach upamiętniających Henryka Jachimowskiego. Wielkanoc spędził w sanatorium w Wysowej-Zdroju. Wypoczął, ale wrócił przeziębiony. „Żeby jeździć do sanatorium, trzeba mieć zdrowie” – skomentował.

Zastanawiałem się, czy w tym natłoku zajęć znajduje czas, by zatrzymać się, usiąść przed komputerem i pisać. Na początku lipca zapytałem go o to. Odpowiedział, że zebrało mu się sporo nowych wierszy, które zamierza w najbliższym czasie wysłać do wydawnictw. zaproponowałem: „Przyślij je też do mnie”. 15 lipca w poczcie elektronicznej miałem już jego wiersze, uważnie przejrzałem i ułożone w swoisty *concept album*. Zauważmy, że to najczęściej stosowana przez tego autora metoda porządkowania tekstów. Wiersze muszą ze sobą rozmawiać, nawiązywać do siebie, przenikać się. Taka jest właśnie idea prowadzenia dialogu za



pośrednictwem poezji, idea, która towarzyszy Szczęsnemu od lat... Przypomnijmy jej założenia. „Kiedy spotykamy się ze sobą – pisze Szczęsny w przedmowie do jednego z tomików wydanych pod auspicjami Teatru Promocji Poezji – chcielibyśmy porozmawiać. Jednak [czasami] brak nam słów. To, co chcielibyśmy wypowiedzieć, napotyka niewidzialne bariery. Stoimy naprzeciw siebie, patrzymy, milczymy i jakże często to milczenie wyraża pustkę [...]”. Istnieje jednak wyjście z tego impasu. Wystarczy bowiem „powiedzieć do siebie wiersz”, ten, który leży na sercu”, który sprawia, „że życie nabiera rytmu i sensu”⁵⁾. „Rozmawiać wierszami? Dlaczego nie. Skoro tak często nie możemy się porozumieć, może właśnie wiersze staną się wzajemnym strumyczkiem naszych uczuć i myśli”⁶⁾, płynącym od jednej osoby do drugiej. „Duchem sprawczym procesu twórczego nie jest [wszak] intelekt, lecz intuicja”. To ona podpowiada słowa, „które mają moc kreowania rzeczywistości”.

Niniejszym polecamy uwadze Czytelników kolejny zbiór wierszy krakowsko-kieleckiego poety, prozaika, aktora, reżysera i animatora kultury. „Człowieka instytucji” – jak trafnie określił Szczęsnego prof. Marek Karwala⁸⁾. Zgromadzone w tomie utwory powstały w latach 2008–2010, a zatem zarówno w okresie bezpośrednio poprzedzającym prace nad *Konsultantami*⁹⁾, jak i w trakcie ich powstawania. Są tu także utwory starsze. Najbardziej „przeszufladowanym” z nich jest wiersz *Samokrytyka*, napisany około piętnastu lat temu. Pierwotnie zbiór nosił tytuł *Pomiędzy*, później *Tańczący z ciemnością*, obie propozycje zostały jednak odrzucone w trakcie prac edytorskich. Zdecydowaliśmy się na tytuł *Czas rozpocząć*, gdyż wydaje się on szczególnie wymownym komentarzem do obecnej sytuacji autora. W utworze *Thank you*¹⁰⁾ czytamy bowiem: „chciałem napisać wiersz / w komputerze bez internetu / by nie zagnieździł się w nim rak pustostowania [...] / zabrałem się więc do prozy bo tej nic nie zatrzyma”¹¹⁾. O ile proza w pewnym momencie wydała się podmiotowi lirycznemu bardziej odporna na zagrożenia, o tyle tekst poetycki może być zdecydowanie bogatszy interpretacyjnie. Poezja wnikliwiej szuka i rozważniej korzysta ze słów, które „dałyby odpowiedni kształt rzeczom i ludziom”¹²⁾. Dlatego autor wciąż do niej wraca.

W wierszu *Czas rozpocząć* czytamy z kolei: „Zdegenerowały się moje litery [...] / na nowo podjąłem trud nauki pisania / [...] powoli odbudo-

wuję / kształty utraconych liter, słów”. Pisanie to nieustanne rozpoczynanie od nowa. To codzienne zmaganie się z materią słowa i własnymi słabościami. To praca, którą trzeba wykonać, aby – jako twórca – pozostać w zgodzie z samym sobą, z tym, co się pisze i o czym. Poeta ostrzega: „radosne wiersze też rodzą się w bólu”. Ale kiedy przejdzie się przez ten ból, kiedy odrzuci się z materii słów to, co niepotrzebne, miast wiersza powstaje „kawał dobrego oddechu”. Oddechu, który czasem ratuje duszę. Który nie pozwala pozostać obojętnym wobec słów i wyrażonego nimi świata. Ci, którzy widzieli Szczęsnego recytującego swe wiersze, wiedzą, co mam na myśli...

I jeszcze ważne uzupełnienie biograficzne. Tytuł niniejszego szkicu nawiązuje do słów Allena Ginsberga, wypowiedzianych podczas pobytu w Kielcach we wrześniu 1986 r.¹³⁾ Rozmowa dotyczyła poematu *Skowyt*. Słowa te, tak jak i spotkanie z jedną z czołowych postaci Beat Generation, żyją w polskim poecie od lat. Są immanentną częścią nie tylko jego doświadczenia, ale także filozofii życia oraz sztuki tworzenia.

Kraków, lipiec–sierpień 2015

Marcin Kania

Szczęsny Wroński, *Czas rozpocząć*, Wydawnictwo i drukarnia Tercja, Kraków 2015, s. 52.

¹⁾ Zob. wspomnienie o H. Jachimowskim: S. Wroński, *W drodze*, „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki” 2014, nr 3–4 (45–46), s. 29–32.

²⁾ *Książę*, 1997, olej na płótnie, 90 x 90 cm; zob.: <http://www.stec.art.pl/strona/index.php/sala-3/item/271/asInline>.

³⁾ S. Wroński, *Foliowanie* [w:] tenże, *Nie pozwól milczeć sercu*. Wiersze z lat 1977–2007, oprac. M. Kania, Kraków 2008, s. 74. Sformułowanie „zanurzyć w niej siebie” to nawiązanie do tytułowego wiersza z tego tomu („zanurz / w nim / Siebie”).

⁴⁾ Promocja *Powiatki intelektualno-gienitalnej*, <http://nkielce.pl/artukul/promocja-powiatki-intelektualno-gienitalnej/14698>.

⁵⁾ S. Wroński, *Wstęp*, [w:] *Teatr Promocji Poezji. Odśłona II*, Kielce 1999, s. 6–7.

⁶⁾ Tenże, *Rozmawiamy wierszami*, [w:] *Rozmawiamy wierszami*, wybór i opracowanie B. i S. Wrońscy, Kraków 2002, s. 5.

⁷⁾ Cyt. za: S. Nyczaj, *Metafizyka tworzenia. Na kanwie zwierzeń polskich poetów współczesnych*, Kielce 2007, s. 74.

⁸⁾ M. Karwala, „Zielony przesmyk światła”. *O wierszach Szczęsnego Wrońskiego*, „Konspekt” 2009, nr 1-2 (32), s. 67.

⁹⁾ Powieść *Konsultanci* powstawała (z drobnymi przerwami) od kwietnia 2009 do kwietnia 2010 r., następnie zaś od lipca do września 2014 r. Prace redakcyjne trwały do listopada 2014 r. Szczęsny bardzo konsekwentnie i z dużym zaangażowaniem pracował nad tą powieścią. Wstawał codziennie ok. godziny czwartej lub piątej rano i pisał do południa. Wieczorami przekształcał tekst i uzupełniał.

¹⁰⁾ Wiersz ten został m.in. wygłoszony podczas VI Bronowickiego Karnawału Literackiego (5 marca 2011 r.) i opublikowany w almanachu pokarnawałowym; *VI Bronowicki Karnawał Literacki*, red. M. Naglicki, R. Żak, Kraków 2011, s. 107.

¹¹⁾ Należy w tym miejscu nadmienić, że w grudniu 1998 r., podczas wspólnej podróży artystycznej, wiodącej przez Jędrzejów i Kiece do Nagłowic, gdzie Szczęsny odebrał nagrodę główną na I Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Mikołaja Reja za powieść *Wolna miłość* (wydaną w 2000 r.), znakomity poeta Jerzy Harasymowicz po-

wiedział: „Niech pan pisze wiersze, przede wszystkim wiersze. Proza jest mniej ważna”. A następnie dodał: „Proszę, niech pan zajmie się młodymi poetami...”. Słowa te silnie oddziaływały na krakowskiego autora. W kolejnych latach Szczęsny stał się zarówno znakomitym poetą, jak i oddanym sprawie promotorem młodych talentów literackich; por. S. Wroński, *Rozmawiajmy wierszami* (1), dz. cyt., s. 6.

¹²⁾ I.S. Fiut, *Poeci powracający do swoich ojczyzn mentalnych?*, „Forum Myśli Wolnej” 2007 nr 32–33, s. 73, <http://www.forummysliwolnej.pl/pdf/fmw323307.pdf>.

¹³⁾ Więcej o tym spotkaniu zob.: A. Pietrasz, *Allen Ginsberg w Polsce*, Warszawa 2014, s. 86–87, 96, lub *O hippizmie i Allenie Ginsbergu – ze Szczęsnym Wrońskim rozmawia Andrzej Pietrasz*, <http://pro.art.pl/wronski/wydarzenia/>. W wersji elektronicznej wywiadu wykorzystano wiersz *Thank you*.

Andrzej Piskulak

Lirobranie (fragment)

Wiersz ten dedykuję śp. Piotrowi Szczerskiemu

Poezja dojrzała
Dojrzałem i ja
Wyruszam na lirobranie
W bezkresną głąb wyobraźni
Podczas lirobrania
Przeszłością rozświetlam przyszłość
Wszystkie oczekiwania wydają się możliwe
Lirobranie to
to zjednoczenie się
przeszłości z przyszłością

Dojrzewam do zbiorów liryków o pełnych gronach
Napełnionych przeżyciem radosnym i cierpiącym
Wpisanym w osobisty krajobraz
Tłocznie wierszy czekają na osobiste lirogrona
Z których po wyciśnięciu
Poptynie szerokim strumieniem
Lirowina
Liryka

Życie zabrane mi przez zawiść i nienawiść
Ludzi których nie mogę nazwać po imieniu
Szukałem swojej odwagi w górach
Szukałem swojej wytrzymałości na rajdach
kilkudziesięciokilometrowych
Szukałem swojej przygody lirycznej

Samego siebie

Lirnika

Składam

Na lirycznym ołtarzu ofiarnym rodziniejących
[pagórków i dębów]

Mojego dziecięcego Synaju

Dokonuję ofiary całopalnej z mojego lirobrania

Na lirycznym ołtarzu ofiarnym

Gdzie uczyłem się sylabizować swoją

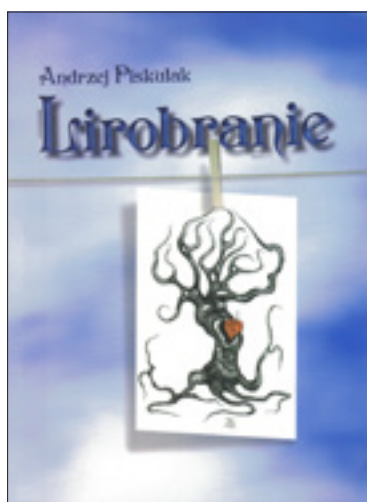
Liryczną duszę [...]



Grafika – Dorota Mętrak

Ku formie dojrzałej

To, co w pierwszych, poszczególnych tomach wydawać się mogło mimowolne czy incydentalne, w wyborze – dokonanym po trzydziestu pięciu latach od momentu debiutu – ukazuje swój rzeczywisty sens i charakter. Nade wszystko zaś przekazuje istotną dla opisu tej twórczości informację, że dominujące w niej dziś tropy, motywy i poszukiwania nie wzięły się znikąd, lecz stanowią efekt konsekwencji estetycznych i duchowych doświadczeń i wyborów autora.



O ile w wydanym w 1980 roku tomie *Kluczem do baśni może być wytrych*, a także (w mniejszym stopniu) w opublikowanym pięć lat później zbiorze *Po trzeciej zmianie* dość często pojawiały się wiersze-wprawki, wiersze-rozpoznania czy

wiersze-prowokacje, którymi poeta usiłował zmierzyć się z tym, co stanowiło w owych latach obowiązującą w młodej poezji formułę dialogowania ze światem, o tyle już w tomie kolejnym – *Z gwiazdozbioru oczu* (1989) dostrzec można charakterystyczną zmianę. Poeta, poszukując indywidualnego, rozpoznawalnego języka oraz własnych obszarów poetyckiej eksploracji – ucieka od doraźności. W dominujących w tomie związkach konstrukcyjnych lirycznych, w których dąży do uchwycenia metafizyki codzienności, coraz częściej pojawia się element transcendencji. W takich wierszach jak *W stajence*, *Wieczorna litania*, *Pacierz*, *Królowa kur*, *Świt mojego grzechu*, *Gwiazda zaranna*, *Przejęzyczenia*, które niekiedy z drobnymi modyfikacjami powtórzone zostaną w tomach późniejszych – jako ich integralna kompozycyjnie część – poeta sygnalizuje wyraźnie kierunek swych przyszłych poszukiwań. Choć w późniejszym okresie nie przestanie być uważnym obserwatorem tego, co jest „formą zewnętrzną” otaczającego go świata, coraz intensywniej penetrować będzie jego sensory głębsze, wymykające się pośpiesznym spostrzeżeniom zanurzonego w codzienności przechodnia.

Droga, o której mówimy, prowadzić będzie autora w sposób niezwykle konsekwentny do struktur poetycko i filozoficznie dojrzałych, przybierających postać wielowątkowego poematu, pieśni czy poetyckiego oratorium, czego najbardziej sugestywną egzemplifikację stanowi tom *Li@tania. Poranne kobiety – leśna kolejka losu*. Równocześnie z tomu na tom uwyraźniać się będzie inna ważna cecha tej poezji – jej interesujący artystycznie, wielowątkowy związek z małą ojczyzną autora, Ziemią Świętokrzyską. Ów związek zasygnalizuje już pierwszy wydany po kilkunastu latach „milczenia” zbiór *Dąb jak chłop* (2003).

Bohater tomu, historyczny „Bartek”, jest wzbudzającym najgłębszy podziw, imponującym żywotnością okazem przyrody, ale równocześnie symbolem uosabiającym to, co niepoddające się upływowi czasu, co trwałe i niezniszczalne. Miałbym ochotę powiedzieć: wieczne, gdyby nie fakt, że w ten sugestywny poetycko portret dumnego, opierającego się skutecznie przeciwnościom losu i historii, dębu wpisane są naturalne dla ludzkiej egzystencji procesy narodzin, wzrostu i zmagania się z wiekiem dojrzałym. Długowieczność legendarnego Bartka sprawia, że jesteśmy u niego, gospodarza dziejów, niejako w gościnie, czerpiemy z jego wielowiekowych doświadczeń, uczymy się sztuki życia i mądrego przetrwania. Książka o zagnańskim, wrośniętym w naszą tradycję, dębie-olbrzymie staje się niepostrzeżenie poetyckim traktatem filozoficznym ludzkiej egzystencji, istocie czasu i sensie podejmowanych przez nas działań, a także będących naszym udziałem ułomnościach i zaniechaniach.

Potwierdzenie silnych związków z regionem świętokrzyskim, tym razem ze światem jego bogatych tradycji literackich, przyniósł kolejny, wyróżniony w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego, tom poety *Poezjorze* (2004), a ugruntowała wydana rok później *Li@tania. Poranne kobiety – leśna kolejka losu*, będąca, wedle słów autora, jego „swoistą medytacją religijno-poetycką”.

Powiedziałem, że poeta odchodzi od doraźnej codzienności, choć można i trzeba by ująć to inaczej. Rzecz bowiem nie polega na tym, że autor *Eremyka* w pewnym momencie, z bliżej nam nieznanymi powodów, stracił zainteresowanie dla tego, co realne, rozpoznawalne poprzez zmysły – głównie wzroku i dotyku – a więc dla tego, co tworzy materialny

wymiar ludzkiego bytowania. Jest wręcz przeciwnie: on tę realność stara się widzieć w jej całej złożoności ukrytych w niej sensów i tajemnic, przeniknąć do jej pokładów najgłębszych, odczytać zawarte w nich znaczenia stanowiące swoistą metafizykę bytu. Przytoczmy w tym miejscu korespondujący z naszą refleksją esencjonalny obraz, który przynosi wiersz *Świętokrzyskie podniesienie* z tomu *Po trzeciej zmianie*, powtórzony w zbiorze *Dąb jak chłop* z drobną zmianą w ostatnim wersie i przedrukowany raz jeszcze w wersji pierwotnej w *Li@tania*:

Ta ziemia
U Krzyża
Przyjmuje komunię
Nawozu i potu

By przemienić
Wzburzoną do szaleństwa krew
W wino

Strudzone ciało
W naszą kromkę powszednią

W interpretacji Zofii Korzeńskiej, autorki postawia wnikliwie portretującego „*Li@tanię*” jako oratorium poetyckie, wiersz ten to pojemna znaczeniowo „parafraza, transformacja głównej części liturgii Mszy św. [...] Jest to – stwierdza poetka – odwrócenie tajemnicy cudu Eucharystii, to znaczy przeistoczenia podczas niej chleba w Ciało i wina w Krew Chrystusa. Tutaj Region ma się przemienić w odwrotnym kierunku, i to pod wpływem właśnie Chrystusowej wiary i ofiary (*U krzyża*)”.

Dla swych uniwersalnych rozpoznań, definiujących istotę człowieczego bytu, poeta szuka inspiracji w odległej przeszłości, fenomenie swojej najbliższej ojczyzny – poezjorodnej ziemi świętokrzyskiej, w bogatej tradycji duchowej jej mieszkańców, w naturze i religii, w stałym kontakcie z transcendencją. Podkreślmy, że nie są to tylko inspiracje badacza, który docieka prawd o otaczającym go świecie. Czytelnika uderza niezwykła prywatność, rzekłbym, intymność wyznań autora, dla którego poezja staje się wyzwaniem artystycznym i zarazem – co trafnie stwierdził przed laty Jerzy Korey-Krzeczowski – „najwyższą próbą egzystencjalną”¹⁾, czyli, inaczej mówiąc, wyprawą w głąb swego wnętrza. To w sobie, w swoim prywatnym kosmosie wierzeń, pytań i traumatycznych doznań poeta poszukuje odpowiedzi na najbardziej rudymentalne kwestie dotyczące ludzkiego miejsca na ziemi, tajemni-

cy istnienia. Poeta, prezentując tom *Li@tania. Poranne kobiety – leśna kolejka losu*, wspomni o swojej „osobistej geografii mistycznej”. Dodajmy, że tę geografii tworzy nie tylko wędrówka śladem świętokrzyskich sanktuariów, wyprawa w świat tajemniczego i na poły mistycznego dzieciństwa, w przeszłość bliskiego poecie regionu, lecz także poetycki namysł nad każdym ludzkim słowem i gestem, nad wypełniającym nas mozołem, naszymi codziennymi doświadczeniami. Zauważmy przy tym, że owa – pełna zaskakujących świeżością obrazów przeszłości, wręcz prehistorii, dnia dzisiejszego i duchowych rozmyślań – podróż „leśną kolejką losu” jest równocześnie intrygującą, niekończącą się przygodą poetycką. „Zapomniane torowisko to żywa aorta / Krwiobieg wyobrażeń i wspomnień”.

Poeta nie ukrywa, że pisząc o świecie widzialnym i duchowym czyni wyznanie przejmująco osobiste. Że podmiot liryczny wielu jego wierszy i poematów, podejmujący najważniejszy dla tej poezji motyw tajemnicy ludzkiej egzystencji, to nie figura literacka, lecz on sam. Potwierdzenie tego znajdziemy m.in. w przejmującej *Li@tania*:

Li@tania –
Przeżycie duchowe
To modlitwa wyobraźni i uczuć
Doznań i przekonań
Małych
Prywatnych
W wymiarze
Kosmosu duszy
Ukrzyżowanego Boga
W moim chorym ciele

Jeszcze wyraźniej konfesyjność przekazu Piskulaka podkreśla *Eremyk*, tom stanowiący baśniowo-mitologiczno-mistyczny obraz Kielecczyzny, w którym następuje praktyczne utożsamienie podmiotu lirycznego z autorem. Niemal w każdym wierszu poeta używa pierwszej osoby liczby pojedynczej. Przytoczmy kilka charakterystycznych przykładów. „Modłę się”, „obserwuję”, „Na kamiennym ołtarzu ofiarnym / Już nie składam siebie” (*Poetyckie badania archeologiczne*), „Wspinam się wraz z kamiennym kolosem / Samotnie” (*Pielgrzym*), „Próbuję połączyć kosmos swoich myśli / Z Bogiem” (*Ten i tamten świat*), „Wypowiadam z głębokości serca” (*Marszowa modlitwa*), „Pytam w sercu Łysą Górę/ – Co czynisz?” (*Pytam w moim sercu*), Podczas świętokrzyskich wędrówek / W głąb siebie / Zapomniałem Twojego imienia” (*Zapomnienie*), „W ciszy / Gór Święto-

krzyskich / Na chrześcijańskich ołtarzach / Próbuje zrozumieć / Boga” (*Ofiara człowieka i Boga*).

Cztery ostatnie tomy poety: *Dąb jak chłop*, *Pozajoborze*, *Li@tania* i *Eremyk* wykazują wyraźnie, że wraz z upływem czasu twórczość poetycka Andrzeja Piskulaka staje się w coraz większym stopniu skupiona na tym, co głęboko duchowe, a dwa ostatnie z nich pozwalają stwierdzić, że wiele zawartych w nich pięknych i poruszających, głębokich wierszy, takich jak *W każdym z nas*, *Samotny wiatr Boży*, wspomniana już *Li@tania*, *Li@tania pątnicza*, *Leśnojańska kolejka losu*, *Siedmiostrunowa dusza*, siedem znakomitych poetycko pieśni maryjnych, będący duchowo-poetycką spowiedzią poety *Powrót Anioła*, *Świętokrzyskie kobiety poranne*, * * * (*Świętokrzyska góra uczy mnie...*), *Zapomnienie czy Ofiara człowieka i Boga* stanowi przykład najwyższej próby poezji religijnej.

Niech mi wybaczy autor i czytelnik tych słów, że jako pointę dotychczasowych rozważań przytoczę

Wiatr

Żeglujemy z wiatrem wśród traw letnich
Zanim tu przybyliśmy
Ten wiatr hulał bezkształtny
Unosił się jak duch Boży
Nad ukwieconymi łąkami
Zamkniętymi
W kleszczach widnokręgu
Teraz zamieszkał w twoich siwiejących włosach

Nabiera wreszcie kształtu
Zmienia się
Patrzemy sobie w oczy
Nie rzucamy słów na wiatr
Nie idziemy pod wiatr
Nie szukamy wiatru w polu

Zerwałem w końcu
Ten rozpuszczonobielnny mlecz
Wręczyłem ci różę wiatru
Która wyjątkowo kwitnie
Na twojej twarzy
Raz ciepły
To lodowaty i mroźny
To nieoczekiwane orzeźwiający
Powiew
Poryw i tchnienie w jednym
Wreszcie wilgotny jak krople Twoich łez

akapit zaczerpnięty z mojego posłowania do ostatniego tomu poety *Eremyk* (2009), w którym pisałem: „Wszystkie te utwory, a także wiele innych [...], tworzą poruszającą szczerością i żarliwością spowiedź poety, który – podążając własną, nieczułą na sezonowe mody drogą – zbliża się do wartości pierwszych, podejmując, mimo świadomości niemożności zgłębienia tajemnicy istnienia, trud wyrażenia w słowie złożoności i piękna życia oraz jego wymykających się racjonalnemu poznaniu związków z transcendencją”.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że *Lirobranie*, wybór dokonany przez autora, rozpoznanie to w pełni potwierdza.

Mississauga, marzec 2015

Edward Zyman

¹⁾ *Jesteśmy zawsze znad jakiejś rzeki. Andrzeja Piskulaka osobista geografia mistyczna* [w:] Jerzy Korey-Krzeczowski: *Powracam tutaj z własnej woli. Szkice i wspomnienia o wybranych twórcach Ziemi Świętokrzyskiej*, Rzeszów 2006, s. 104.

Nie ma potrzeby zmagać się z wiatrem
I wystawić twarzy na wiatr
Bo kto wytrzyma próbę
Wiatru
Co gniewa
Kołysze
Powiewa
Łopocze
Zrywa się
Wzmaga
Dmie
Łamie
Wyrywa drzewa
Przewraca słupy
Zrywa dachy
Pędzi
Gna
Przenika
Przewiewa na wskroś
Przejmuje do szpiku kości
Smaga w twarz
Tamuje oddech
Jęczy za oknami

Wiatr
Że mało głowy nie urwie

Bo kto burze sieje
To i wiatr zbiera
– Przejęzyczyłaś się babciu...

Piękny epizod XV Światowego Dnia Poezji UNESCO w Staszowie

Obecność w nieobecności

17 kwietnia br. staszowski SOK zorganizował uroczyste spotkanie w ramach XV Światowego Dnia Poezji. Otworzył je wernisaż prac Teresy Ledóchowskiej-Horodyńskiej pt. *Obecność w nieobecności*, będących upamiętnieniem Jana Pawła II w 10. rocznicę śmierci. Ekspozycję fotografii dokumentalnej otworzyła dyr. SOK Katarzyna Ciepiera. Autorka prac mieszka w Warszawie, pochodzi ze znakomitego, zasłużonego dla Polski rodu Ledóchowskich, którzy byli przez pewien czas właścicielami pałacu w Górkach Klimontowskich na Sandomierszczyźnie. Teresa Ledóchowska-Horodyńska jest żoną Dominika Horodyńskiego, ostatniego dziedzica Zbydniowa na ziemi sandomierskiej, żołnierza AK i uczestnika powstania warszawskiego. Dyplom artysty plastyka otrzymała w 1982 r. Szkołą jej malarstwa były znane pracownice: Jana Cybisa, Artura Nacht-Samborskiego, Aleksandra Kobzdeja. Od kilku lat realizuje różne formy filmowe, głównie etiudy, których jest reżyserką, scenarzystką, operatorką. Jej dorobek artystyczny: wiele wystaw zbiorowych i indywidualnych m.in. w Moskwie, Warszawie, Łodzi, Koźienicach. Staszowska ekspozycja składała się z 25. fotografii barwnych, utrwalających szczególną atmosferę, gdy społeczeństwo bezpośrednio po śmierci Wielkiego Polaka gromadziło się w różnych miejscach warszawskich ulic, składając kwiaty i zapalając znicze. Obok reportażowych nie brak zdjęć artystycznych, pokazujących np. całe łany zniczy, świec. To wynik dostrzegania, odczucia i ukazania przez autorkę wartości dekoracyjnych powstałych z układów barw, kształtów i rytmów. Budują one swoistą ornamentykę świecących i kolorowych zniczy niby rosnących rzędami kwiatów. Na innych fotogramach – widok z perspektywą ciągu zniczy na chodniku ze współgrającą rytmiką biało-czerwonych słupków i równoległym rzędem ustawionych aut (niczym milczącej asysty) tworzy drogę wiodącą w nieskończoność. Widza zatrzymuje również inna kompozycja z kamiennym słupem na pierwszym planie i ustawionym na jego szczycie zniczem. Słup przywodzi na myśl wędrowca

niosącego światło, wyruszającego ku wieczności. Zachwyca harmonia linii i niebiesko-zielonych szarości. Wzrusza prezentacja kartki z dwoma czerwonymi serduszkami narysowanymi dziecięcą ręką. Kartkę przyciskają na rogach dwa znicze. Dużo wyrazu ma w sobie fotografia kanciastych, ułożonych jeden na drugim kawałków chodnikowych płyt z kontrastującymi, postawionymi na nich, okrągłymi świeczkami.

Podwójny jubileusz Aleksandra Nawrockiego

Gdy wernisaż dobiegł końca, goście – wśród nich starosta staszowski Michał Skotnicki, zastępczyni burmistrza miasta i gminy Staszów Ewa Kondek, prezes Kieleckiego Oddziału ZLP Stanisław Nyczaj i jego zastępca Benedykt Koziół, grono świętokrzyskich literatów, prezes Związku Literatów Białoruskich Anatol Krejdzicz – udali się do sali widowiskowej, gdzie rozpoczęła się główna część imprezy: jubileusz 50-lecia pracy twórczej i 75-lecia urodzin Aleksandra Nawrockiego. Mówił on o swej literackiej i animatorskiej działalności, a jego twórczość zaprezentowała sekcja teatralna Staszowskiego Ośrodka Kultury.

Aleksander Nawrocki jest absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego (jako pierwszy w świecie obronił w 1967 r. pracę magisterską o twórczości Czesława Miłosza), wybitnym twórcą: poetą, prozaikiem, tłumaczem, eseistą, wydawcą, organizatorem festiwalu: od 2001 r. organizuje Światowe Dni Poezji UNESCO (w tym roku XV), od 2008 r. Festiwalu Poezji Słowiańskiej. Debiutował wierszami w 1965 r. u Stanisława Grochowiaka w tygodniku „Kultura”. Autor 16 tomów wierszy, 3 tomów opowiadań, powieści, książki popularnonaukowej *Szamanizm i Wegrzy*, książki reportażowej „Jak zamordowano Imre Nagy’ a” (o powstaniu węgierskim 1956 r.), 12 tomów antologii poezji zagranicznej: węgierskiej, greckiej, rumuńskiej, tatarskiej, rosyjskiej, białoruskiej, ukraińskiej, fińskiej, czarnogórskiej, francuskiej, angielskiej, jakuckiej. Współautor antologii w języku polskim i rosyjskim wydanej w Rosji. Autor i wydawca 3-tomowego dzieła

Święto poezji i fotografii w Staszowie

W dniu 17 kwietnia br. Staszowski Ośrodek Kultury gościł dwoje wybitnych artystów: fotografa i malarzkę Teresę Ledóchowską-Horodyńską i Aleksandra Nawrockiego - poetę, pisarza, tłumacza i wydawcę.

Wieczorne spotkanie, rozpoczęto w piwnicach SOK otwarciem wystawy fotograficznej Teresy Ledóchowskiej-Horodyńskiej zatytułowanej „Obecność w nieobecności”. Jest to jedna z kilku ekspozycji, przy pomocy których artystka ukazuje szczególnie moment w życiu obecnych pokoleń Polaków, po śmierci Jana Pawła II. Tamte dni, sprzed dziesięciu lat, zostały uchwycone na fotografiach, na których widzimy, m.in. niezliczone znicze i kwiaty, pozostawione na ulicach Warszawy.

Druga część wieczoru była poświęcona twórczości poetyckiej i pisarskiej Aleksandra Nawrockiego, obchodzącego w tym roku 50-lecie pracy twórczej. Na tę okoliczność uczniowie staszowskich szkół - członkowie sekcji teatralnej Staszowskiego Ośrodka Kultury, przygotowali montaż słowno-muzyczny utworów Aleksandra Nawrockiego.

Jubilat serdecznie podziękował młodym artystom, obdarowując ich tomikami swoich wierszy. Sam artysta także otrzymał liczne gratulacje i upominki, w tym od kolegów poetów ziemi świętokrzyskiej, a także od starosty staszowskiego

Michała Skotnickiego, który w dowód uznania za wspaniały występ zaprosił uczniów na wycieczki do: Krakowa, Sandomierza i Łańcuta, które znalazły się w programie realizowanego na przełomie lipca i sierpnia br. projektu wymiany z Ukrainą. Gest starosty został nagrodzony brawami przez publiczność.

Gościem honorowym wieczoru był prezes Białoruskiego Związku Literatów Anatol Kreliczicz, a w części artystycznej wystąpił białoruski kwartet wokalny „Ramonki” (pol. „Rumianki”), który od 2008 roku działa przy Miejskim Domu Kultury w Brześciu.

Tekst i foto:
Jan Mazanka



Terese Ledóchowskiej-Horodyńskiej gratuluje starosta staszowski Michał Skotnicki.



O wojennych losach rodziny Norodyrskich, Kowerskich, Giżyckich i Ledóchowskich, opłanych w kwartalnikach „Powiat Staszowski” rozmawiają: od lewej: starosta staszowski Michał Skotnicki, nauczycielka języka polskiego w Gimnazjum w Czajkowie Małgorzata Przytuła, prezes Wanda Oszcypała i Teresa Ledóchowska-Horodyńska



Uczniowie staszowskich szkół - członkowie sekcji teatralnej Staszowskiego Ośrodka Kultury, przygotowali montaż słowno-muzyczny poezji Aleksandra Nawrockiego, z uwagą wysłuchany zarówno przez jubilata, jak i licznie zebraną publiczność.



Gratulacje dla Jubilata od starosty staszowskiego Michała Skotnickiego.



Wieczór poezji poświęcony twórczości Aleksandra Nawrockiego odbył się w sali widowiskowej Staszowskiego Ośrodka Kultury.

Poezja Polska – Antologia Tysiąclecia (wyd. 1998, 2002).

Jego książki przełożono na 17 języków: węgierski, bułgarski, rumuński, macedoński, serbski, czarnogórski, chorwacki, czeski, francuski, angielski, niemiecki, rosyjski, białoruski, ukraiński, tatarski, azerbejdżański, łotewski.

Tłumaczy z literatur: rosyjskiej, bułgarskiej, ukraińskiej, serbskiej, węgierskiej, fińskiej, angielskiej, francuskiej. Uczestniczy w wielu prestiżowych międzynarodowych festiwalach literackich: w Strudze (Macedonia), Warnie (Bułgaria), Belgradzie (Serbia), Izmirze (Turcja), Kairze (Egipt), Twerze (Rosja), Kijowie (Ukraina), Rydze (Łotwa), Wilnie (Litwa), Londynie (Wielka Brytania). Otrzymał 10 międzynarodowych nagród literackich.

Od 1998 r. red. nacz. pisma „Poezja dzisiaj”. Jako redaktor Wydawnictwa Książkowego IBIS publikuje głównie literaturę współczesną polską i zagraniczną.

Laureat wielu nagród zagranicznych, m.in. Poeta Roku 2008 – nagrody internetowego miasta literatów (USA), Nagrody Akademii Literatury i Sztuki Słowiańskiej z siedzibą w Bułgarii w 2008, Nagrody Ministerstwa Kultury Federacji Rosji w 2009, European Award the Trebbia w 2011.

Na rocznicowym spotkaniu w staszowskiej placówce życzenia jubilatowi złożyli przedstawiciele władz miasta i powiatu, jak również literaci świętokrzyscy z prezesem na czele. Oto tekst jego wystąpienia:

Drogi Olku!

Z pięknej i szczególnej okazji Twojego podwójnego jubileuszu: 75-lecia urodzin i 50-lecia pracy twórczej składam Ci osobiście, od zespołu redakcyjnego Oficyny Wydawniczej „STON 2” oraz 51. członków Kieleckiego Oddziału ZLP serdeczne gratulacje, podziękowania i życzenia.

Gratuluje wspomnianego tu wspaniałego dorobku twórczego w zakresie poezji, prozy, eseistyki i publicystyki oraz translatorskiego, edytorskiego i animatorskiego. Gratuluje 14. międzynarodowych nagród literackich oraz wysokich odznaczeń państwowych z nadania prezydentów: Rzeczypospolitej Polskiej, Republiki Czeskiej (Vaclava Havla), Republiki Węgierskiej i dwukrotnie Republiki Sacha (jakuckiej).

Dziękuję, iż jako właściciel Wydawnictwa Książkowego IBiS (od 1992) i redaktor naczelny pisma „Poezja dzisiaj” (od 1998), publikowałeś

utwory moje i moich kolegów z Oddziału ZLP, obdarzałeś nas na licznych spotkaniach antologiami poezji greckiej, hiszpańskiej, węgierskiej, fińskiej, rosyjskiej, ukraińskiej, pomnikowym dziełem *Poezja Polska – Antologia Tysiąclecia*, obejmującym w trzech tomach 275 poetów (wśród nich z Kielecczyny wiersze moje i nieodżałowanego Henryka Jachimowskiego); obdarzyłeś przygotowaną z Twoją wydatną pomocą znakomitą dwujęzyczną antologią poezji polskiej wydaną w Rosji w serii „Iz wieka w wiek / Od wieku do wieku” (z moja w niej obecnością), najobszerniejszą z serii 14. dwujęzycznych antologii poezji krajów słowiańskich.

Dziękujemy za umożliwianie udziału w dorocznych edycjach Światowego Dnia Poezji (trwającego w istocie 100 dni) pod patronatem UNESCO, organizowanego przez Ciebie od 2001 r., jak również w dorocznych edycjach Festiwalu Poezji Słowiańskiej, organizowanego Twoim staraniem od roku 2008. Mamy satysfakcję, że od trzech lat ważne epizody tych festiwali mają miejsce także w Kielcach, Staszowie, Rytwianach, Połańcu. Że dzięki Twoim staraniom mogłem uczestniczyć w epizodach londyńskich, Benedykt Kozieł także w warneńskich i wileńskich.

Z całego serca życzę Ci dalszych długich lat w dobrym zdrowiu, z wieloma nowymi sukcesami, w poczuciu zadowolenia i atmosferze szerokiego uznania – tak w kraju, jak za granicą.

Z uściskiem moim i przyjaciół ze Świętokrzyskiego – Stanisław Nyczej.

Potem odbył się na deskach scenicznych koncert białoruskiego kwartetu „Ramonki” (Rumianki) z Brześcia. W pięknym wykonaniu tego zespołu, złożonego z młodych dziewcząt, publiczność mogła podziwiać urokliwe pieśni białoruskie, ukraińskie i rosyjskie.

Dzięki zapobiegliwym staraniom wiceprezesa Kieleckiego Oddziału ZLP Benedykta Kozieła imprezę wspomogli sponsorzy: Huta Szkła Gospodarczego Tadeusz Wrześniak, Helena i Jan Suska Hurtownia Progres, starosta staszowski Michał Skotnicki, Wojciech Skowron „PHU Skowron Pokrycia Dachowe”.

Tomasz Staszewski

Z wernisażu prac Teresy Ledóchowskiej-Horodyńskiej pt. *Obecność w nieobecności*



Od lewej: Dominik Rożek, Tomasz Staszewski, Katarzyna Ciepela – dyr. Staszowskiego Ośrodka Kultury, Teresa Ledóchowska-Horodyńska, Ewa Kondek – zastępca burmistrza Staszowa, Barbara Paterek, Kazimiera Szczykutowicz, Piotr Ławrowski, Beata Kępińska

Podczas zwiedzania wystawy



Od lewej: Katarzyna Ciepela, Teresa Ledóchowska-Horodyńska, Ewa Kondek, Barbara Paterek

Od lewej: Michał Skotnicki – starosta staszowski, Teresa Ledóchowska-Horodyńska, Aleksander Nawrocki



Fot. z archiwum SOK

Staszowskie Lato Literackie 2015



Fot. z archiwum SOK

Ósme Staszowskie Lato Literackie

I tym razem – w okresie 13-18 lipca – udało nam się przy sprzyjającej aurze połączyć dysputy literackie z wypoczynkiem. Zaczęliśmy od pierwszego powyborczego zebrania Oddziału z udziałem obydwu wiceprezesów: Benedykta Kozięła i Jana Lechickiego, skarbniczki Ewy Wojtasik, przew. Komisji Rewizyjnej Romualda Bielendy, przew. Sądu Koleżeńskiego Ireny Paździerz oraz Anny Błachuckiej, Włodzimierza Kłaczyńskiego, Teresy Opoki, Marka Raka, Kazimierzy Szczykutowicz, Zofii Walas, Magdaleny Węgrzynowicz-Plichty (reprezentującej 4-osobową krakowską grupkę w naszym gronie), Marii Włodno. 16 lipca dojechał i zaakceptował wszystkie wspólne postanowienia Jan Chruśliński. Towarzyszyli nam spoza Oddziału: krytycy literaccy – Stefan Jurkowski i Janusz Termer z żoną Bożeną, a ponadto Janusz Komorowski z Kielc, Kazimierz Ryk z Radlina k. Kielc, gdynianka Elżbieta Strzałkowska z mężem Mirosławem, Emilia Tesz z Piotrkowa Trybunalskiego.

Najważniejszą decyzją było przyjęcie propozycji Kazimierza Ryka, by raz w roku wręczać jako specjalną nagrodę za osiągnięcia twórcze statuetkę rzeźbioną w krzemieniu pasiastym według jego pomysłu i w wykonaniu zaprzyjaźnionego producenta z firmy „Tajemnice Krzemienia Pasiastego” Andrzeja Wilka. Zaproponowałem, żeby była to nagroda „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”, wręczana uroczyście na publicznym spotkaniu literacko-artystycznym.

Jak ocenił przebieg Staszowskiego lata poeta i krytyk Stefan Jurkowski? W stałym felietonie *Listy do Pani A.* we wrześniowym numerze „Gazety Kulturalnej” zanotował:

[...] Zaraz po przyjeździe zaczęliśmy integracyjne spotkania w podgrupach. [...] Niech Pani nie myśli, że zaczęliśmy jakąś morderczą libację. Nic z tych rzeczy. Wino „Kadarka”, whisky z dużą ilością wody mineralnej, a nawet palinka... Najważniejsze jednak były rozmowy, sytuacyjne fraszki, przyjazny humor literacki. I taka atmosfera panowała podczas tego całego literackiego tygodnia.

Miałem promocję *Pamiętki po nieobecności*. Prowadził ją Stanisław Nyczaj. Emilia Tesz od-

czytała fragment tekstu Anny Marii Musz o tym tomie, a potem ja sam czytałem wiersze. Dyskusja rozgorzała, kiedy odczytałem dwa utwory: *Westerplatte – XXI wiek* oraz *Rocznice* – teksty, w których nawiązałem prześmiewczo do mitów historycznych.

Stefan Jurkowski

Westerplatte – XXI wiek

lato jest mroźne tego roku
kiedy w beładnym tłumie
idziemy do nieba pijani żołnierze

błękitna tafla staje się coraz zimniejsza
dogasa słońce – błyska raz na tydzień
a może rzadziej

biała ziemia to kulista zima
zawieszona w siwiejącej ciemności
wygląda jakby dopiero stworzona
choć przecież wiemy – istniała
osunęła się nam spod nóg
niczym zwierzę
które zdechło pod naszym ciężarem

tegoroczne lato nas fascynuje – wakacje
w temperaturze bliskiej bezwzględnemu zera
takich jeszcze nie było!

zdobyliśmy tak wiele –
już nie pomrzemy ani się nie urodzimy
nie darmo tak zajadłe walczyliśmy między
[sobą]
ku chwale globu i całej ludzkości

Rocznice

umieramy w patriotycznych wierszach
w zakrzepłych słowach
mitów niewolnicy
uduszeni skutecznie
w prześcieradłach i krwi
pośród chatek i matek –
nie wiadomo jak
zachodziły w ciążę

takie szlachetne i stare
aż strach

a teraz dzieci szkolne płaczą ze śmiechu
czytając wiersze
o matce w chatce
i przestrzelonych na wylot
gaciach bohaterów

W pierwszym nawiązałem do wersyfikacji wiersza Gałczyńskiego, pisząc o zagładzie świata, w drugim do szaleństwa na punkcie relikwii, nazywając je „przestrzelonymi na wylot gaciami bohaterów”. I rozpętała się awantura. Szargam świętości, piszę o pijanych bohaterskich żołnierzach, lekceważę powagę i znaczenie walk za ojczyznę. I różne tam takie zarzuty. Żadne moje wyjaśnienia nie odnosiły skutku.

A potem to wszystko zaczęło mnie bawić. Nie jestem pierwszy ani ostatni z piszących, którzy „szargają świętości”. A ja bardzo szargać lubię... Ale spotkanie uważam za nadzwyczaj udane, obyczajnie łagodził muzyką świetny młody pianista Kamil Kondek.

Następnego dnia wieczór literacki miał przebieg czysto liryczny, a więc nie tak kontrowersyjny. Był to poetycki dialog na wiersze, w którym wystąpili Magdalena Węgrzynowicz-Plichta oraz Benedykt Kozieł. Ich utwory bardzo dobrze się dopełniały. Muzyka w wykonaniu Kamila Kondka, jak również śpiew młodej wokalistki Wiktorii Pikul potęgowały nastrój.

Ciekawe było spotkanie z prozaikiem Janem Chruślińskim, po którym to spotkaniu także rozgorzała dyskusja, niekoniecznie – jak to u nas bywa – merytoryczna.

Była też wycieczka do Rytwian i Sichowa. Piękny klasztor pokamedulski robi wrażenie. Pustelnia, w której chciałoby się zostać na dłużej. A w Sichowie niemal w sposób fizyczny czułem Pani obecność. I patrząc na to z historycznej perspektywy, jest coś na rzeczy.

Potem były Kurozwęki, piękny park i pałac. Jest tam hodowla bizonów, którą dziesięć lat temu założył obecny właściciel, potomek dawniej zamieszkującego tu rodu, pan Popiel, uroczy człowiek, gościnny, pełen kultury. Tę hodowlę chcą mu teraz zlikwidować urzędnicy, twierdząc wbrew naukowym ekspertyzom, że to szkodzi polskiemu żubrom, grozi epidemią albo powstaniem

jakichś mutacji, co jest kompletną bzdurą. Nikt logicznie myślący tego nie rozumie. Przecież bizon nie stonka, z zagrodzonego terenu nie wyleci. Powiedziałem to panu Popielowi ku rozweseleniu. Podejrzewam, że to jakaś sprawa polityczna. Przecież przez dziesięć lat nie pojawiło się żadne zagrożenie. Albo też odzywa się normalna zawiść klasowa. Oto cham chce zniszczyć pana.

Na dziedzińcu pałacowym stoi wypchany bizon. Właściwie jest to pluszowy manekin z doszytą autentyczną głową zwierzęcia. Położyłem się pod tą figurą i poprosiłem, aby Magda Węgrzynowicz-Plichta zrobiła mi zdjęcie. Później znalazło się ono na facebooku z podpisem mojego autorstwa wymyślonym wtedy na poczekaniu: „Niejedna ucieszy się grafomanka, że bizon stratował Stefanka”. I zaczęliśmy przerzucać się fraszkami. Emilia Tesz powiedziała: „Czego nie zdołała ona, dokończył róg bizona”. A ja odpowiedziałem natychmiast: „To Stefana zbawi, co mu się z tyłu wykrwawi”. Żartom i konceptom nie było końca. Napisałem też – po niedużym kielichu – taki limeryk:

Pewien facet w Staszowie
czuł wielki popęd do owiec.
W zastępstwie barana
wołano tego pana,
choć był to bezideowiec.

A Staszek Nyczaj podsumował to wszystko fraszką: „To, czego nie było i czego nie ma, też można ocalić od zapomnienia”. Ale plener był, przebiegł jak zawsze w kapitalnej atmosferze. Wracałem z żalem do Warszawy.

Stefan Jurkowski

Od Redakcji

W sprawie czystości rasy zabrała też głos Emilia Tesz, rymując:

I tak Popiel, choć go nie zjadły myszy,
wciąż groźby gryzi-piórków słyszy.
Sprawiedliwości w sądach szuka prawem wiecznym.
Być może znajdzie ją – na sądzie ostatecznym.

Zakończono plener literacki

W dniu 17 lipca br. w sali kameralnej Staszowskiego Ośrodka Kultury podsumowano VII plener literacki, jaki w dniach od 13 do 18 lipca br., odbył się w Staszowie.

W imprezie udział wzięło 24 poetów i pisarzy nie tylko z terenu województwa świętokrzyskiego, ale także z Warszawy, Szczecina, Gdyni, Krakowa i Tomaszowa Mazowieckiego. Uczestnicy pleneru, podobnie jak w latach ubiegłych skorzystali z gościnności Internatu Zespołu Szkół w Staszowie.

Podczas spotkania podsumowującego tegoroczne prace warsztatowe i spotkania autorskie, wszystkim organizatorom przedsięwzięcia po-

dziękował prezes Świętokrzyskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Stanisław Nyczaj. Wręczono upominki i kwiaty, a muzycznie spotkanie ubogacił staszowski pianista Kamil Kondek.

Tekst i foto: Jan Mazanka



Wśród uczestników spotkania, obok poetów, obecni byli, m.in.: starosta staszowski Michał Skotnicki, zastępca burmistrza Staszowa dr Ewa Kondek, dyr. Społecznej Szkoły Muzycznej w Staszowie Antoni Drozd i dyr. Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy Staszów Ewa Cygan.



Starosta staszowski Michał Skotnicki, oprócz wręczenia gościom upominków promocyjnych, zaprosił do przeczytania ostatnio wydanej kwartalnika „Powiat Staszowski”, w którym na str. 56 zamieszczono artykuł pt. „Święta poezji i fotografii w Staszowie” ze spotkania poetów i fotografów, jakie odbyło się w dniu 17 kwietnia br. z udziałem, m.in.: Teresy Ledóchowskiej-Narodyńskiej i Aleksandra Nawrockiego.



Do kwiatów, jakie wcześniej otrzymał starosta Michał Skotnicki, dołączono tomiki wierszy autorstwa Stanisława Nyczaja i Benedykta Kozieła oraz innych literatów.

Jan Lechicki

Staszów – centrum wojewódzkiej kultury

Organizatorem tego pleneru był Kielecki Oddział ZLP wraz ze staszowianinem Benedyktem Kozielem, a całą imprezę sfinansowały władze powiatu i miasta Staszowa. Jest to wydarzenie bez precedensu, tym bardziej że była to jego ósma edycja.

Jako kielczanin znający realia kieleckiej (miejskiej) kultury uważam, że w tej dziedzinie Kielce powinny brać przykład ze Staszowa. Staszów bowiem to nie tylko owe plenery literatów, ale też prężnie działa tu Staszowski Ośrodek Kultury, który potrafi wykorzystać miejscowe talenty plastyczne, fotograficzne i muzyczne do promocji miasta i powiatu. Pieniądze na ten cel władze lokalne jakoś znajdują, bo zdają sobie z tego sprawę, że w XXI wieku nie tylko nauka i technika, ale również kultura spełnia ważną

rolę w różnych przejawach życia społecznego, politycznego, a nawet ekonomicznego. Dlatego, moim zdaniem, każdy grosz wydany na kulturę z nawiązką wróci do społeczeństwa.





Z Marcinem Popielem
w Kurozwękach



Chrońmy bizona w Kurozwękach!
Elżbieta Strzałkowska jest za!



Zofia Walas, Elżbieta Strzałkowska, Magdalena
Węgrzynowicz-Plichta

Zdjęcia: Mirosław Strzałkowski

O Pamiętce po nieobecności

Pamiętkę po nieobecności przesycą atmosfera oczekiwania na przelomowy moment; na chwilę podniosłą i ważną z perspektywy zarówno ludzkiej, jak i kosmicznej. Poeta niezwykle sugestywnie oddaje nastrój oczekiwania i związanej z nim niepewności. Najnowszy tom jego poezji – co koniecznie trzeba podkreślić – nie jest pesymistyczny. Poszczególne utwory rejestrują całą gradację nastrojów: od katastrofizmu po radosną nadzieję. Dlatego znajdziemy tu zarówno pełną afirmacji *Zabawę w istnienie*:

za mną umierają moje dawne światy
– nie przeglądałam się w pustce

gonię widnokrąg
patrzę przed siebie

dopóki ucieka – dopinguje do biegu
niczym przynęta wisząca na drągu
przed psim zaprzęgiem

porzucane koleiny
coraz bardziej niewyraźne

przede mną
mieni się dobra moneta:
tajemnica iluzja nic – niepoznane
nierozpoznane

w którym być może coś
zanim się połamię
kółko graniaste widnokręgu – a ja
bęć!

– jak i mroczne, nieprzeniknione * * * (ciemne miasto bez latarni...), w którym nie tylko świat z zewnątrz okazuje się opresyjny i nieprzewidywalny, ale nawet nasze własne wnętrza. Bohaterów opuszcza pamięć – ta, która pozwala połączyć przeszłość z teraźniejszością i wizją przyszłych wydarzeń; ta, która staje się gwarantem poczucia tożsamości:

ciemne miasto bez latarni
jeszcze bardziej ciemne niebo
jakby w wielkim brzuchu świata

ale przecież nie ma świata
jeszcze tylko pamięć żyje
dogorywa wyobraźnia

pamięć nasza – oddzielona
od nas samych – nic nie wiemy
skąd i dokąd te ciemności

nasze ślady nasze kroki
ciemne miasto ciągle zżera
aż ostatni czas upadnie

Dodajmy od razu, że – choć ideą zebranych w książce wierszy jest dążenie, ruch, zmienność – to jednak tempo tej poetyckiej opowieści zostaje świadomie wyhamowane. Najnowszy tom – tak, jak i cała twórczość Stefana Jurkowskiego – jest poezją do kontemplacji i rozważania. To nie dynamizm rządzi wierszami z *Pamiętki...*, a cel podróży. Działania podmiotu lirycznego przyjmują tu osobliwą formę „pielgrzymowania”: zamiast na spotkanie z Absolutem, bohater wierszy podąża w stronę drugiego człowieka. Jego wędrówka ma charakter symboliczny, często wewnętrzny, duchowy. W wierszu *Światy wspólne* stwierdza on wręcz „jesteśmy w nieobecnościach/ bardziej niż przy sobie” i tak analizuje kwestię osobności i współobecności:

w różnych światach
lecz w jednej wspólnej przestrzeni
w której istniejemy prawdziwie

zawieszeni w głębokich odległościach
pomiędzy miastem a miastem
mieszkaniem a mieszkaniem

spotykamy się niewidzialnie
choć widzimy się ostro
zwłaszcza po zamknięciu oczu
kiedy z głosów odczytujemy pogodę

w tym jaśniejącym punkcie
nieobecność staje się osobą
tobą i mną
złączonymi w jedno istnienie – –

Jaki jest cel tej metafizycznej pielgrzymki? Podmiot liryczny podkreśla często potrzebę współ-

istnienia, symbolicznego przenikania, narodzenia do siebie – nawet za cenę pokonania granicy śmierci, jak w wierszu *Przejście*, nawiązującym do tragicznych losów dziewiętnastowiecznej aktorki, Marii Wisnowskiej i oficera grodzieńskiego pułku huzarów, Aleksandra Barteniewa. Współobecność pozwala zatem zwyciężyć nawet nieistnienie. I chodzi tu nie tyle o przetrwanie w drugim człowieku, ile o w s p ó l n e ocalenie, skoro z bliskością nie może wygrać ani eschatologia, ani tytułowa nieobecność, a dwie połączone nieobecności stają się wręcz osobą.

Stefan Jurkowski opisuje te kwestie w sposób całkowicie nowatorski, wybiegając daleko poza owo zbanalizowane w poezji miłosnej „na wieczność” i „na zawsze”; w jego wierszach „na zawsze” zyskuje bowiem o wiele głębsze znaczenie. Chodzi nie tylko o własne trwanie z drugim człowiekiem, ale także o gotowość łączenia (jak w „* * * [chcę ci napisać siebie]”) „ciemnego krzyku i cichego światła” – odwiecznych przeciwieństw – a nawet tworzenie nowego świata, niezniszczalnego „globu/ który nie przemija”, a który powstaje z nieuchronnego zderzenia dwóch planet, połączonych wspólną orbitą (*Przechodzenie*). Podobnie pogłębiony wymiar uzyskała deklaracja nieustannego trwania przy bliskiej osobie choćby w wierszu „* * * [widzę cię w każdej]” z tomu *Pod każdym słońcem*: „widzę twoją twarz/ w drzewach w deszczu w obłokach// w tarczy zegara/ którego wskazówki przyśpieszają/ łączą początek z końcem/ a ja w środku tego koła/ obejmuję cię na z a w s z e”. Poeta nie oddziela uczuć od filozofii; historia ludzka, ściśle powiązana z przeżyciami wewnętrznymi, opisywana w równym stopniu przez wydarzenia, co przez towarzyszące im emocje, osadzona jest zawsze w scenerii historii ludzkości, kosmosu i czasu:

w dwóch światach
 po dwóch stronach światła
w dwóch przestrzeniach
 po dwóch stronach ciemności
ale w tym samym dniu
 który nie zna czasu
jesteśmy i nie jesteśmy:
w atomach myśli
we wszystkim co nas przenika
i co my przenikamy
w znakach wszystkich alfabetów świata
w najstarszych księgach i modlitwach zwierząt

jesteśmy i nie jesteśmy
żyjemy dla umierania
umieramy do siebie

(*Chwila razem*)

Byt, życie nie potrzebuje zatem nawet zakorzenienia w konkretnej, mierzalnej i dającej się opisać rzeczywistości. Umiejętność takiej oderwania od pojęć wymaga od człowieka wielkiej odwagi, ale przynosi też wolność, która otwiera na myślenie całkowicie innymi kategoriami i pozwala opisać nawet zjawiska tak ulotne, jak „światy niedopowiedziane/ stwarzane tylko nami, które są/ mówią/ krzyczą// rozumieją” (*W milczeniu*). Trzeba także odnotować, że precyzyjne zagadnienia filozoficzne łączą się tu z czułym liryzmem, operującym w niezwykle subtelnej skali. Te wiersze poruszają i wzruszają dlatego, że same pozostają dalekie od czułościowości, są za to szczere i w tej szczerości niezwykle odważne, gdy głoszą (wydawałoby się – idealistyczną) wiarę w możliwość spełnienia w drugim człowieku.

Pamiętka po nieobecności wpisuje zatem uparte dążenie „przed siebie – ku sobie” w niezwykle szeroką panoramę, nie tylko ziemską, ale wręcz kosmiczną. Poeta odnotowuje zjawiska metafizyczne z niezwykłą swobodą i rozmachem, znajdując dla nich idealną formę: dość plastyczną, by odzwierciedlała intuicyjne poszukiwania w sposób dostępny dla naszej wyobraźni, a jednocześnie tak pojemną, że przestrzeń w tych wierszach nie ulega ograniczeniu i pozostaje przestrzenią: pozbawionym granic, wszechpotężnym i niepoznawalnym uniwersum.

Podmiot liryczny nie zamyka wszechświata, Absolutu czy przeznaczenia w słowach, raczej stara się wypełnić je słowami i poznawać przy pomocy pytań. Takie poszukiwania przynoszą rezultaty tym bardziej niezwykłe, że z tomu na tom język poezji Stefana Jurkowskiego i jej forma stają się coraz oszczędniejsze. Minimalizm formy nie pociąga jednak za sobą (jak zostało to już pokazane we wcześniejszych rozdziałach) żadnych ograniczeń „pojemności” tych wierszy. Uzyskujemy zatem utwory o przejrzystej i czytelnej konstrukcji, skrywającej niewyobrażalnie obszerną treść. Poeta bardzo często odnotowuje w – pozornie jasnych – wierszach misterne paradoksy i sprzeczności. Ten zabieg wzbogaca przesłania, tak jak w cytowanym poniżej fragmencie *Dążenia*, w którym przyczyną egzystencjalnej niepewności okazuje

się wyrwanie z „czasu i nieba” – czyli nieuniknione zerwanie łączności z bytem wiecznym w chwili wcielenia się w doczesną postać:

nie dowierzaj swojej twarzy
bo za sekundę
zmieni się w kogoś innego

nie dowierzaj miłości
choć bywa twoim kształtem
albo tobą samym

wciąż obcym dla ciebie
dopóki czas niebo i ty
jednością

nie staniecie się – –

Bohater wierszy Stefana Jurkowskiego na pytanie o ojczyznę może zatem – zamiast o kraju – mówić o globie i kosmosie. Nieustannie podkreśla on zresztą wewnętrzne poczucie łączności z uniwersum, ale także z czasem, liczonym w miliardach, a nie dziesiątkach czy setkach lat.

zawijam w małą chwilę
wszystko to co słyszałem czytałem
widziałem –
tysiące lat które
stworzyły mnie na jeden moment
bym płacił haracz miłości
nienawiści bólu i rozkoszy

– czytamy w wersach otwierających wiersz *Pętla*. Czas i przestrzeń są tu zresztą ukazywane niedostłownie i niefizycznie; stanowią metaforę wszechświata (przesyconego nieokreśloną boskością, wyrokami przeznaczenia, ale też zawierającego nieskończoną liczbę początków i końców świata) oraz historii. Co więcej – sam tom zachęca do wychodzenia „poza” i „ponad” ludzkie możliwości, wiedzę, percepcję.

Warunki dla takiego właśnie – wielowymiarowego – opisu rzeczywistości stwarza wspomniana wcześniej lapidarność czy wręcz krystaliczność formy. Eksponuje ona zupełnie nowe znaczenia słów i sytuacji – jak choćby w wierszu *Przed podróżą*, w którym zewnętrzny „lot w górę” (w przestrzeń) i wewnętrzny „lot w dół” (zapadanie się w siebie) trwają jednocześnie:

podróż zaczyna się we mnie powietrze
sposobi się do skrzydeł

metalowych słońce ich nie stopi
choć będzie bliżej a niebo
niebieskie bardziej mróz dokoła lot
wbrew naturze wyrzekam się

ziemi lecz nie ucieknę od prawa
grawitacji – zaczyna się we mnie
podróż lęk lot zostawiam

wszystko na ziemi wszystko
biorę ze sobą przebiję
widnokrąg burzowe
odległości – zaczyna się mój lot w głąb
samego siebie zbyt wczesny

Wróćmy jeszcze do podmiotu lirycznego, by prześledzić, kto za pośrednictwem wierszy z *Pamiętki po nieobecności* opowiada świat. Nie ulega wątpliwości, że bohaterem zbioru jest poeta. Słowa, milczenie, poezja pojawiają się tu wielokrotnie, ale mimo ich silnego zakorzenienia w tych wierszach, *Pamiętka po nieobecności* w żadnym razie nie stanowi tomu autotematycznego. Kwestie języka jako środka wyrazu, a nawet pewnej formy istnienia, rozpatrywane są tu na poziomie idei, w całkowitym oderwaniu od ich „słownikowej” postaci.

Nie jest to zatem ukłon twórcy w stronę twórców, czy porozumiewawcze mrugnięcie do „kolegów po piórze”. *Pamiętka...* przekracza granicę tych – dosyć hermetycznych – środowiskowych dyskusji o tworzywieniu i tworzeniu ukazując, że „każdy ma wiersz swój wewnętrzny” („* * * [mówisz że się cieszysz]”). Poeta tak go opisuje: „każdy ma własny w sobie/ choćby nawet bez jednej zgłoski/ choćby to była naga radość czy przekleństwo/ ból albo pieszczota”. Warto zauważyć, że „słowo, myśl i wyobraźnia” to zjawiska, które pozwalają człowiekowi rozbić „niewolę edenu” (*Ucieczka z raj*). I to właśnie słowo stworzyło, czyli „wyrwało nas z wieczności/ byśmy patrzyli umierali”, jak w wierszu *Chwila Babel*. Tożsamość wyraża się w imieniu, a w wieczności „nie mówi się a znaczy”. Może właśnie dzięki temu nasyceniu świata realnego – światem słów, jednym z najbardziej niezwykłych i poruszających obrazów w całej *Pamiętce po nieobecności* staje się symboliczny hołd, składany bohaterom... przez słowa. W ten właśnie sposób, w wierszu *Połączenie*, ludzie wywyższeni zostają ponad stwórczy, wszechobecny i wszechpotężny język:

jesteśmy
żywe domki z kart

– wiatr nabiera siły –

razem
przerywamy jego ciemne drogi
oswajamy bezkres
osłabiamy oddech pochtaniających nas widnokręgów

wypełniamy siebie
po kres liczby mnogiej

klękają przed nami
słowa zwielokrotnione

Niech powyższa scena posłuży nam za przedsmak rzeczywistości, którą poeta otwiera przed czytelnikami w tej niezwyklej książce poetyckiej. Dodajmy jeszcze, że interpretacja *Pamiętki po nieobecności* może przebiegać wielokierunkowo: żaden wątek nie zostaje w niej porzucony, a odszukiwanie i tropienie nielinearnych powiązań oraz odniesień łączących poszczególne wiersze pozwala odkrywać kolejne warstwy rzeczywistości, w myśl cytowanej już w poprzednim podrozdziale *Rady*: „zrządzeniem bogów jest abyś patrzył/ czytał i po wszystkich stopniach/ schodził w głąb”.

Anna Maria Musz

Z pleneru literackiego w Staszowie



Stefan Jurkowski w rozmowie z uczestnikami pleneru

Zdjęcia: Mirosław Strzałkowski



Teresa Opoka, Jan Lechicki, Stanisław Nyczaj



Wiersze czyta Kazimiera Szczykutowicz



Wycieczka do Krzemionek Opatowskich

W 45. rocznicę śmierci Juliana Przybosia

Stanisław Nyczał

Zatrzymany wrażliwie powidok

(na kanwie lirycznych rozmów Mieczysława Arkadiusza Łypa z Julianem Przybosiem)

I

„Świat nie jest, świat się wiecznie zaczyna”. Ta Przybosiowa sentencja jest najlepszym kluczem do jego poezji. Świat zaczyna się dopiero wraz z naszym w nim zaistnieniem, własnym działaniem. Nieważne, co jest w ogóle. Istotne, co staje się poprzez nas. Poprzez naszą wyobraźnię, myśl – wyrażone ekspresyjną energią poetyckiego słowa. Stwarzamy zatem świat wciąż na nowo i przez ten ustanawiający go akt jednocześnie kreujemy samych siebie.

Tę tajemnicę sprawczej roli poetyckiego słowa stara się zgłębić Mieczysław Arkadiusz Łyp. On, współczesny poeta, podejmuje intymną rozmowę z rewelatorem ludzkiego życia duchowego, jakim był niewątpliwie Julian Przyboś.

Dowodzi, iż poezja siewcy słowa z „z rozrzuconej na pagórach” Gwoźnicy, wśród „szkarłatu buków w jarach i dolinach”, w „ustawicznych wybuchach zieleni” wciąż plonuje i zza „gęstwin duktów zagubionych ścieżek / jasnych pełzających stoków miedz” zatacza coraz szersze „płonące widnokregi”. Jakby wśród tamtych zwielokrotnionych wyobraźni mistrza malowniczych krajobrazów „z ciemnozielonymi sylwetkami topól” tkwiło niewyczerpalne źródło inspiracji, co niczym świt „szepce dzień w otwartą przestrzeń dnia”. Czerpiąc obficie z tego źródła, autor stara się jeszcze o więcej, bowiem odwołuje się do doświadczeń korzystających

zeń także innych twórców. I wtedy przy obmyślnym przez Władysława Przybosia obelisku brata Juliana – „medalionie na postumencie”, co „jak dysk niesie jasność twarzy” – rozmowa „w królestwie kolorów Uty / Jaremiarki Strzemińskiego



Zabłyscza” z intymnego niejako dialogu zdaje się przechodzić w wielość. Oto na płótnie Zygmunta Zabłyscza, malarza z Wilczego, jak w wierszu, który ilustruje, „jedno pole drugie pole trzeci zalas / i pustkowie [...] tylko Gwoźnica / w światłościeli rozplomieniona / rozsnutą barwą i dopełniona / oddalą widnokregu”. W wierszu *Ars longa, vita brevis*

Zdzisława Górka opowiada baśń o miłości Lidka „pisze obraz” z Frysztakiem Młody Chagall ze Strzyżowa maluje gorzkie prowincje z niebieskimi aniołami i zabłąkanym przeznaczeniem

a w *Czeremchowej melancholii*

Za widnokregiem w Strzyżowie Józef Franczak rozbielonym różem pudruje staroświeckie Galicje

II

Mieczysław Arkadiusz Łyp swoimi strofami obrazuje, jak wiele mistrz Julian czerpał z podglebia życia, które odnajdywało sens w konkretnym czynie, jak choćby jego walce w szeregach Orłąt Lwowskich, a w latach powojennych, kiedy dawno minęła młodość fascynacja „miastem, maszyną, masą”, kiedy jeszcze „tartak dźwięczał onomatopiejami”, w wyrażanym przejmująco niepokojem skowronka, co nagle milknie, gdy „słowo drzewo odarte z zieleni / piły rytmicznie tną wzdłuż” na brusy.

Ale też ukazuje rozkwitające w metaforach, niezmiernie wprost i zachwycające możliwości wyobraźni, kiedy „głos ojca [Uty] jeszcze raz spina / zachwyty nad katedrą Notre Dame / z bielą podkarpaczej tarniny”. Gdy mówi, jak w Gwoźnicy z zielonym Pegazem „razem czekaliśmy / na Utę pod katedrą / słonecznego stoku słowa”.

III

Autor w liryce Juliana Przybosia tropi owe „otwarte marzenia / pisane niebieskimi widnokregrami / słowa opracione w pragnienia / w lęki i zdziwienie pierwsze”. W *Białym epitafium* czytamy:

W rozwartych wrotach
pejzażu podkarpackiego Niebylca szukam
śladów Juliana Przybosia
i wielu jeszcze innych ścieżek
wpisanych w otwarty ciągle widnokrąg

„Cały świat otwiera się widnokregiem” – oznajmia w puencie wiersz *Przewód. Wiersz Więcej o metaforę* (nawiązujący do Przybosiego *Więcej o manifest*) rozpoczyna strofa:

Za Niebylcem
błękitna przestrzeń niebios
i rozchylone stokami pola
otwierają
ciągle nowe widnokregi

I znowu w wierszu *W rzece Heraklita*, gdzie „Koło widnokregu wiruje”, odnajduję znajomą perspektywę: „daleką jasność Przybosio wych wzgórz”. A w wierszu *Brzozowisko* „otchłanną przestrzeń”, w której jest „zamknięte doskonałe piękno / drgającego jeszcze koloru / czy też wzruszenia” – motywy z fascynacji Arcypoety, ustawicznie dziwiącego się napotykanemu pięknu i nim poruszonemu do ekstazy zachwytu.

Poetycki fresk pt. *Obrazek z Gwoźnicy* dla M.A. Łypa jest jednym z bliskich sercu „jesiennie-złoty ch wierszy”, wyzwalających zarazem czułość i lęk: „Niech tylko ból / nie płoszy moich / kolorem rozjarzonych metafor”. Po czym następuje odzew w *Zielonej zadumie*: „Niech spokój drzew / koi ból / rozwija słowa w nowe metafory / maluje złote ogrody



marzeń”. Zaś w wierszu *Demeter* dojrzewanie wina w Bretanii przyrównane zostaje do dojrzewania chleba po wypieku w ojczyźnie w „masywnych ramionach” kobiety „z białą chustką zawiązaną na wzór bretoński”. Zgłębianie tej tajemnicy graniczy z rytuałem świętości. Poeta puentuje: „I tak / znów zmartwychwstanę dla następnego wiersza / dla nowego ziarna / dla nowego dnia”. Śmiałe zamierzenia, maksymalnie wysilone i wypracowywane, starają się sprostać marzeniom.

IV

Znamienne i cenne to, że Mieczysław Arkadiusz Łyp dzięki bogatym doświadczeniom z podróży ciekawie uniwersalizuje reminiscencje rodzinne związane z Radomskiem i nowo przeżywane doznania wyniesione z częstych wypadów do chętnie odwiedzanych stron Przybosio wych (Gwoźnicy, Niebylca, Wilczego) z odniesieniami do Grecji – w tym i Krety („Muszę Ci jeszcze powiedzieć że / stoki pagóry zawsze mają tu / pyszną zimową bielą / a zieleń / ma odcień gajów oliwnych Krety”) – czy Italii. Tak jak dla Juliana Przybosia świat jednoczył się w jego poezji, splatał przenoszonymi w metaforach obrazami w *summę*: odczuwanie duchowej pełni.

Nad podziw – po 45 latach od śmierci Wielkiego Poety – Mieczysław Arkadiusz Łyp mierzy się swymi strofami z wyobraźnią, poetyckimi wizjami mistrza, czerpiąc pełnią wdzięczności z palety jego barw.

Stanisław Nyczaj

Mieczysław A. Łyp, *Rozmowy z Julianem Przybosiem*, Rzeszów 2015, Wyd. RS Druk, seria „Autorski Zeszyt Poetycki” 2015, nr 6, s. 132, w tym liczne kolorowe zdjęcia w rozdziale *Zatrzymane w kadrze*.



Powidoki – Julian Przyboś nad Morzem Czarnym, obok obraz Władysława Strzemińskiego *Powidok słońca*

Uta Przyboś wspomina Ojca Juliana



Julian Przyboś przed wojną



Z przyjaciółmi: malarzem Władysławem Strzemińskim i jego żoną rzeźbiarką Katarzyną Kobro



Z córkami Julią i Wandą



Jako poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny w Szwajcarii (1947–1951)



Jako dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej (1951–1956)



Z poetą Marianem Jachimowiczem



Z Kazimierzem Wyką na wystawie malarstwa Władysława Strzemińskiego (1956)



Matka Uty Danuta Kula



Z Danutą w Kazimierzu Dolnym (1955)



Z Utą (1959)



Z Utą w Gdańsku (1962)



Z Jarosławem Iwaszkiewiczem (1963)



Na Kłodzkiej Wiosnie Poetów (1967)



Po spotkaniu autorskim



Mickiewicz i Przybóś. Rys. Andrzej Stopka

Twarze zwierząt

[Handwritten Polish text, likely a poem or a list of names, written in cursive script. The text is dense and covers most of the page.]

Rękopis wiersza Twarze zwierząt



Pogrzeb Poety w rodzinnej Gwoźnicy

RECYTACJE w Warszawie 6.X.1970 r.

1. Makowski	Wacław Kubacki Prolet / wiośna / Jaku Kurek Don
2. Gombrowicz	
3. Petrica	Różewicz Szymborski Grochowski
4. Świadek	Baczyński
5. Rajzic - Ingres	
6. Jechova	Creel
7. Yonekawa	- Japo
8. Uchida-Yoshigami	- Jp
9. Fosner	Fr
10. Sargonin	Laby Braachwy
11. Pisan	- Creel
12. Erhel	Fr
13. [unclear]	
14. Szilkowicz	Japo

STEVEN S - wzm Pryll
Radwan Satf.

Ostatnia linia nakreślona ręką umierającego Poety podczas II Międzynarodowego Zjazdu Tłumaczy Literatury Polskiej w Warszawie (6 X 1970)

Promocja nowego tomu poetyckiego Uty Przyboś

28 października w kieleckim Domu Środowisk Twórczych (naszej siedzibie) spotkaliśmy się, by uczcić pamięć jednego z najwybitniejszych współczesnych poetów – Juliana Przybosia, który silnie oddziałął na wielu twórców.

Główną bohaterką wieczoru była Jego córka Uta – poetka i malarka, członkini naszego Oddziału ZLP. Promocji jej nowego tomu pt. *Prosta* poświęciliśmy drugą część spotkania.

Wiersze Juliana Przybosia i Uty recytowali wspaniale Barbara i Szczęsny Wrońscy.

Do Przybosiowej rocznicy nawiązał prowadzący spotkanie Stanisław Nyczaj w przytoczonym tu wcześniej eseju zamieszczonym w tomie Mieczysława A. Łypa pt. *Rozmowy z Julianem Przybosiem*.



Autograf Uty otrzymują: Barbara Kocela i Włodzimierz Kłaczyński, który w 1983 uhonorowany został w Rzeszowie Nagrodą im. Juliana Przybosia za powieść *Popielec*



Szczęsny Wroński czyta wiersz Juliana Przybosia



Uta w rozmowie z prof. Bogusławem Wiłkomirskim i Ireną Nyczaj

Zdjęcia: Władysława Szproch

Kwiecień w Gwoźnicy

Tu babka i dziadek wypatrywali nieba między wzgórzami:
niosło plon lub głód.
To miejsce widzę dziś w obłoku.
Białym i pachnącym namiętym pragnieniu
przyszłości,
jak kwietny pyłek tak ulotnej,
że zapach mocniejszy od widzenia...
a późniejsza soczystość śliwek na języku trwalsza,
choć dopiero szorstkość pestek w ziemi utwierdzonych
zrodzi trwałą nadzieję...

i widzę w tej chwili
– znaczę –
prawdę odsłoniętą obłokiem:
nie przemijania,
aż forsycja jak sam szczyt płomienia
rozjarzyła radość
nie-i-istnienia

Emigranci

Ruszali
z zabitej pagórkami nieurodzajnej doliny
do Ameryki,
z bezdroży
za zbożem.

Za chlebem przez Hamburg, Antwerpię, Bremen
mniej znane im niż Jeruzalem
z ich drewnianego kościółka.

Sfalowany jak ziemia rodzinna ocean
kołysał,
błyskał jak łany zbóż na wietrze,
jak pustynia – przerażał.

Z nabranym ubogim dobytkiem dla mizernej pewności;
piętrzył się potem buro na brzegu Nowego Świata.
Oni czekali na selekcję na Ellis Island,
wśród nich mój dziad Józef.
Czy o atakujących ocean, jak wezbrane fale ziemi,
gmachach Njujorku
mówił memu ojcu
gdy powrócił na ojcowiznę?

Dziś moja córka wylatuje...
i o tym samym świecie ląduje
w San Francisco
(hiszpańscy zdobywcy nadali imię skromnego sługi
temu miejscu).

Czy pokorni oracze nazwali jakiś skrawek tamtej ziemi
znanym im jak jabłoń koło chałupy
słowem?

Pogrzeb

*„O, jak bardzo się dziwię, że ludzie
niektórzy sami siebie oszukują, którzy mówią:
nie ma wieczności.”*

św. Faustyna

W ten dzień piękny schyłku lata dopełniony ciepłym
[blaskiem
w czerń żałoby ustrojeni żeby światło rozpaczliwiej
[chłonąć?
I skoszonej trawy zapach, (bo jej truchło nam nie
[cuchnie)...
Zieleń liści tu i ówdzie ogarniała już złocistość
opadania.

Panowie fizycy roztaczali mądre twarze
na co dzień myślący o nieskończoności,
chaos czy ład świata rozważając
nie szli do bieli opłatka...

Przybyliśmy tłumnie,
bo zmarły naukowiec
patrzył na innych uważnie, uśmiechał się ciepło.
Pomagał wielu.
Niewiele wiem o jego odkryciach.

Przybył nawet stary cieć z Instytutu, przyniósł znicze.
Pachniał grób w kwiatkach.

Znaczenia

pierwsze krople deszczu
w oczach błysły
wielokropkiem niejasnym naznaczają drogę
liście niebo wydrążyły
przypały do ziemi
złotem gwiazd unoszą
późny mroczny motyl zniknął za cień drzewa
jak lawa wychynął muchomor

trupim nalotem się okrył
ciemnieje długa droga
dwie krople na twarzy
chłodne
świecą

już nie muszę przenikać
WIEM: wszystko jest znaczeniem

i ja przy okazji?

Martwy dialog

„To tylko przedmioty” – powiedzieli wychodząc z
[płonącego miasta.

Na chwilę.

Bo na samym początku spleli gałązki czyniąc z roślin
[przedmioty.

Nie wystarczyło im nazywać już stworzonych istnień,
więc potem żeby żyć musieli wymyślać rzeczy.

„Przedmioty dlaczego tak myślicie?” – zapytają
[w końcu.

„Bo wy nie potraficie nas odrzucić choć wiecie, że
[oglądając zastygacie
jak my – martwi”.

Się poruszają – marsz

do pracy domu kina na wojnę
chodzą się spotkać kochać lub zabić
jadą pozwiedzać zaorać pole
ubić interes lub jakieś zwierzę
nad nimi chmury nad nimi gwiazdy

każdy osobno albo w szeregu
między domami między drzewami
leca pozwiedzać lub rzucić bombę
pod nimi góry morza ocean

idą za rękę lub ramię w ramię
nad nimi pszczoły bywa że drony
zawsze anioły a czasem sępy

krok spacerowy albo marszowy
w prawo na lewo pod kątem prostym
po łuku skosie czasem na oślep
ze swym myśleniem zaplanowaniem

hop
i następni krążą po globie

Bez słów

moim „końskim” przyjaciółkom

Jak to dobrze, że konie nie mówią słowami!
W stajni nie opowiadają o swoich losach. Nic nie
mówi ten kluty widłami, ani ten biczowany.

Nie potrafią wysłać wiadomości: więc te piękne,
z okrągłymi zadami i bujnymi grzywami, nic nie
wiedzą o transportach i rozrywaniu ludzkimi zębami.

Jak dobrze, że nie mogą opowiadać historii: o milio-
nach przodków poległych na wojnach w nie swojej
sprawie, o ciężkich orkach nie dla siebie. Trawa
rośnie sama.

Jak to dobrze, bo mogę wejść do stajni cichej, ciepłej
pełnią obecności i bez słowa przytulić policzek do
mocnej, aksamitnej szyi, spojrzeć w wielkie oczy
pełne zaufania.

Przed grobem Marksa

na cmentarzu w Londynie na wzgórkach pagórkach
Wielka Głowa
dookoła przycupnęły nagrobki tych co uwierzyli
[(podwzgórzami mózgu?)
w myśli tamtej Głowy

Wielka Głowa jak totem dla tych co odrzucili
[pośmiertność
a jednak garną się do niej jak szkieleciki piskląt.

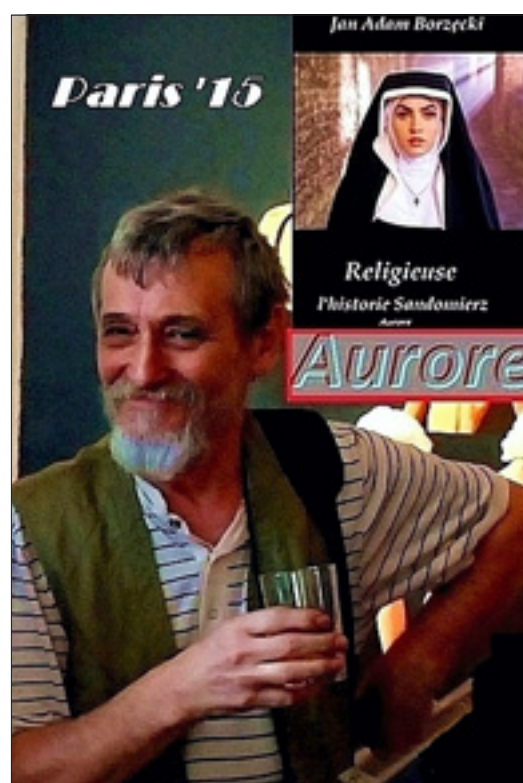
Brzezina

Płyną łyzy:
pnie brzóz wsiąkają w ziemię,
w mogiły poległych.
Śnieżną zimą zmarznięte sople
ociekają ciemnymi gałązkami w niebo.

Zbite na krzyż
wyznaczają punkt we Wszechświecie.

Uta Przyboś

Francuskie wydanie powieści *Mniszka*



W sierpniu tego roku w Paryżu, nakładem Oficyny Aurora ukazała się francuska wersja powieści Jana Adama Borzęckiego *Mniszka*. *Opo-*

wieść sandomierska. Książkę przełożyła Joanna Wielicka-Bodin, a jej redakcję i wydanie nadzorowała Cecile Burchet.

Czerwona kartka

(Fragment przygotowywanej do druku powieści *Mężczyzna który milczy*)

Zacząłem siwieć od wąsów, chociaż nie jestem tego pewien. Z całą pewnością nie od brody, bo jeszcze jej wtedy nie miałem, a nawet nie przewidywałem, że kiedyś będą ją miał. Zresztą może zaczęło się od włosów na głowie, ale biorąc pod uwagę ich ilość, przez jakiś czas siwizna mogła nie ujawnić się zbyt nachalnie i dlatego fakt ten przegapiłem. Z całą pewnością siwienie nie zaczęło się od zarostu łonowego, bo jeszcze wtedy nie miałem powodu ignorowania tej części samego siebie, która biorąc pod uwagę wiek, nad wyraz skutecznie stawała na wysokości zadania. Dopiero od jakiegoś czasu między nogi zaglądam bardzo rzadko, a obecnie prawie wcale. Nawet podczas kąpieli, kiedy namydloną gąbką starannie myję okolicę krocza, starałem się polegać wyłącznie na zmyśle dotyku. Moja antypatia do tej partii ciała

sięga zresztą tak daleko, że nie akceptuję nawet odbicia w lustrze, a jeśli przypadkiem mój wzrok dotknie sflaczałego, zwisającego prącia, czuję doń taką odrazę, że mam ochotę pozbyć się go na zawsze. Podobnie zresztą jak i wyciągniętej torby z płaczącymi się między nogami, wyjąłymi jądrami, na które mężczyźni w pewnym wieku patrzą już bez nadziei na cud.

Zapowiedzią klęski były słowa żony, która trzy lata temu – mężczyzna takich wydarzeń nie zapomina – widząc mnie nagiego stwierdziła, że moje genitalia przypominają rzeźniczkę odpad. I chociaż powiedziała to bez jakiejś szczególnej złośliwości, a tym bardziej lekceważenia, przecież jej słowa podziały na mnie jak lodowata woda. Coś się we mnie odwróciło, szerniało i nagle zdałem sobie sprawę z własnej degradacji

i nieodwracalności procesu dewaluacji. Przed wszystkim fizycznej, ale przecież właśnie tego wymiaru dotyczyła jej uwaga. Nagle dotarło do mnie, że chociaż wciąż jeszcze przedstawiałem jakąś wartość, ale z całą pewnością już nie taką, jak jeszcze kilka lat temu. Nagle zdałem sobie sprawę, że moja nagromadzona w ciągu kilkunastu lat wiedza, moje doświadczenie i jakieś tam życiowe osiągnięcia nie są mnie w stanie uratować przed sceptycyzmem mojej żony, która swoją uwagą o moich genitaliach odebrała mi pewność siebie, prawo do męskości, a może nawet do płci. Nagle zrozumiałem, dlaczego widząc mnie nagiego, podnosi wzrok do góry i stara się go nie opuszczać poniżej piersi. Zupełnie jakbym poniżej klatki piersiowej nie istniał, przestał być widzialny, miał jakąś szkaradną narośl lub otwartą, ropiejącą ranę. Co prawda od jakiegoś czasu w oglądaniu mojej nagości zazwyczaj była raczej powściągliwa, ale przecież przez wiele lat widziałem te dyskretne spojrzenia, jakimi jeszcze nie tak dawno omiatała moje podbrzusze. Przyznam, że do pewnego momentu bardzo mi to pochlebiało, prowokując do eksponowania mojej męskości, co czyniłem w sposób dyskretny, ale zarazem wyzywający. Po kąpieli celowo nie wycierałem się w łazience, ale pod byle pretekstem przychodziłem do jej pokoju i dopiero tam się osuszałem. Oczywiście wolno, starannie, ustawiając się tak, aby pokazać jak najwięcej i z jak najlepszej strony. A ponieważ sama sytuacja wpływała na mnie podniecająco, prężyłem się prowokująco, starając się wywołać w niej namiętność. Zazwyczaj z miernym skutkiem, bo od jakiegoś czasu nasze życie erotyczne wyraźnie zastopowało. Nawet nie to, abyśmy zaprzestali współżycia, ale nasze zbliżenia były coraz rzadsze i coraz mniej namiętne i jakby zdystansowane. I coraz częściej miałem wrażenie, że dochodzi do nich tylko dlatego, że ja tego pragnę, bo żona mogłaby się bez nich obyć. Nie ukrywam, że było to dla mnie przykre, bo biorąc pod uwagę, że była ode mnie sporo młodsza, z całą pewnością nie wyczerpała swoich erotycznych możliwości. Wychodziło więc na to, że przestałem być dla niej atrakcyjnym kochankiem. Może nawet nie tylko kochankiem, ale w ogóle życiowym partnerem? A najdziwniejsze jest chyba, że to odchodzenie szeroko pojętej atrakcyjności było wprost proporcjonalne do oziębienia erotycznego klimatu.

Słowa żony uświadomiły mi, że nadszedł czas zbilansowania mojego życia erotycznego, bo chociaż z moją potencją wcale nie było jeszcze tak źle, przecież zdałem sobie sprawę, że już nie mogę liczyć na nic więcej, a moja erotyczna wydolność dramatycznie dołuje. Taki wniosek można wyprowadzić choćby ze słów żony, bo gdybym dawał jej seksualną satysfakcję, zapewne nigdy bym tego nie usłyszał. Wtedy nie byłoby tej bolesnej uwagi o deformacji moich genitaliów ani omijania ich wzrokiem.

A swoją drogą to dziwne, bo kiedyś lubiliśmy swoją nagość i eksponowaliśmy ją przy każdej okazji. I nie przeszkadzała nam obecność innych ludzi zaszokowanych, a nawet oburzonych naszą nagą śmiałością. Pamiętam pewne letnie popołudnie, kiedy to oddzieleni od drogi jedynie skąpym krzakiem wikliny swoją bezczelną nagością gorszyliśmy spacerujących nadwiślańskim bulwarem. Dość powiedzieć, że wiklinowy krzak był mniej bujny od wspaniałego zarostu Anny, który wybuchał na jej podbrzuszu gwałtownie wspinając się jak powój, układając we francuskie loki, magnetyzując nieskrępowanym bezwstydem i prowokującym do rozgarniania jak leśny mech. Trudno więc dziwić się, że mężczyźni chodzili w tę i z powrotem, nie zwracając uwagi na ponaglenia wiszących u ramion towarzyszek, które być może były nie mniej owłosione i rozłożyste, ale nie umiały tego wyeksponować. Bo trzeba przyznać, że Anna miała wrodzony talent perwersji. Wszystko co robiła, nawet czynności odległe od erotyki, potrafiła nasączyć taką zmysłowością, że chcąc nie chcąc kipiła wyobraźnia i puchło krocze.

Długo nie zdawałem sobie sprawy z głębi jej zaborczej, dzikiej miłości. Tym bardziej, że na początku traktowałem ją jak kobietę do łóżka, tym wygodniejszą, że nie musiałem o nią zabiegać, kłamać o miłości i obiecywać bóg wie co. W dodatku okazała się świetną kochanką, a jej pochwa była jakby uszyta na moją miarę. Nigdy nie udawała cnotki, lecz całkiem zwyczajnie rozbierała się, a potem otwarcie patrzyła jak rozbieram się ja, mówiła jak mam ją pieścić i pytała, jakie pieszczoty sprawiają mi przyjemność. I patrzyła na mnie spod szopy wspaniałych włosów jak wygłodniała wilczyca. A włosy miała rzadkiej urody! Wielka, zaczesana na prawą stronę, autonomiczna szopa gęstych, finezyjnie splecionych ciemnych włosów fascynowała, prowokowała dotyk, ale też dziwnie oneśmiała. Wydawało się, że ich dotknięcie

będzie gestem zbyt obcesowym, świętokradczym, a w każdym razie niestosownym. Odnosiłem też wrażenie, że jeśli ich dotknę, moja ręka utonie w nich, zagubi się i nie będę mógł wyjść z tej gęstwiny. Zresztą nie miałbym nic przeciwko temu, bo trudno mi było wyobrazić sobie większą zaciszność. Kiedy pochylała się nade mną, wtulałem twarz w ten jej wulkan włosów i czułem się bezpieczny, jak z żadną inną kobietą. Ta miękka poduszka była jak suty mech na strzesze mojej rodzinnej chałupy, przytulna jak przyklejone do belki obory jaskółcze gniazdo, jak amortyzujące zimowy chłód baranie futro albo świeży gęsi puch w mojej ulubionej poduszce mającej zdolność prowadzenia wyłącznie dobrych snów. A kiedy siadała pod moją dyskretną lampką, puszyste końce jej włosów stawały się wyrafinowaną kolorową koronką przypominającą wota świętych obrazów. Mówiłem wtedy, że jest moją świętą, a ona odpowiadała, że dla mnie woli być grzeszną, bo to znacznie przyjemniejsze.

Miała także wspaniałe, gładkie sprężyste ciało, które tężało pod moim wzrokiem jeszcze bardziej się wygładzając i wręcz szokując bezwstydną, podniecającą, dowartościowującą i rozczulającą szczerością. Kiedy patrzyłem na jej nagość, czułem się jak odkrywca nowego kontynentu, planety, a nawet galaktyki. Zupełnie jakbym wcześniej nie oglądał innej nagiej kobiety lub że było to tak dawno, że ich nie pamiętam. I w pewnym sensie tak właśnie było, bo od Anny zaczął się dla mnie nowy rozdział kobiecości, co miało zarówno dobre, jak i negatywne skutki. Patrząc z czasowej perspektywy, bilans nie wydaje się oczywisty, chociaż po trzydziestu wspólnych latach trudno o świeżość uczuć i umiejętność wywołania w sobie obrazów z przeszłości. Dziś patrzymy na siebie tak, jakbyśmy nigdy nie wyglądali inaczej, a może raczej nawet się nie widzimy, rejestrując jedynie naszą – bywa wymuszoną – obecność. Zupełnie jakbyśmy byli bezcieleśni, bezpostaciowi, pozbawieni fizycznej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Przesuwamy się obok siebie tak jak obok mebli, przedmiotów i ścian, unikamy dotknięcia. Oddaliliśmy się tak dalece, że już nie pamiętamy koloru naszych zmęczonych swoim widokiem oczu, nie rejestrujemy zmian koloru naszej skóry i włosów, nie widzimy pomarszczonych twarzy. Żyjemy bez dotyku, ciepła nie tylko ciała, ale nawet słów i gestów. Czasem zastanawiam się, jak tak można żyć i czym nasz dom różni się

od więzienia, zakonu lub pustelni. Tak naprawdę łączy nas jedynie miłość do kotów i troska o ich spokojną egzystencję. A one jakby to pojmowały, dają nam do zrozumienia, że bardzo lubią, kiedy jesteśmy razem. Kładą się nam na kolanach lub na stole, przy którym siedzimy, przenoszą wzrok w zależności od tego, które mówi i aprobująco mruczą. Ale robią to tak głośno i sugestywnie, jakby dawały do zrozumienia, że tak właśnie być powinno i choćby ze względu na nie powinniśmy być ze sobą bliżej.

Jeśli zaś chodzi o erotyczną czerwoną kartkę, prawdę mówiąc nie byłem nią zaskoczony, bo od pewnego czasu spodziewałem się, że coś takiego powie. Starłem się o tym nie myśleć, ale jeśli między mężem i żoną jest tyle lat różnicy, w końcu należy spodziewać się, że pewnego dnia otrzyma się ostrzeżenie. Nawet jeśli subiektywnie nie odczuwa się jeszcze ciężaru wieku, a badający cię lekarz prawi komplementy na temat znakomitej pracy twojego serca i uregulowanego ciśnienia. Ale przecież czujesz, że coraz wyższe stają się schody, które jeszcze kilka lat temu pokonywałeś biegiem; że bez żadnego powodu zaczynają boleć stawy, a kręgosłup z trudem utrzymuje w pozycji mniej więcej pionowej. Jeszcze jeździ się na rowerze, chodzi na długie spacery i kilka razy okrąża basen, ale wszystko to jakby z rozpędu, jakby z zapomnienia się, z przyzwyczajenia. Do tego dochodzą defekty pamięci, najczęściej objawiające się brakiem jakiego podstawowego słowa, długim przypominaniem sobie nazwiska znajomego lub nazwy sąsiedniej ulicy, bo chociaż w naszym mieście nie ma ich wiele, przecież sfatygowana pamięć ich liczbę skutecznie skraca.

Wydaje się jednak, że w moim przypadku jej słowa podziały przede wszystkim na moją psychikę, czego najlepszym dowodem fakt, iż dopiero po ich usłyszeniu zauważyłem defekty fizyczne, których do tego momentu jakoś nie dostrzegałem, a w każdym razie nie przywiązywałem do nich większej wagi. Prawdę mówiąc do tej chwili nie czułem obciążenia wiekiem i uznawałem się za człowieka mniej więcej czterdziestoletniego, dla którego wiekowa fizyczno-umysłowa niepełnosprawność jest jeszcze perspektywą na tyle odległą, że nie ma sensu o niej myśleć. Wciąż żyłem intensywnie, a jeśli nawet okresowo zwalniałem tempo, raczej traktowałem to w kategorii lenistwa lub spowolnienia profilaktycznego. I dopiero słowa żony spowodowały,

że zacząłem rejestrować fizyczne i intelektualne ubytki, odkrywając coraz większe manko. Także to w wymiarze erotycznym. Nagle zacząłem pilnie obserwować się, porównywać i wyciągać coraz bardziej nieprzychylnie wnioski. W rezultacie znikła dotychczasowa spontaniczność, a jej miejsce zajęło poczucie nieporadności i dołującej bezsilności. Kiedy kochaliśmy się, a nawet zanim do tego doszło, często zastanawiałem się, co ona czuje i jak mnie postrzega. Czy aby nie śmieszą jej moje beztadne słowa, nerwowe, może niezgrabne gesty, nieustanne balansowanie dłońmi wokół jej piersi i krocza. Czy rzeczywiście chce się ze mną kochać dlatego, że tego pragnie, czy może raczej czyni to z litości? Jeśli nawet patrząc na jej szeroko otwarte łono przez chwilę byłem przekonany, że mi się to udało, tryumf trwał krótko, bowiem wystarczył rzut na jej twarz, aby znowu zwątpić we wszystko, bo już nie byłem pewien, co dzieje się za jej zamkniętymi oczami i tym skupieniem będącym jakby opozycją zewnętrznego otwarcia. I wtedy wątpiłem nawet, czy kiedykolwiek zdołałem ją erotycznie zaspokoić. W tej sytuacji trudno dziwić się, że pościel zamieniła się w izbę tortur, którą zacząłem omijać. W rezultacie wkrótce doszło do fizycznej separacji, co negatywnie wpłynęło na inne wymiary wspólnej egzystencji.

Mówiąc szczerze, świadomość odchodzenia od erotycznego wymiaru była jednak dotkliwsza niż się tego spodziewałem. Nagle skonstatowałem, że to, co kiedyś uznawałem za jeden z najważniejszych elementów siebie, teraz skłonny jestem traktować jak pretekst do słodko kwaśnych wspomnień, odmawiającego posłuszeństwa zdrajcę, który zawodzi w momencie, kiedy wobec powszechnego sabotażu ciała i intelektu miałby szansę stać się okolicznością umożliwiającą marsz po coraz węższej równoważni, poduchą łagodzącą twarde lądowanie w czasie mniej odpornych kości i kamienistej prawdy o życiu. Bo kiedy bardziej wnikliwie przeanalizuje się własne zachowania, dochodzi się do wniosku, że w przypadku mężczyzny przez dłuższą część życia właśnie członek jest najważniejszym organem. Nie serce, płuca, nerki czy inna część maszynierii, ale właśnie członek. Bo nie ulega wątpliwości, że przez większość naszego czasu właśnie poczucie męskości utrzymuje poziom męskiego poczucia wartości, stoi za pierwszym, nieśmiałym zainteresowaniem dziewczyną, konspiracyjnym

podpatrywaniem pańienek, przeraźliwym drżeniem samotnego serca, pierwszym masturbacyjnym doświadczeniem, a także tym pożądlwym spojrzeniem, jakim obrzuca się każdą atrakcyjną kobietę; spojrzeniem oznaczającym gotowość podboju każdej samicy świata, niezależnie od koloru skóry, kąta ustawienia oczu, religii i profesji. I chociaż zazwyczaj w tle zazwyczaj czai się bojaźń przed tak ambitnym wyzwaniem, wyzywające spojrzenie podbudowuje męską pewność siebie, daje poczucie jakiejś nadzwyczajnej mocy, dzięki której jesteśmy w stanie uwierzyć w wyjątkowość naszej hipnotyzującej męskości, zdolność staranowania każdej błony dziewiczej i doprowadzenia każdej kobiety do krzyku rozkoszy. I chociaż z czasem namiętność słabnie, naszą pewność podtrzymuje częsta erekcja, utwierdzając nas w przekonaniu o ciągłej sprawności. Co prawda jest to już zupełnie inny rodzaj pewności siebie, będący raczej okruczem pierwotnej, ale wciąż wystarczający do trzymania w pionie i podtrzymania przekonania o tym, że się jeszcze jest komuś potrzebnym. Tym bardziej po tym, co usłyszałem z ust żony i co odebrałem wręcz jak pozbawienie godności. A najtrudniejsze jest, że tej pogardy nie jest w stanie zniwelować nikt inny. Nawet przyjaciel, bo myśląc o byciu komuś potrzebnym, w podświadomości niemal zawsze miałem na myśli kobietę. Także w okresie kiedy jej przy sobie nie miałem. Wtedy nie była to jakaś konkretna osoba, a raczej idea kobiety, jakaś pożądana NN, która wypełniała pustkę po tej, która odeszła i będąca przecuciem tej, która się pojawi. Zazwyczaj nie wyobrażałem sobie jej wyglądu, a jeśli już, to w jakimś ogólnym zarysie, raczej bardziej psychologicznym niż fizycznym. Najbardziej pożądanymi przymiotami miało być ciepło, dyskretna życzliwość, poczucie emocjonalnej wyłączności oraz umiejętność przekonania mnie, że cała jej przeszłość była drogą do mnie, a dobra przyszłość może być tylko wspólna. Chociaż skłamałbym mówiąc, że nie liczyła się powierzchowność, bo samo przez się rozumiałe było, że przymioty ciała dorównywać powinny przymiotom ducha. A raczej byłoby to rozumiałe, gdyby nie to, że nigdy nie zdołałem zdefiniować estetycznego ideału kobiety. Dojrzałe mężczyźni zazwyczaj potrafią określić preferowane fizyczne cechy – kolor włosów i oczu, kształt i wielkość piersi, linię bioder i parametry nóg, a ja nigdy nie umiałem określić wyglądu tej, na

którą czekałem. Nigdy nie lubiłem posągowych kobiet o idealnych proporcjach ciała, modelowych rysach twarzy i oczach bogini. Ich przesadna doskonałość, zimna pewność siebie i lekceważący narcyzm wydają mi się wręcz obelgą tak wobec innych kobiet nieposiadających tak idealnych atrybutów, ale także większości mężczyzn, dla których ich niedostępność mniej lub bardziej uświadamia samcze ograniczenia. A dla mężczyzn kobiety pozostające poza możliwością ich zdobycia praktycznie nie istnieją. Taka kobieta to dla przeciętnego mężczyzny przykład całkowitej abstrakcji, rodzaj niepotrzebnego gadżetu, wystawowego manekina i niepasującego mebla.

Melancholia dobrej poezji

Wydaje się, że współczesność nie służy dobrej poezji. Może z powodu nadmiaru poetów – podobno składaczy wierszy jest więcej niż czytelników – a może ekspansywny doping rzeczywistości wymusza zbyt pospieszne, niedojrzałe słowa, które dewaluuja się już w trakcie pisania. A przecież dobra poezja to ponadczasowe słowa i emocje, prowokacja do konwersacji ze światem i samym sobą, a także dobra intencja zrozumienia tych ważnych spraw i rzeczy, które gubimy na coraz gładszych drogach, po jakich coraz szybciej ścigamy się, usiłując dopaść kolejny komercyjny wytwór prymitywnie pojętej ambicji. Pewnie dlatego wiersze przypominają wystrój często zmienianej witryny lub wzajemnie wypychające się reklamy.

Z satysfakcją informuję więc, że oto trafiłem na tomik poezji, który przywrócił mi wiarę w moc

dobrego słowa. Bynajmniej nie jest to poezja jakiegoś modnego – czy jak się teraz mówi „topowego” – poety, odkrywcy współczesnej formy opisu coraz bardziej rzeczywistości, lecz poetki nie tylko spoza kręgu literackich błą-



Owszem, może liczyć na soczysty komplement w formie zapowiedzi, co by było, gdyby został z nią sam na sam, ale to raczej na zasadzie samczego obowiązku, a nie szczerego podziwu, bo to nie ta klasa i nie to oczekiwanie. Jego ideał kobiety był zupełnie inny, a jedną z podstawowych walorów jest ich dostępność. Ale trudno mieć mu to za złe, bo patrząc z perspektywy kopy lat z okładem dochodzę do wniosku, że mężczyźni wszystkich ras i wyznań sens tego świata widzą w oliwieniu go spermą.

Także tą ze wspomnień po minionych samczych przewagach...

kitnokrwistych, lecz wręcz egzystującej poza targowiskiem poetyckiej próżności.

Mówię o Joannie Kłaczyńskiej, mieleckiej lekarce, która odkrywając w sobie poetycką wrażliwość, odważyła się na pokazanie nam swojego wewnętrznego świata. Recenzowany tomik *Melancholia – elegancka Siostra Smutku* jest jej drugim wydanym poetyckim zbiorem. Zadebiutowała rok temu tomikiem *Przed zmierzchem*, a jego dobre przyjęcie ośmieliło ją do wydania kolejnego, który na szczęście wpadł w moje myśli.

Muzo moja
ty niepodkasana
włosy masz siwe
i twarz pooraną zmarszczkami
wczorajszych marzeń...

(Odpoczynek)

Powodem wybrania tego cytatu jest przekonanie, że tak opisana Muza nie może być banalna, bo nie mogą być bałamutne słowa kogoś, kto ma za sobą życie pełne doświadczeń i świadomość bolesności odchodzenia marzeń. Nie może oszukiwać ktoś, komu w dobie konsumpcyjnego rozpasania wystarczy jedynie kubek czyjegoś ciepła i kanapka uśmiechu (*Dieta*). Zresztą, kto tak wyznaje uczucie w dobie kiedy:

On tęskni
ona tęskni (...)
Czytamy
Ziewamy
Kogo to dziś obchodzi,
Esesesy, emaile
za małą pojemność

skrzynki
A może serca.

(*Listy idoli*)

Lakoniczność, bezpretensjonalność, mądrość życiowego doświadczenia, cicha prawda, która skutecznie zastąpiła „klasyczne” poetyckie atrybuty, dojrzałe wnioski zamiast litanii naiwnych symptomów. Jeszcze raz okazało się, jak wielką zaletą jest słowna wstrzeźliwość, pokora oraz brak prymitywnej ambicji twórczego zaistnienia. Wszak wiadomo, że u stóp Parnasu pełno ciał tych, którzy uparli się go zdobyć, a weszli nań ci, którzy pozbyli się ciężaru ambicji.

Lektura tej poezji jest cichą rozmową z kimś, kto zrozumiał najważniejsze i potrafi to przekonująco wyjaśnić; kto poznał sens i zdolny jest do życiowej syntezy. To nie jest tworzenie wizji świata – to wręcz rozwiewanie iluzji i podporządkowanie się logicznemu działaniu Losu. Nie ma agresji, zawiści, wrogości. Nie ma wielkiego świata, lecz intymnie traktowany skrawek własnego miejsca. Nie ma nawet ostrej obserwacji samego siebie, a raczej kontemplacja własnego cienia. Bywa cichy żal za przeszłością, delikatne rozczarowanie, tytułowa melancholia oraz kropla egzystencjalnego żalu, która bynajmniej nie wywołuje wstrząsu, a co najwyżej szczyptę szlachetnej refleksji. Dla mnie bodaj najważniejsze, że jest w tej poezji dużo płodnej ciszy, która – to Eliot – bywa najlepszym rozbiegiem myśli.

Poetce udało się znaleźć swój własny sposób, aby o ważnych sprawach mówić słowami chodzącymi po ziemi, oddalić się od metafory i metafizyki. Czas nie jest potworem lecz zwyczajnym scenografem zmieniającym rzeczywistość, charakterizatorem kształtującym nasze twarze. W poezji tej pełno Heraklita, ale rzeki, w których brodzimy, płyną cicho i spokojnie. Dzieciństwo, piękna młodość, przemijanie to wszak nie tragedia, lecz powszechne przeznaczenie, spod którego ponoć wyjęty jest jedynie Bóg, chociaż i to nie jest pewne. Pozornie wielkie słowa przepadają w zgiełku im podobnych, a przecież wiadomo, że filozofią może być banalny ruch gałązki, nieśmiertelną ideą myśl poczęta na bujanym fotelu. Tak jak perłą może być kilka poetyckich słów. Choćby takich:

pan Maj
kupiec bławatny

kwietne perkale
rozpostarł
w słońcu

(*Ziemia Świętokrzyska*)

albo:

Niebo nad Sandomierzem
na złoty guzik zapięte.

Nie chcę narzucać nikomu własnego zdania. Wszak mądrzy ludzie wiedzą, że o poezji, tak jak o gustach, nie powinno się dyskutować. Każdy wybiera taką, na jaką go stać.

Ja dobrze czuję się w towarzystwie eleganckiej Siostry Smutku...

Jan Adam Borzęcki

Joanna Kłaczyńska, *Melancholia – elegancka Siostra Smutku*, Wydawnictwo Sowello, Rzeszów 2015, s. 96.



Ilustracja do tomiku: Ryszard Zamojski

Barbara Kocela – poetka i jej panaceum na „wirujący czas”

Łysakowski las

Otacza wioskę azylem ciszy
wabi kameleonem barw

Stroi w korale dumną kalinę
i przyziemne borówki

Zbiera jagody jałowca
i czerwone grzyby

Wieczorem liczy świergoty ptaków
układa do snu w gałęziach

Szeleści i pachnie
porzuconą zielenią

Zimą śpi przytulony do wsi
zna moje ścieżki nawet tajemnice

[...] „Ja” liryczne tytułowej wiersza mówi: „Twoje słowa – panaceum – [...] wypełniają nie-zapisaną/ przestrzeń naszych światów// Zapisują pyłki pamięci/ na dysku Wszechświata”. Czyli słowa bardzo dużo mogą, skoro zamieszkują przestrzeń międzyludzką i są przekaźnikami naszej wiedzy do środka kodowej informacji Kosmosu. Tym więcej jeszcze może wniesić poetka organizacja słów w konstelację czułej samoświadomości. Każdy wiersz jest taką swoistą konstelacją, konfiguracją słownych i międzysłownych znaczeń. Z ich sumy powstaje liryczna galaktyka – wewnętrzny gwiazdozbiór wzruszeń”. [...]

Stanisław Nyczaj, *Konstelacje czułej samoświadomości*.

Postówie do tomiku Barbary Koceli pt. *Panaceum*, Kielce 2010, s. 66.

Z zawodu lekarz okulista. Z zamiłowania poetka wrażliwa na piękno słowa. Ceni wiersze Wisławy Szymborskiej, prozę fantastycznonaukową Stanisława Lema. Bliska jest jej literatura skandynawska. Z lekarzy – prof. Antoniego Kępińskiego, twórcę psychiatrii humanistycznej. Lubi posłuchać niezapomnianej Edith Piaf, francuskiej wokalistki obdarzonej charakterystycznym głosem. Interesuje się filozofią współczesną, gdyż

filozofia pozwala głębiej spojrzeć w istotę człowieczeństwa, w sens istnienia i życia człowieka. Wgłębianie się w te zagadnienia inspiruje ją do twórczości poetyckiej. Każdy utwór literacki niesie pewne przesłanie filozoficzne. Poetka podejmuje tematy uniwersalne. Jakże? Trzeba wczytać się w strofy poetyckie jej autorstwa.

Urodziła się w Łysakowie w pobliżu Jędrzejowa 18 czerwca 1943 r. w rodzinie Franciszka Fiuka i Marianny z d. Misztal. Miała pogodne i szczęśliwe dzieciństwo. Dom był pełen muzyki. Pachniał ziołami. Ojciec był uzdolniony muzycznie, grał na skrzypcach (pierwsze skrzypce sam sobie skonstruował). Jego talent szlifował organista z jędrzejowskiego klasztoru cystersów. Matka zbierała zioła, którymi leczyła nie tylko domowników. Rodzice zadbali, by ich dzieci się wykształciły. Córka Barbara w przyszłości zostanie lekarzem, syn Jerzy – inżynierem po Politechnice Lubelskiej, druga córka – Teresa ukończy Technikum Gastronomiczne, ale zostanie pracownikiem Narodowego Banku Polskiego w Katowicach.

Szkołę podstawową ukończyła w rodzinnej miejscowości (budynek został wzniesiony na przełomie XIX/XX w. przez tamtejszą społeczność), a Liceum Ogólnokształcące w Jędrzejowie. Po latach wspomni, że wiele zawdzięcza swoim nauczycielom zarówno z podstawówki, jak i ze szkoły średniej. Pamięta nauczycielkę Zdzisławę Wojciechowską ze Szczekocin – polonistkę, która w tamtych latach uczyła w Łysakowie, przewodziła drużynie harcerskiej, zespołowi tanecznemu, organizowała szkolne przedstawienia teatralne.

A z liceum? Było wielu wspaniałych nauczycieli. Kogóż zatem wspomnieć? Z pewnością ówczesnego dyrektora Stanisława Adamczyka¹⁾, polonistę Tadeusza Krzeszowskiego, Eugenię Żukową – łacinniczkę, wychowawcę klasy Bolesława Puto. Chcieli oni nauczyć licealistów, przywołując słowa Juliana Tuwima, „mnóstwa mądrości”, by każdy z nich miał „tej wiedzy zapas nieskończony”.

Po maturze przez rok pracowała jako protokolantka w Sądzie Powiatowym w Wydziale Karnym w Jędrzejowie. Myślała jednak o studiach. Bez przeszkód dostała się na studia medyczne w Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach.

Była starostą grupy, założyła kółko chirurgiczne. Po otrzymaniu dyplomu w roku 1968 przyjechała do Kielc, gdyż była stypendystką Wojewódzkiej Rady Narodowej. Tu otrzymała mieszkanie i pracę w Szpitalu Wojewódzkim. Po odbyciu 2-letniego stażu wybrała okulistikę na Oddziale Okulistycznym, kierowanym wówczas przez dra Tadeusza Osetka. Ten znany lekarz zdecydował właściwie o wyborze przez nią okulistyki. Pod jego kierunkiem w 1973 r. uzyskała I st. specjalizacji zawodowej, II zaś w 1978 w krakowskiej Klinice Okulistycznej u prof. Heleny Machowej.

Większą część swego zawodowego życia poświęciła dzieciom, pracując w Okulistycznej Przychodni Dziecięcej w Kielcach (ul. Mickiewicza 4), którą zorganizowała od podstaw i w której przepracowała 25 lat. W 2005 r. urządziła nowoczesną Przychodnię Okulistyczną w Wojewódzkim Ośrodku Medycyny Pracy w Kielcach. Z jej nazwiskiem wiąże się również powstanie w 1980 r. Przychodni Okulistycznej dla studentów przy Politechnice Świętokrzyskiej.

Mimo że jest już na emeryturze, nadal przyjmuje w gabinecie okulistycznym przy Hipotecznej 2. Najczęściej jej pacjentami są najmłodszy.

Od kilku lat jest członkiem Klubu Literackiego „Irys”, działającego przy Klubie Garnizonowym w Kielcach. Jest scenarzystką i animatorką wielu spotkań literackich i muzycznych. Wydała dotychczas cztery tomiki wierszy: *Pomiędzy* (2005), *Panaceum* (2010), *Wirująca przestrzeń* (2012), *Utkane ciszę* (2015). Wiersze Barbary Koceli zostały trzykrotnie wyróżnione w Konkursie Literackim im. Leopolda Staffa w Skarżysku-Kamiennej i Starachowicach. Za tomik *Wirująca przestrzeń* w 2013 r. otrzymała Świętokrzyską Nagrodę Literacką „Gustaw 2012”. Wiersze ukazały się w almanachach: *Wokół Staffa*, *Wiklinowe rymy*, *Irysowe nitki* oraz w zbiorze utworów świętokrzyskich lekarzy. Publikowała wiersze w takich pismach, jak „Radostowa”, „Akant”, „Eskulap Świętokrzyski”, „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”.

Oficyna Konfraterni Poetów w zbiorce *Osobność i Wierność* (Kraków 2014) zamieściła kilka jej wierszy (*Utracić siebie*, *Samotny cień*, *Chronos i Ananke*, *Archeologia czasu*) obok tak znanych poetów, jak Tadeusz Różewicz, Czesław Miłosz, Wisława Szymborska, Tadeusz Śliwiak czy Jerzy Harasymowicz.

Niektóre liryki poetki zostały przełożone na język serbski i opublikowane na łamach kilku antologii w Serbii.

Barbara Kocela okazała się też lirycznym prozaikiem. W zbiorce pt. *Jak daleko sięgam...* (Wrocław 2014) znalazło się „prawdziwe opowiadanie” jej autorstwa *Czerwone pantofelki*. To opowiadanie i wielu innych twórców nawiązuje do nurtu prozy powojennej, mającej dać świadectwo przeżyciom wojennym i ich późniejszym konsekwencjom. Opowiadanie przesycone jest wspomnieniowym sentymentem.

Poezja jest najwyższą formą intelektualnej twórczości. Poprzez słowo poetyckie autorka wyraża siebie, swe odczucia, wrażenia, dając upust swym spostrzeżeniom, marzeniom czy wspomnieniom, które wzbogacają jej duchowość i nadają swoistego smaku terażniejszości. Można też zaryzykować stwierdzenie, że poetka ma dar filozoficznego postrzegania otaczającej ją rzeczywistości.

Liryki pisane przez lata do szuflady, ujrzały światło dzienne w 2005 r. Poetka opublikowała wówczas tomik pt. *Pomiędzy*, który składa się z trzech cykli wierszy: *Twoja Ziemia*, *Fluidowe nitki*, *Stare listy*. „Tomik – pisze we wstępie Hanna Lewańska – zadziwia wrażliwością, głębokością spojrzenia; uczucia, przeżycia kłębią się i nabrzmiewają. Nuty natury kobiecej łączą się z krytycznymi uwagami współczesnego człowieka. Autorka pisze o tragizmie istnienia, zauważa kataklizmy, katastrofy, klęski, które autodestrukcyjnie inspiruje człowiek” (s. 5).

I dalej: „Czym jest *Pomiędzy*? Gdzie się znajduje?”

Tytuł tomiku *Pomiędzy* sytuje miejsce podmiotu lirycznego utworów. Znajduje się on w sytuacji poszukiwania, zawieszenia, gdzieś między niebem a ziemią, pojętymi według kryteriów chrześcijańskich, między Ziemią a rozległymi obszarami kosmosu, między realną rzeczywistością a wspomnieniami, wyobrażeniami, marzeniami i pragnieniem, między „hic et nunc” a „semper et ubique” [łac. „tutaj i teraz, zawsze i wszędzie”] (...) Trzy cykle wierszy Barbary Koceli wiążą się w węzeł egzystencjalny codzienności, problemów moralnych i filozoficznych i łączą w perspektywie metafizycznej” (s. 5, 7).

Te i podobne tematy egzystencjalno-filozoficzne podejmie poetka w następnych dwóch tomikach.

Jak na lekarza przystało, po tytuł tomiku *Panaceum* sięgnęła do terminologii medycznej. Panaceum w powszechnym rozumieniu jest bowiem uniwersalnym lekarstwem na wszystkie dolegliwości, sposobem na wszelkie kłopoty życia codziennego. Czy poezja może być swoistym panaceum na nasze bolączki i niedogodności? Jedno jest pewne, że „wiersz – podobnie jak modlitwa – według księdza Jana Twardowskiego – oczyszcza człowieka”. A czy miłość może być także skutecznym panaceum? Choć w tomiku nie jest nazwana bezpośrednio, to jednak „przenika wszystkie wersy nakreślone z czułością i dużym doświadczeniem” (Anna Nogaj, *Ukołysane wierszem*, „Teraz”, nr 1, styczeń 2011).

Ten niewielki zbiorek cechuje bogactwo tematyczne. Wiele w nim odniesień do przeżyć autorki z okresu dzieciństwa i młodości. Pamięć bowiem wydłuża czas każdego istnienia. W retrospekcyjnych obrazach na nowo ożywają miejsca, bliskie jej osoby, ożywa przyroda (*Łysakowski las/ otacza wioskę azylem ciszy/ wabi kameleonem barw (...)* *Zna moje ścieżki nawet tajemnice*), dom rodzinny, w którym słychać muzykę (*Stare skrzypce mojego ojca/ niedokończony nokturn/ co mieszka we mnie*) i w którym pachną zioła (*W pęczkach ziół zasuszonych/ mojego dzieciństwa/ mieszkają dorastanie/ zadziwienia i niezgody (...)* *Idzie ze mną/ zapach ziół/ mojego domu*).

W wędrówce pamięci jawi się autorce pierwszy bal (*z dostojnym polonezem/ szalonym rock and rollem/ i pocałunkiem niewinnym/ jak biała sukienka*), sentymentalne spotkanie odmłodzonych wspomnieniami dziewczyn z „medyka” w Rokitycy (*W majowym słońcu/ grzały na Rynku swoje wspomnienia/ Wróblim szczebiotem/ snuły bez końca/ Kaskady śmiechu wrzucały w dorożki*), to znów Wigilia w gronie bliskich (*Pamiętam magię tego dnia/ co pachniał pastowaną podłogą/ i makowcem w kratkę*). Pojawiają się parokrotnie bohaterowie zatrzymanych w kadrze pamięci zdarzeń – para „Ona i On” – (*tańczą na linie/ białe tango/ Głowy w chmurach/ a w oczach/ zapatrzenie/ Zapomnieli/ że pod stopami/ jest Ziemia*) – wygnana „z ogrodu”, gdyż te *dwie połówki/ nie pasowały do siebie*.

Przeglądając tomik, natknijemy się na przywołane przez autorkę imię Leopolda Staffa, poety trzech pokoleń, subtelny liryk: *Białka* („Na plebanii w Skarżysku/ zjawia się o zmierzchu/ Białka jasnooka/ Poszukuje swojego Staffika”),

Sen pana Leopolda („Helenka biegła/ pachnącą łąką/ do Twoich ramion (...) Zamieszkała już na zawsze/ w Twoich snach”), także na imię innego poety z okresu polskiego renesansu, Mikołaja Reja – wiersz *W Nagłowicach* („Spóźnione kasztany/ rzucają rude owoce/ Czerwone słońce/ zachodzi przy schodach/ dworku Pana Mikołaja/ otula ostatnimi promieniami/ Jego pocziwy żywot”).

Metrum – to trzecia część tomiku, w której dochodzi do głosu niepokój związany z wydarzeniami we współczesnym świecie – lokalnymi wojnami, terroryzmem, cierpieniem. Tym sprawom poświęca kilka wierszy: *Dzieci Izraela i Libanu, Dzieci dworca w Odessie, Dzieci Afryki, Pierwsza lekcja w Bielsztanie, Madryt 2004*. W trzech z nich w tytule znalazło się słowo... dzieci. *Za ból i lzy dzieci zawsze odpowiadają dorośli. Poetka uwrażliwia na podejmowanie słusznych decyzji w kierowaniu się własnym sumieniem. Przekazuje te słowa zwłaszcza do rządzących krajami. Potrzebujące dzieci są w każdym zakątku ziemi, obok nas*. (Agnieszka Zięba-Dąbrowska, *Panaceum na życie*, „Radostowa” 148, s. 57).

We wstępie do tomiku *Wirująca przestrzeń* (Krosno 2012, s. 5) Wanda Nowik-Pala napisała m.in.:

Zanurzmy się w wirującą przestrzeń jej wspomnień, marzeń i snów. Odkryjmy smaki i barwy tych szczególnych, płynących z głębi serca słów o miłości [...]. Każdy z tych wierszy niby drżąca kropla tęczy mieni się odcieniami tego szczególnego, powszechnie pożądanego, lecz jednocześnie nieuchwytnego i zmiennego uczucia. Jedne są smutne jak fioleto, inne płonące jak czerwienie. Uwięzione w określonym miejscu i czasie tworzą wielobarwną mozaikę nastrojów ulotnych jak chwile ich trwania. A jednak na tyle ważnych, że przetrwały w zakamarkach serca i pamięci, czekając na uwolnienie. Teraz uskrzydłone szybują w przestrzeni kolejnych kart książki, dając świadectwo temu, co się zdarzyło. [...]

Miłość w literaturze jest tematem odwiecznym i ponadczasowym. Miłość, która kojarzy się z sercem, jest podstawą szczęścia człowieka. Ona nadaje sens naszemu życiu. Dotyczy nas wszystkich. Barbara Kocela jest kontynuatorką wielowiekowych tradycji pisania o miłości. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w „40 ezoterycznych lirykach o ludzkich nadziejach, tęsknotach, spełnieniach i niespełnieniach – zawieszonych w kosmosie historii i codzienności”, zamieszczono

nych w zbiorze *Wirująca przestrzeń* – tylko w jednym pada słowo... miłość (wiersz *Sito naszych dłoni*, s. 34). To nie jest zarzut z mojej strony, a pochwała, gdyż miłość w wielu utworach unosi się jak mgła nad rozlewiskiem przed wieczorem czy wczesnym rankiem.

Sito naszych dłoni

Miłość
nigdy się nie kończy
ona tylko przecieka
wymyka się z naszych dłoni
miłość jest wodą

w niej zanurzeni
dojrzewamy
we wspólnym zaciszu
aby przez całe życie
usyschać z pragnienia

„Wszystko zależne jest od czasu [...]. Wszystko ma swój czas” – wyznawał w biblijnym traktacie o przemijaniu mędrzec Kohelet. Nic właściwie nie trwa wiecznie. Nieubłagany mistrz Chronos wciąż przesypuje piasek w naszej klepsydrze. Wraz z towarzyszącą mu boginią nieuchronności Ananke skłania nas do podporządkowania się wyrokom przeznaczenia. Godzenie się z losem jest chyba najtrudniejszym zadaniem człowieka. Chcielibyśmy zatrzymać mijające chwile. Takie pragnienie jest widoczne w wielu wierszach poetki w „wirującej przestrzeni” czasu, uczuć, miejsc, zdarzeń. Już niektóre tytuły nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości: *Uciekające lato* („a to co mija/ próbuję zważyć/ zamknąć/ i zapamiętać/ jak smak owoców/ w spiżarni”), *Spóźniony obiad* („Chwile utkane z milczenia/ miały coś z Tomaszowa/ szeptały/ nie uciekniesz/ przed sobą”), *Pogubione chwile* („pogubione chwile/ nie dogonią jutra”), *Czas na muszce* („trzymajmy czas na muszce”), *Archeologia czasu*, *Algebra czasu* („i wielka niewiadoma/ tej drogi / co już nam zabrała lato”), *Chronos i Ananke* („rozpacz gasnących gwiazd/ nie wzruszy Ananke/ a Chronos nie odwróci/ obrotów zegara/ bo nie da się oszukać/ wiecznej wiosny”). A w wierszu *Uśmiechnięte motyle* napisała, „że czas ma wagę złota/ i dziwnie przyspiesza obroty”.

Poetka stara się oswoić z tym, co nieuniknione, „że czas ma wagę złota/ i dziwnie przyspiesza obroty”. Nie popada jednak w rozpacz, jedynie

w zadumę i melancholię. Bo chwile te się zdarzyły w jej życiu, wzbogacając ją duchowo, powracając jedynie we wspomnieniach, snach i marzeniach. „Ciesz się każdym dniem, dostrzega urok otaczającej przestrzeni, jest optymistycznie nastawiona do życia i przekonana, że będzie miała odwagę i siłę stawić czoło, gdyby pojawiły się trudności. Z pokorą i wyrozumiałością przyjmuje to, co ją w życiu spotyka, ceni sobie przychylny los, pragnie dla siebie niewiele, ale na zawsze” (Cecylia Antosik – z recenzji tomiku *Wirująca przestrzeń*). Bo „dopóki jestem/ w wirującej przestrzeni/ – pisze poetka w wierszu *Mój Anioł* – otulam łaskawy los”.

Jedynie w snach można z powrotem być tamtą „drobną dziewczyną w śmiesznym/ za dużym/ zielonym płaszczu/ co nie dostrzegła/ nie zatrzymała/ krzyżującej chwili” (wiersz *Dziewczyna w zielonym płaszczu*), albo wkładać „brązowy sweter” i biec „zdyszana/ naprzeciw/ żeby zdążyć/ przed przebudzeniem” (wiersz *Brązowy sweter*). To *Zwiewne marzenia* – „nie ma lekarstwa na wiatr/ unoszący/ mydlane bańki marzeń”. Warto jednak poświęcić na to część dnia lub nocy, odłożyć zwyczajność i zabawić się „magią chwili” (wiersz *Czas na muszce*).

Przeszłość zachowana w pamięci staje się częścią teraźniejszości, stąd jak w kalejdoskopie pojawiają się ożywione obrazy: „gra w klasy”, „kredens na strychu”, „samotna ławka”, „zamucona ścieżka”, „włosy rozpuszczone/ uczesane wiatrem”, „spóźniony obiad”, „dotyk dłoni”, „kawiarniany stolik”. Obrazy, które wpisują się w subiektywny czas i zamkniętą przestrzeń:

wszystko pozornie
niedorzeczne
a jednak
wypełniasz przestrzeń
wirującego czasu
(*Niedaleko do szczęścia*)

W tomiku *Wirująca przestrzeń* kilka wierszy poświęciła wydarzeniom, które „wstrząsnęły światem”: *Ocalona prawda* – katastrofie smoleńskiej (*Los rozdał bilety/ z czarną opaską/ i korektę listy/ w ostatniej chwili/ przed lotem [...] w Katyniu ptaki zamilkły/ a sosny co wiele widziały/ szumią żałobnie*), *Tsunami – Japonia 2011* (*Noe nie zdążył zbudować arki [...] szalona ziemia pokazała zęby [...] bezbronny człowiek/ oswajał katastrofę*).

„Wciąż dotykają nas katastrofy, trzęsienia ziemi i wojny – pisze we wstępie do zbioru wspomniana wyżej Wanda Nowik-Pala. – Człowiek doświadcza tego od wieków. Upada i podnosi się. Każdy z nas w pewnym sensie jest dzieckiem jakiejś wojny. Jeśli nie bezpośrednio, to częściowo poprzez doświadczenia rodziców, dziadów i pradziadów. Barbara Kocela daje temu wyraz w końcowym wierszu tego zbioru. Niech *Dzieci wojny* będą memento i przestrożą. By nigdy w niczyich genach nie mieszkał już strach, a dzieci nie musiały uczyć się *pacierza/i nowych życiorysów*” (s. 9).

Twórczość jest zatrzymywaniem czasu. Tworzenie jest wewnętrznym nakazem, jednym ze sposobów na życie. Świadomość upływu czasu może mieć inspirujące znaczenie. Być może dlatego powstają kolejne dzieła.

Zbiorek *Utkane ciszą* zawiera wiersze o podobnej tematyce i formie artystycznego wyrazu, co poprzednie, ale na uwagę zasługuje przede wszystkim dlatego, że w nim zostało połączone słowo poetyckie z obrazem. Dla wrażliwej poetki, jaką jest niewątpliwie Barbara Kocela, obrazy malarzy – Stanisława Śliwy i Janusza Wiśniewskiego, emerytowanych lekarzy, zafascynowanych również „urodą życia” – stały się inspiracją do „malowania obrazów” słowem lirycznym. Czego poetka nie wyraziła w słowie, być może zostało uzewnętrznione w dziele malarskim. Ważny jest efekt końcowy ich współpracy. A ten jest widoczny.

Do dwóch wierszy poetki Stanisław Śliwa – jak mi wiadomo – namalował obrazy na zamówienie – do wiersza *Przebaczenie obraz Kapliczka w Łysakowie* (akryl, 2014) i do *Sakiewka Salomei – Wierna rzeka* (akryl, 2014). Kapliczka stoi w miejscu, w którym został zastrzelony żołnierz niemiecki przez wkraczających żołnierzy Armii Radzieckiej w styczniu 1945 r. Wymowny jest tytuł wiersza. Pod kapliczką prawie zawsze leżą świeże kwiaty.

[...] matka jak matka
wciąż czeka na niego
a on zasnął w życzliwym
łysakowskim lesie
oddzielony białą ławeczką
i białym płótkiem od życia [...]

Barbara Kocela od kilku lat jest członkiem Sądu Koleżeńskiego przy Izbie Lekarskiej w Kiel-

cach oraz od przeszło roku zespołu redakcyjnego „Eskulapa Świętokrzyskiego”. W 2003 r. została wyróżniona Złotą Odznaką Honorową Polskiego Związku Niewidomych.

Zainteresowania pozazawodowe? Nie ulega wątpliwości, że poezja, która jest płaszczyzną porozumienia się z drugim człowiekiem, także autorki z samą sobą, potrzebą szukania odpowiedzi na pytania egzystencjalne. Tworzenie poezji jest jej pasją, wyjściem poza własne ego. Pasja wyzwala chęć twórczego i pożytecznego działania. To jeden z warunków szczęścia w życiu. W ten sposób zdaje się – nie wiem czy świadomie – realizować założenie filozofii Tadeusza Kotarbińskiego.

Jakie jeszcze inne zainteresowania? Lubi wędrówki po górach.

Mąż poetki Andrzej Kocela jest lekarzem ginekologiem, córka Monika anglistką (mieszka w Holandii), wnuk Franciszek – uczniem jednego z gimnazjów kieleckich (uzdolniony muzycznie – gra na pianinie).

Tadeusz Stolarski

¹⁾ Zob.: Stanisław Adamczyk – nauczyciel i związkowiec, w: Tadeusz Stolarski, *Znani i nieznani ziemi jędrzejowskiej*, Słupia Jędrzejowska-Włoszczowa 2013, s. 20-22.

Literatura podstawowa

Informacje przekazane przez poetkę autorowi książki w czasie rozmów o twórczości poetyckiej na przełomie listopada–grudnia 2014 r.

Hanna Lewańska, *Wstęp do tomiku Pomiędzy*, Kielce 2005.

Stanisław Nyczaj, *Konstelacje czutej samoświadomości. Postówie do tomiku Barbary Koceli pt. Panaceum*, Kielce 2010.

Agnieszka Zięba-Dąbrowska, *Panaceum na życie, „Radostowa”, nr 7–8 z 2010 r.*

Zofia Korzeńska, *Poetycka wizja świata Barbary Koceli*, wici.info / recenzje, wrzesień – październik 2010.

Anna Nogaj, *Ukołysane wierszem, „Teraz”, nr 1 (85), styczeń 2011.*

Wanda Nowik-Pala, *Krople tęczy – wstęp do tomiku Wirująca przestrzeń*, Krosno 2012.

Cecylia Antosik, *Chronos nie odwróci obrotów zegara, Czas i przestrzeń w ornamentyce słownej* (kserokopia omówienia tomiku *Wirująca przestrzeń* Barbary Koceli w posiadaniu autora).

Wanda Nowik-Pala, *Usłyszeć chwile – postówie do tomiku Utkane ciszą*, [Kielce 2015].

Przejazdem

Pomyśl
tamtych nas już nie ma
czas zakpił sobie
z jednego sensu myśli
utopił w codzienności
niedojrzałe emocje
wydrążył ślady w zakrętach

krążymy bez wyboru
na niespokojnej orbicie
zagubieni
w samotnym korowodzie

dokąd pójdą nasze sny
kto zatrzyma
wahadło niepewności
gdy czas się skurczy
zagubi w przestrzeni
i zapomni o nas
jakby nas wcale nie było?
lub byli tylko przejazdem?

Na przekór

Nasz kruchy los
w spiralę wpisany
ciągnie przez wieki
łańcuch pokoleń
w fenomenie trwania
jesteś tajemnicą
kapryśnego nieba
nasz czas na wagę złota
dziwnie przyspiesza obroty
lecz żadna chwila nie wątpi
w sens swego istnienia
na końcu świata
mieszkają wyczekane marzenia
i mieszka pewność
na przekór ironii losu

Osobność

Osobność jest cieniem
samotnych chwil
nostalgia jej przyjaciółką
ma zwyczaj rozmawiać
z białym bezsennym sufitem
przeglądać stare kredensy
i pożółkłe listy

sentymentalnie przytula
zasuszoną różę
co kiedyś sztamowa
i kluczyk co nigdzie już nie pasuje

ma ulubiony fotel
i ciepłą lampę
parawany ruchliwej ulicy
ukrywa przed lustrem
twarz z pomarszczonej bibułki
a rękę trzyma na kłamce

W górach

O czym myślą zadumane granie
otulone białym tiulowym szalem mgły
wykąpane w pianie chmur
malowane różową poświatą
cisza usiadła pomiędzy zboczami
tajemnicza i niesamowita
obietuje królestwo prawdziwej wolności
i skrawek nieba na własność
słońce rzeźbi światłem nagie kolumny
obudziło rozmarzoną kotlinę
i złotawą ścieżkę u podnóża
szlifowaną wędrownymi stopami
strumyk jak wąż przemyska
nuci głazom kwiatom kosodrzewinie
w dolinie żywiczne oddechy
smreków równo ustawionych

doskonała nieskończoność
siedzieć tu i odkrywać siebie

Ze spotkań literackich w Międzywodziu i Międzyzdrojach (18–28 sierpnia 2015)



Leszek Luty, Piotr Dumin, Alicja Patey-Grabowska



Stanisław Nyczaj i Leszek Luty



Finisaż wystawy Janiny Bagrowskiej w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Międzyzdrojach



Krystyna Guranowska-Stolarz, Stanisław Nyczaj, Janina Bagrowska, wokalistka Małgorzata Siemienieć



Zdjęcia: Szymon Głód



Fot. Leszek Luty

Apostrofa do płk. Dionizego Czachowskiego¹⁾

To o takich jak Ty, niezłomny Pułkowniku,
dowódco powstańczych „żołnierzy leśnych” –
myślał przestawny Jan z Czarnolasu,
pisząc, że jeśli komu droga otwarta
do nieba,
to tym, co Ojczyzny stają bliżej –
aniżeli siebie – –
„Polskij korolu” – wielki postrachu Moskali,
mężny w bojach aż do kropli swojej krwi
ostatniej,
to za Tobą szli na wroga – jak w ogień –
potomkowie Czarnieckiego, Twoi waleczni
partyzanci,
by Polskę „wybić na niepodległość” ...
I padali jak snopy na skrwawioną ziemię,
płacąc cenę najwyższą za moją i twoją
wolność –

¹⁾ Pułkownik Dionizy Czachowski (1810–1863) – wybitny dowódca Powstania Styczniowego (1863). Stoczył z Moskalami aż 34 bitwy i potyczki, w tym sporo zwycięskich. Szanowany i uwielbiany przez żołnierzy, którzy nazywali go Ojcem.

Za jego głowę zaborcy wyznaczili wysoką nagrodę, ale nikt z podkomendnych Pułkownika nie zdradził. Zginął w nierównej potyczce śmiercią bohatera. Czachowski to mój krajan – urodzony tuż koło Stromca i ochrzczony w „moim” – stromieckim kościele. Doku-

mentuje ten fakt tablica memoratywna w tej świątyni, odsłonięta uroczystie w 2013 r., a więc w 150. rocznicę wybuchu Powstania.

Warto dodać, że dwaj wielcy Polacy – patrioci byli cioteczными braćmi.

Warszawa i Troja

Z Warszawy do Troi – tak blisko:
słupów milowych ledwie garść
i jeden mocny węzeł pamięci
o obu miastach spalonych przez dzikich –
Na rumowiskach Warszawy i Troi
czai się mroczny – ciągle ten sam
cień drewnianego konia
co przerwał brutalnie hejnał
i w pół zatrzymał zegary –
Potem oślepte z bólu Homery
pamięć krwawiącą liżąc
śpiewali na potrzaskanych kolumnach
miastom niepokonanym – nieśmiertelność – –
Warszawa i Troja – dwie siostry bliźniacze –
z biało-czerwonymi bandażami na ranach
takie same brylanty rozbite
ta sama дума i słowa
i ciągle po wiekach jednaki
niezabliźniony krwotok pamięci:
z otwartej sączącej się rany
piekący ból – – –

Relikwia

poetycki suplement uzupełniający do w/w wiersza

Coraz w nas więcej długu i dumy
po niezgojonych ranach ojców
co padli w pół pieśni
aby powstała z martwych
ta która dla nich nie zginęła
nigdy – –
Polsko – nasza gorączko romantyczna
i piękny śnie o Bezgrzesznej –
ciągle zdajemy przed Tobą
niełatwy egzamin z w i e l k o ś c i –

Białobrzegi, październik 2015

Dwugłos o poezji Stanisława Nyczaja

Kazimierz Świągocki

Nowe silne pędy z korzeni Awangardy

Wiadomo, że ojczyzną pisarza jest jego język, a poety – język poetycki. Zaś znane porzekadło głosi, że styl to człowiek. Istotnie, jeśli mamy do czynienia z prawdziwym talentem, to poeta nim obdarzony mówi zawsze swoim, w jakiś sposób różnym od innych językiem. Stanisław Nyczaj jest prawdziwym poetą, ma własny język.

O jego poezji pisało wielu krytyków i poetów. Fragmenty ich opinii można znaleźć w dodatku do wierszy zamieszczonych w tomiku *Arcymiara*. Uderza w nich bardzo przychylny dla poety ton. Uwaga niemal wszystkich wpraw koncentruje się głównie na wyrażanych przez poetę treściach. Powtarza się u niego np. motyw refleksji nad cywilizacją współczesną – refleksji pełnej niepokoju o jej dalszy los. I o los człowieka w tej technicystycznej wprost aurze, w której słabną specyficznie ludzkie wartości. Mówi się także o moralistycznej trosce poety, ściśle związanej z poprzednią troską o los całej ludzkiej cywilizacji. O zagrożeniu egzystencjalnym. Ale nie zabrakło też w wypowiedziach wątku erotycznego. Píše o nim najlepsza znawczyni twórczości poety – Krystyna Cel, słusznie akcentując jego oryginalność.

Krytycy wszakże nie ograniczają się do kwestii treściowych. Dostrzegają, całkiem słusznie, ścisły ich związek z językiem i formą analizowanych utworów. I tak czytamy np., że „Wyważanie proporcji między formami estetycznego piękna języka i dziedzinami treści-prześłań nadaje tej poezji rangę wysokiej wiarygodności – tak intelektualnej, jak i emocjonalnej” (Harry Duda). Potwierdza to szereg innych opinii, m.in. taka: „Wielowątkowość refleksji, ujęta w różne formy wypowiedzi poetyckiej i osadzona w przystających do sytuacji emocjach, stanowi niezaprzeczalny walor tych wierszy” (Stanisław Żak). Wspomniana wyżej Krystyna Cel zauważa przekonująco, że „wartości językowe, wyobrażeniowe, także cała gama form wersyfikacyjnych pulsują w wierszach miłosnych”.

Niezupełnie natomiast zgodziłbym się z twierdzeniem Stefana Jurkowskiego, że „wiersze Stanisława Nyczaja, choć mocno zakorzenione są w konkretności, mają charakter metafizyczny. Owszem, cechuje je – jak on to dalej ujmuje – „dystans, nierzadko

ironia, prawie zawsze oryginalna i jakże plastyczna metaforyka”. A więc nie metafizyka, która raczej nie toleruje dystansu i ironii.

Aby dokończyć ten pobieżny, choć pouczający przegląd opinii o poezji Nyczaja i przejść do własnych uwag, przytoczę jeszcze tylko jedno zdanie autorstwa Jana Zdzisława Brudnickiego: „Nyczaj jest poetą metafory i obrazu”. I fragmenty zdania Marka Wawrzkiwicza: „wielkość przestrzeni lirycznej, własny rozpoznawalny język [...] czysty, klarowny obraz”. Te właśnie cechy, jak sądzę, stanowią najwyższe i najistotniejsze walory poezji Stanisława Nyczaja. Patrząc dociekliwym okiem, można dostrzec w nich mistrzostwo. Nie walory intelektualne, choć słusznie przytaczane i podkreślane, lecz właśnie walory języka i wyobraźni stanowią o ogólnej wartości tej poezji, o jej odrębności i oryginalności. I o nich chciałem teraz mówić. Oczywiście, w wielkim skrócie, bo jakże tu inaczej.

Najważniejszą książką poetycką Nyczaja jest niewątpliwie tom *Poezje wybrane*, wydany w serii Biblioteki Poetów LSW w 2008. Z niego to wypisałem kilkadziesiąt fragmentów różnych wierszy, jakie zwróciły moją uwagę niezwykłością wyobraźni i języka, dynamiką obrazowania, zaskakującymi efektami znaczeniowymi. O każdym z nich mógłbym snuć rozważania analityczno-interpretacyjne i dowodzić ich niekonwencjonalnych wartości. Tutaj mogę to uczynić tylko w odniesieniu do kilku wybranych i to niemal na chybił-trafił, bo każdy z nich jest takich refleksji wart prawie w tym samym stopniu.

A oto pierwszy, jaki mi się nasunął podczas lektury tego tomu:

bym więcej
nie garnął się do światła
na oślepie

(*Najcichsza odwaga*)

Widzimy, jak poeta wykorzystuje kontrast znaczeń słów: „światło” i „na oślepie”. Światło symbolizuje tu wysoką wartość, do której w naturalny sposób dąży człowiek. Przysłówek „na oślepie” wyraża brak miary w dążeniu. Wniosek: najwyższa wartość oddaje nam się w posiadanie, gdy zachowujemy powściągliwość, umiar, a więc i harmonię w dążeniu do niej. Nie usprawiedliwia natomiast dążeń chaotycznych zrodzonych

z bezrozumnych impulsów. A więc dążmy najpierw do panowania nad sobą, zanim wyruszymy na podbój świata. Tak by można zinterpretować ten aforystycznie brzmiący urywek większej całości wiersza.

A oto inny fragment mający w pełni kształt aforyzmu:

Bardziej jeszcze niż kobietom
ulegamy wątpliwościom

(*Wątpliwości*)

i inny, dotyczący również kobiety, który warto prześwietlić dokładniej, aby ujrzeć w nim maestrię w uzyskiwaniu głębi myśli w prostocie słów.

Horyzontem idzie kobieta
Przywraca powietrzu barwę
ustanawia ład
Znów wstaje świt

(*Gruzy*)

Już słowa pierwszego wersu nasuwają nam przed oczy rozległy pejzaż, bo kobieta nie idzie po prostu ani nie idzie ulicą. A więc nie jest to zwykły naturalistyczny obraz idącej kobiety, lecz raczej wizja roztaczająca przed oczami czytelnika rozległy, niemal kosmiczny obszar, w którym kobieta nabiera cech istoty symbolicznej. Potwierdzają to następne wersy. Przywracanie powietrzu barwy to wyraz kreatywnej mocy kobiety, która niczym istota o kosmicznych kompetencjach poprawia podupadły moralnie świat. Barwa jest tu symbolem wartości. W wyniku tej aktywności kobiety rodzi się ład, i to kosmiczny, czyli nadrzędny wobec całego życia, które przecież jest wpisane w rytm kosmosu. Ostatni wers tylko obrazowo dopełnia symbolikę całości. Świt zwiastuje nowe życie, początek nowej pulsacji kosmosu. Dodajmy tylko – ludzkiego kosmosu. Bo o jakich innych mogłoby tu chodzić? Czy fragmencik ten nie jest mistrzowsko skreślonym uniwersalnym wizerunkiem kobiety – kobiety jako zasady życia w jego sakralnym rytmie.

Przejdźmy teraz do fragmentów, w których poeta zawarł obrazy nacechowane treściami egzystencjalnymi.

Stałem po drugiej stronie drzwi
W dłuższym od nieskończoności korytarzu

(*Reportaż radiowy*)

Wydawałoby się: cóż, trywialna sytuacja wzięta na gorąco z codziennego życia. Ale poeta przeobraża ją

w sytuację egzystencjalną przytaczając nieskończoność, aby zwykły korytarz uczynić miejscem, w którym człowiek rozpoznaje swoją skończoność i doznaje egzystencjalnego dreszczu. A kiedy okazuje się, że korytarz był dłuższy niż sama nieskończoność, to tym większy lęk i drżenie mogły stać się udziałem człowieka. Choć w tym momencie, być może, poecie bardziej chodziło o efekt językowy niż egzystencjalny, to jednak obraz zawarty w przytoczonych słowach daje się interpretować egzystencjalnie. Takie dwuznaczności zresztą wyrastają w poetyckich wypowiedziach u Nyczaja częściej. Nie zawsze jesteśmy pewni, czy przemawia w nich on jako poeta wykształcony w szkole języka Awangardy u Przybosia, a po trosze u poetów lingwistycznych, czy też ukryty za warstwą efektywnych językowych konstrukcji myśliciel, filozof. Ale ta dwuznaczność właśnie jest jego atutem i składnikiem oryginalności poetyckiego warsztatu. Chciałoby się w tym momencie nawet strawestować hasłowe niejako wyrażenie Artura Sandauera w odniesieniu do Leśmiana, że jego poezja stanowi „pośmiertny triumf Młodej Polski”. Otóż, zachowując właściwe proporcje, można by powiedzieć, że poezja tego rodzaju, jaki uprawia Nyczaj, jest dowodem pośmiertnego zwycięstwa Awangardy.

Ale wróćmy do lektury innych jeszcze fragmentów, śledząc w nich treści egzystencjalne.

Stałem w martwym punkcie
martwy punkt – we mnie
Spojrzałem w dół
dół – na mnie
W stopach najwyraźniej poczułem zimne dno
Dno – moje stopy

(*W martwym punkcie*)

Pierwszy wers mówi o konkretnej sytuacji słowami potocznej frazeologii. I byłoby to banalne, gdyby nie cios zadany tej konwencjonalnej frazie przez szokujące odwrócenie sytuacji w drugim wersie. Ten wprowadza nastrój grozy, gdyż „martwy punkt” staje się aktywnym sprawcą mojego stanu niepewności, która zapowiada lęk. Następne wersy pogłębiają tylko poczucie osaczenia przez środowisko, w jakim się nieopatrznie znalazłem, a które ujawnia w nich nieuprzączynowiony sposób agresję wobec mnie. Jest to środowisko bardziej wewnętrzne niż zewnętrzne. Słowa-klucze „dół” i „dno” odnoszą się tutaj do duchowego wymiaru człowieka i wskazują na jego zagrożenie egzystencjalne. Zagrożenie skończonością. I oto znowu mamy w tym ułamku

wiersza, złożonym z niewielu najprostszych słów, bogactwo nagromadzonej treści. Chociaż do końca nie wiemy, czy świadomym zamiarem autora było naszkicowanie sytuacji egzystencjalnej, czy tylko jakaś wyrafinowana gra słów i żonglerka ich znaczeniami. Ważne, że zwycięstwo święci tu poezja.

Podobne pytanie i podobne wątpliwości można mieć wobec innych lirycznych ułamków w wierszach Stanisława Nyczaja. Oto dalsze przykłady.

Przejsć samego siebie idąc
samotnie ciemnym korytarzem
własnego wnętrza

(*Być*)

Wiedziałem, jak od kresu odbić się w początek
ku rozchyłonym innej krajobrazom,
aż pęd obwoła wszechstrzeń niezaznanym głosem.

(*Narodziny*)

Tutaj wyraźnie „lingwizm” góruje nad treściami egzystencjalnymi. Ale tych ostatnich żadną miarą nie można całkiem wykluczyć. Mielibyśmy więc do czynienia z poetyckim „lingwizmem” pogłębionym egzystencjalnie, a więc z „pośmiertnym zwycięstwem” drzewa Awangardy, którego pień wprawdzie usechł, lecz z jego korzeni wyrosły nowe, silne pędy.

Na zakończenie tego pobieżnego z konieczności przeglądu wybranych urywków, których *notabene* wartość artystyczna jest tym większa, że pozwalają się z powodzeniem traktować jako skończone całości – zatrzymajmy uwagę nad jeszcze dwoma wyjętymi z erotyków naszego poety. Pierwszy z nich demonstruje oryginalność jego wyobraźni, w której znajduje swoje miejsce wyznaczenie miłosne wyrażone zaskakującym obrazem wyciągniętych

Krzysztof Cel

Pojedynek z Losem

Niegdyś, w toku analizy twórczości Stanisława Nyczaja, napisałam, że podmiot liryczny (poeta), podejmując trud opisanego rzeczywistości, wychodził naprzeciw nadziei w przekonaniu, że człowiek całą swoją „sprawczą mocą” może tę rzeczywistość zmieniać, co więcej, może – „przechodząc samego siebie” – kształtować ją i naprawiać. Lektura ostatnich wierszy, zwłaszcza tych z tomiku *Arcymiara*,

do przytulenia ukochanej ramion. Obraz to tyleż dynamiczny i przestrzenny, co intymny:

Wpisana w przestrzeń szeroko otwartą
biegnących wciąż i zewsząd ku tobie
mym ramion

(*Wszechobecne*)

Drugi, pozbawiony efektów wyobraźniowo-przestrzennych, za to ufundowany na zachwycie i zdziwieniu ubrany w postać pozornego pytania:

Jaki wszechmocny musi być wiatr dziejów
i jakież przedwieczny gołąb
Jaki czuły dla zakochanych Czas
że zdołałaś na nim
ten list dla mnie wybłągać

(*Miłosny papierus*)

Tutaj uczucie miłosne skrywa się w strukturze konceptualnej, w której znajduje miejsce tak przecież daleki od miłości „wszechmocny wiatr dziejów”, jak i Czas, pisany z dużej litery, niby jakieś mityczne przyjazne kochankom bóstwo. A w wyniku zbiegu tych nadludzkich mocy powstaje bardzo ludzka rzecz – list ukochanej do ukochanego.

Poezja Stanisława Nyczaja jest niewątpliwie zjawiskiem oryginalnym. Mam nadzieję, że prezentując w tym szkicu próbkę jej lektury, odślaniając jakąś część warsztatu poety dowiodłem, że warto, aby powstały na jej temat obszerniejsze prace o charakterze naukowym. Mogłoby się tego zadania podjąć młodzi badacze, np. z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach – rodzinnym mieście poety.

Kazimierz Świądecki

przekonuje, że w tym „zawikłanym krajobrazie świata” coraz trudniej spełnić pokładane nadzieje. Okazuje się, że niewiele tak naprawdę zależy od nas samych, że jesteśmy wmontowani w pewne struktury: społeczne, polityczne, ekonomiczne, że często spełniamy tylko rolę trybików w jakiejś wszechwładnej maszynerii, a nasze wybory są tylko pozornie naszym (*Nasz łaskawy Pan But Ekonomii, Mecz o władanie, Kosmiczny futbol*).

Ale przecież w tej trudnej współczesnej codzienności, pełnej trosk i zmartwień, tworzymy sobie jakąś racjonalną konstrukcję, by w niej czuć się bezpiecznie. Realizujemy wyznaczone cele, niekiedy



spełniamy marzenia. Co dzieje się, gdy w tę naszą niejako już utrwaloną i wiadomą codzienność niespodziewanie, nagle wtargnie Los, „ślepy los” atakujący bez żadnego uprzedzenia, będący poza wszelką logiką. Chciałoby się wówczas powiedzieć, iż nie dość, że dźwigamy swój

los jako gatunek ludzki w konkretnej rzeczywistości, często przez nas nie do końca akceptowanej, to jeszcze uderza w nas (dlaczego właśnie w nas?) ów Los nieubłagany i bezlitosny. A to już, jak na ironię, podwójne obciążenie. Bo los jest ironiczny, może nas powalić w najbardziej nieodpowiednim momencie, gdy np. wszystko idzie już dobrze, gdy nareszcie otwierają się przed nami jakieś możliwości.

Najnowszy tomik poetycki S. Nyczaja zatytułowany *Pojedynek z Losem* odebrałam jako bardzo osobisty i będący kwintesencją egzystencjalnych przemyśleń akcentowanych w wielu wcześniejszych utworach. Kto kiedykolwiek poczuł na sobie samym niesprawiedliwą rękę Losu, wie, jak trudne jest z nim zmaganie. Niekiedy zamienia się w prawdziwy pojedynek. Kto w nim wygra, czy człowiek przezwycięży ów los, czy też ugnie się pod jego ciężarem? To jedyny w swoim rodzaju egzamin – sprawdzian z życia i człowieczeństwa.

W udramatyzowanym poetyckim pojedynku S. Nyczaja są, jak przystało, dwie osoby: Poeta i upersonifikowany Los, a każda z nich ma swoje racje, swoje argumenty, których usilnie broni. Ma ów pojedynek swoją dramaturgię, a wydobyć jej służą wskazówki autora, nazwałabym je minididaskaliami ze względu na swą lakoniczność, wystarczającą w tak krótkim *poemacie dramatycznym*, bo taki podtytuł nosi część pierwsza tomiku.

Taki właśnie pojedynek, pełen ekspresji, miałam możliwość usłyszeć w świetnym wykonaniu Arkadiusza Szostaka w roli Losu i samego autora-polemisty z okazji 50-lecia jego pracy twórczej na spotkaniu w kręgu twórców niewidomych i niedowidzących, a więc szczególnie dotkniętych przez los. Odtwórcy wyrazili całą gamę doznań i uczuć pojedynkujących się: od ironii, sarkazmu, pychy do zwątpienia, a nawet obawy i lęku.

Wracając do tomiku, a zwłaszcza jego pierwszej części, zauważamy, że Poecie przychodzi w sukurs, co ciekawe, sam Los, którego nieprzejednanie prowokuje i zachęca do walki. Ponadto Poeta ma zawsze wiersz w zanadru, a ten „będąc ripostą / zarzuci celnie lasso rytmu / puentę na szyi zaciśnie”. I mimo wszystko, albo raczej na przekór wszystkiemu, Poeta nie rezygnuje z tej „nieustrudzonej nadziei”, bo niepodobieństwem bez niej żyć, póki się jest w tym „zawikłanym krajobrazie świata”.

Ale S. Nyczaj-liryk nie byłby w pełni sobą (jawiąc się w publikacjach często również jako satyryk i aforysta), gdyby nie spojrzął na ów Los jeszcze inaczej – z przymrużeniem oka. Mamy więc w drugiej i trzeciej części zbioru fraszki i aforyzmy. Wybrałam z każdego gatunku, dla przykładu, po kilka. Wpierw z *Fraszkowych porachunków z Losem*:

Do Losu

Czyhasz, by zniecka
dać mocno po nosie.
A ja w nim głęboko
mam cię, niecny Losie.

Żeby nie zapeszyć

Żeby Losu nie zapeszyć,
mam się ze wszystkiego cieszyć?

Do wróżki

Lepiej mi, wróżko, przepowiedz,
jak mógłbym fatum zapobiec.

Ostateczny niepokój

Czy warto umierać,
by to drugie życie
zaczynać od zera?!

Los książki

Ten jeden ruch – VAT
zdecydował: mat!

Wyzwanie

Kto wreszcie znajdzie sposób
na przeciwności Losu?

I garść z *Aforystycznych przymówek*, nazwanych przez autora w słowie wstępnym „aforeskami”:

*

Oj, przydałby się kurs
do odparowywania ciosów Losu!

*

Los się do mnie uśmiechnął!
Zatem z kogo zakpił?

*

Godząc się na niekorzystną sytuację,
powstrzymujemy Los
w impecie ku czemuś gorszemu.

*

W jaki nowy układ, Losie,
wejdzie nasz Układ Słoneczny,
gdy gwiazda Słońca zgaśnie?

*

Że też gwiazdom
oddalonym od nas o tyle lat świetlnych
chce się zajmować

każdym człowiekiem z osobna –
i to od samych jego narodzin!

*

I znowuż, mocarny Losie,
powyginałeś nam wykrzykniki
w znaki zapytania
na dalsze myślowe bezdroża.

Przytoczone fraszki i aforeski z części drugiej i trzeciej tomiku rozładowują napięcie dramatyczne tytułowego pojedynku.

Poprzez swój prześmiewczy, ironiczny i żartobliwy ton mogą obudzić w czytelniku poczucie szansy, jaką ma w zmaganiach ze swoim losem, bo może „odejrzeć” mu sarkastyczną drwiną, przechylając na swoją korzyść wynik starcia, w którym siły są nierówne.

Krystyna Cel

Stanisław Nyczaj, *Pojedynek z Losem*, kolaże Ireny Nyczaj, Kielce 2015, OW „STON 2”, s. 76.

Stanisław Nyczaj

Po co

Pędzimy na złamanie karku,
żeby zdążyć,
przedążyć.

Wóz od pośpiechu rozklekotany,
jeszcze kurczowo trzyma się drogi.
Jeszcze koła niestrudzenie nawijają
całe kilometry, miesiące, lata...

Tylko dlaczego ten las za oknem
tak jakoś dziwnie się przeredza –
jak moje włosy.

Niedługo trzeba będzie
wysiadać...?

Ziemia bezbronna

Planetoida znikąd
nie trafiła w Ziemię!

Po plecach zimnym dreszczem
przeszedł nam zaledwie
deszczyk meteorytów.

Pijana od prędkości,
choć podle mikra,
mogła niezgorzej wszystkich nas wychłostać
falą megaenergii.

Nieobliczalny, dziki Kosmochaosie,
za co?!

Intymna podróż

Szalona noc.
Rozpędzony mózg
rozszyfrowuje najcięższe enigmy.

A tu, właśnie tu
niestrudzonimi ani na chwilę
szynami twych czujnych rąk i nóg
dalekobieźnie mkną obłąskawiane

moje biodra i lędźwie,
cały tułów i kark.

Kołysany przezrocznymi zwrotnicami kręgosłup,
na resorach żeber
cicho poskrzypuje.

Nieustanny dryf

Moja łódź
dryfuje zwodniczą poźłotą fal
ku Kamieniowi Pomorskiemu,
toteż na jego katedralną wieżę
niezwłocznie zarzucam arcygrzeszną linę
zdobywczego spojrzenia.

O, i już tam
Jestem!

Z głuchego dzwonu
przeskakuję zwinnie po gałęziach, pniach
na oddychający bujną zielenią
katedralny wirydarz...

I znów niepostrzeżenie
dryfuję ostro
w głąb,
gnany nieukojonym poszumem żył
ku bijącemu coraz ciężej
sercu Historii.

Czasochłon

Niby jestem, a nie ma mnie
dla nikogo
ani dla żadnej rzeczy,
która moja jest.

Wchłania mnie bez reszty
żarłocznie, nieuchronnie
przepastna bezdeń
jutrzejszego dnia.

I jak tu się jej oprzeć,
żeby choć cośkolwiek
dla ciebie obronić,
kiedy od razu
z aż tak apetycznym pożądaniem
zaczyna mnie trawić?!

Pierwsze zdanie-wyzwanie

Chodzi za mną, nie opuszcza na krok
pierwsze zdanie do nowego wiersza.
Zdanie dopiero co pomyślane,
a już natrętne, nieustępliwe,
którym na nowo dla ciebie zakwitnę.

Nie wyobrażasz sobie,
jak długo czekałem,
jak dźwiękle kołatały mi się po głowie
inne – odrzucane
w najciemniejszy kąt zapomnienia.

I wreszcie przyszło
to dla mnie tak ważne,
że boję się je wszem wobec rozgłosić,
zanim niepowstrzymanie
rozwinę w poemat.

Stanisław Nyczaj



Kolaż: Irena Nyczaj

Z kroniki kazimierskiego pleneru

Kolejny raz grupa autorów skupionych w Kołobrzesckim Oddziale SAP spotkała się w Kazimierzu Dolnym w pensjonacie „Monika”. Celem spotkania była wymiana poglądów i doświadczeń na niwie literackiej. Gospodarzami spotkania byli Barbara i Marian Jedleccy wraz z Komisarzem Stanisławem Nyczajem. W spotkaniu udział wzięli:

Stanisław Bartos z Warszawy (związany też z Kielcami i Kołobrzegiem) – poeta, prezes honorowy Warszawskiego Klubu Przyjaciół Ziemi Kieleckiej. Od tego roku zasilił szeregi kołobrzesckiego stowarzyszenia,

Elżbieta Ciszewska-Wlizła z Gdańska – poetka, także komponująca i śpiewająca ze swą *przyjaciółką* mandoliną, Marian Jedlecki z Kołobrzegu – poeta, prozaik, przewodniczący kołobrzesckiego oddziału SAP, Halina Kaczanowska z Kielc – miłośniczka poezji, Leszek Luty z Sosnowca – poeta, Henryk Morawski z Białoobrzegów – poeta, prozaik, regionalista, członek Kieleckiego Oddziału ZLP, Stanisław Nyczaj z Kielc (komisarz pleneru) – poeta, krytyk literacki, edytor, prezes Kieleckiego Oddziału ZLP, Xenia Prałat z Gdańska – poetka, członkini Klubu Literackiego Nauczycieli, Kazimierz Ryk z Radlina k. Kielc – poeta, Małgorzata Siemieniec (z mężem Mieczysławem) z Kielc – wokalistka, Ewa Stangrodzka-Kozłowska z Ciechanowa – poetka, dziennikarka, Maria Szafran ze Świebodzina – poetka, kronikarka pleneru, Teresa Tymoszek z Chorzowa – poetka.

Nadwiślański Kazimierz przywitał nas piękną pogodą i jak zawsze tutaj mnóstwem atrakcji. Oczywiście, na nasz przyjazd zapiały wszystkie *kazimierskie koguty*, i te na straganach i w sklepikach, i w *Kawiarni Sarzyńskich*, i te pozostałe czekające na swoje kokoszki.

Przebogaty plan zajęć mogliśmy zrealizować również dzięki temu, że posiłki jadalśmy na miejscu, w pensjonacie. Były obfite i smaczne, przygotowywane na czas przez Barbarę Jedlecką, niejednokrotnie z dodatkowymi kulinarnymi niespodziankami.

W pierwszym dniu (8 września) przewodniczący SAP, Marian Jedlecki wraz z małżonką Barbarą powitali przybyłych gości, przedstawili

program na cały tydzień, po czym przekazali pałeczkę komisarzowi spotkania – Stanisławowi Nyczajowi, który gotów służyć pomocą, nakreślił sposób i orientacyjny plan konsultacji.

Odbyła się prezentacja poszczególnych osób, gdyż pośród wielu już znających się znalazło się kilka przybyłych po raz pierwszy.

Drugiego dnia (29 września) przedpołudnie spędziliśmy pracowicie na konsultacjach, a popołudnie do późnego wieczoru na prezentacji utworów, przygotowanej przez moją grupę w składzie: Leszek, Xenia, Teresa, Elżbieta i ja pod bacznym okiem i uchem komisarza. Ciekawą zdobyczą dla stowarzyszenia okazała się Elżbieta, która poza wierszopisaniem sama komponuje muzykę, gra na mandolinie i śpiewa. I to nie tylko własne teksty, ale też wiersze proponowane przez przyjaciół, rozpracowywane muzycznie i zaraz potem wykonywane wokalnie.

Trzeciego dnia (30 września) w samo południe udaliśmy się całą grupą do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Janowcu, gdzie daliśmy godzinny popis recytatorski własnych wierszy ze śpiewem Małgosi i Eli. Jakże nam było miło, gdyż publiczność składała się w przeważającej liczbie z młodzieży szkolnej.

Potem zwiedziliśmy XVI-wieczny zamek w Janowcu, który wraz z budynkami gospodarczymi i dworem był siedzibą rodów Firlejów, Tarłów i Lubomirskich. Jako jedyny w okresie PRL-u był w prywatnych rękach. Obecnie jest w odbudowie, ale dostępny dla zwiedzających. Zainteresowanych szczegółami odsyłam do strony internetowej: <http://www.museo.pl/content/view/192/184/> Żegnając uwieczniamy się na fotografii razem z przewodnikiem, by za parę lat tu wrócić i ocenić, ile już murów odrestaurowano, bo jak widać, zamek jest w fazie intensywnej odbudowy.

Wieczorem prezentacja literacka drugiej grupy, pod egidą Ewy Stangrodzkiej-Kozłowskiej z muzycznym zabarwieniem Małgorzaty Siemieniec i Elżbiety Ciszewskiej-Wlizły. Słuchamy wierszy Ewy, Mariana, Henryka, Kazimierza i Staszka Bartosa.

Czwartego dnia (1 października) – gościnnie prezentacja w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Kazimierzu. Niektórzy z nas są tu po raz kolejny. Skupionej uwadze słuchających towarzyszy miły nastrój.

Piątego dnia (2 października) – spotkanie z prof. Marią Szyszkowską (przybyłą do kawiarni „Ewelina” z mężem Janem Stępnem – poetą, prozaikiem, rysownikiem). Słuchamy wykładu nt. odmian twórczości ze szczególnym uwzględnieniem roli człowieka w świecie kultury i cywilizacji oraz świecie ideałów w kontekście historiozofii. Klimat spotkania wprost wyjątkowy, żywa problemowa dyskusja. Pani profesor podpisuje swoje książki.

Po południu ciąg dalszy – biesiada literacka w pałacu Małachowskich, kolejny popis recytatorski naszej twórczości. Szkoda tylko, że wstęp był biletowany, bo dziś nie każdego kuracjusza stać na taki wydatek. Każdy występ traktujemy jako szczególny i sprawia nam on wielką przyjemność. Ten w bogato zdobionym wnętrzu tym bardziej.

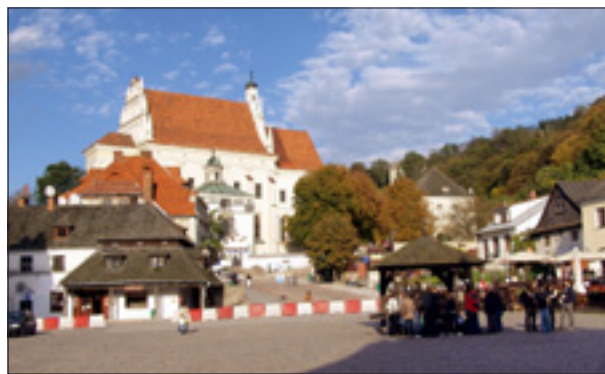
Dzień szósty (3 października) – wycieczka melexem po najciekawszych miejscach Kazimierza – do wąwozów (mają piękne imiona, np. Pleban-ka, Korzeniowy Dół, Wąwóz Małachowskiego), Ściany Płacu po żydowskim cmentarzu, wzgórze Trzech Krzyży.

Wieczorem rozstrzygnięty zostaje ogłoszony wcześniej konkurs jednego wiersza pod hasłem „barwy jesieni w Kazimierzu” (jurorami byli prof. Maria Szyszkowska i Jan Stępień).

Maria Szafran



Widok na Kazimierz Dolny z Góry Trzech Krzyży
Fot. Wikipedia



Rynek z kościołem farnym

Fot. Wikipedia



Kirkut, Ściana Płacu



Wąwóz Korzeniowy

Plener literacki w Kazimierzu Dolnym (28 września – 4 października 2015)



Organizatorzy Barbara i Marian Jedleccy i komisarz Stanisław Nyczaj omawiają program pleneru



Maria Szafran prezentuje swoje wiersze na spotkaniu w MBP w Kazimierzu Dolnym. Partneruje jej z poezją śpiewaną Elżbieta Ciszewska



Na spacerze po mieście



Prezentuje się Kazimierz Ryk



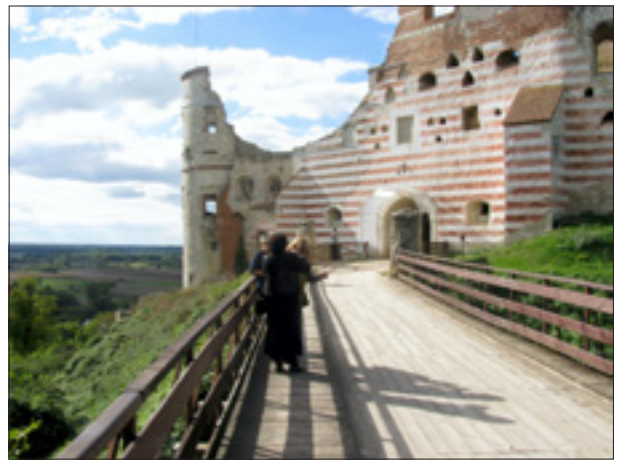
Xenia Prałat i Teresa Tymoszuk



Wokalistki Elżbieta Ciszewska i Małgorzata Siemieniec



Grupa literatów zwiedza warowny zamek w Janowcu



Wiersze czyta Ewa Stangrodzka



W nałęczowskim parku Leszek Luty spotkał Bolesława Prusa

Zdjęcia Leszka Lutego



Swoją twórczość prezentuje Marian Jedlecki

**Barbarze i Marianowi Jedleckim
uczestnicy plenerów w M.iędzywodziu
i Kazimierzu Dolnym serdecznie dziękują
za ich wspaniałą organizację**



Fot. Leszek Luty

Być

Cokolwiek się jeszcze narodzi,
Znajdzie miejsce na ziemi.
I ja jakże mały w jej wymiarze
Mało doskonały,
Żyję na niej
Jak okruch, co odpadł z kromki Bożej.

Dobrze jest żyć bez nadmiernej uwagi innych,
Dać się wyłuskać z tłumu,
Mieć miejsce własną pracą zasłużone.
Być sobie wiernym
I mieć twarz świętych.

Wyróżnienie w turnieju jednego wiersza podczas
pleneru literackiego w Kazimierzu Dolnym.

Ale

Nie umiem sam dojrzewać.
Po cóż mi widzieć słońca dno,
Wracać do szczeniących lat,
Pytać, jak mam się starzeć,
Kto uwięził mój świat.

Nie nauczyłaś rzeczy prostej –
Samotnie kochać.

Powiedziałaś,
Oczekuj nieoczekiwanego:
Wiatru trochę, co krzyżeć nie umie,
Deszczu wiele, co łzom krople zabiera.

Zostawiłaś
Ziemię, po jakiej chodzę,
Codziennosc, która mnie znosi,
Poranek, co wita,
Noc spokojną, kiedy zapada,
Niebo, które ze mną rozmawia.

Wszystko, co mnie otacza,
z echem do ciebie wraca.

Krawędź

Dziś wiem, że stoję na krawędzi zmysłów.
Ktoś wyznacza granicę snów,
Tak spokojnie wyszeptaną wczoraj.
Drzwi zamyka wiatr – mijając niedosyt ust.

Błądę w próżni
Ograniczony do słowa jak do kropli rosy.

Czekam – może boję się miłości,
Co kroplą po kropli krawędzią się toczy,
Trawiąc moje zmysły.

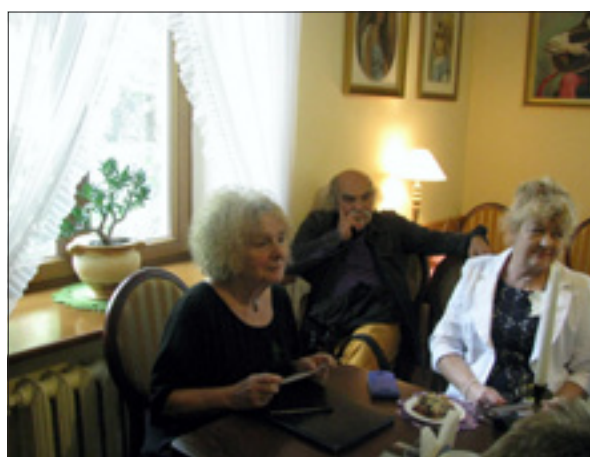
Puch

Tęsknota moja tak czysta
Chłonie puchu ciała doskonałość.
W jednośc serc czujemy smak.
Ciała zwarte i spójne
Płyną i wymykają się z uścisków.
Rysuję promienie, jakby światła nie było.

W oczach oneśmielenie
Muśnięcie warg...

Słowa

Moja niepewność ciągle rośnie,
Z kim będę rozmawiał jutro,
Skoro dziś z sobą nie umiem.
Słowa są złem mojego świata,
Zawsze ranią.
Jak kamienna maczuga bez powiek
Za światłem oczyma wodzi,
Tak mizernym, że trudno odczytać.
A jednak trafia.



Pod przymkniętą powieką

W wędrowce po Kazimierzu
Umykają myśli
Jak drzewa w podróży
Niosąc chmurne kształty

Z niebytu w syndrom
Wypalenia zaplątane
Przenikają się i drażnią zmysły

Nie widzisz a słyszysz
Nie dotykasz a czujesz
Ogniem serca rozbitysty

Zadumą urzekają
O spokojne słowo
Najszczęśliwsze poproszą

Zakrętem życia spłoszone
W pamięci na dłużej zostaną
Z myślą najczulszą
A może oczekiwaną?

Za ten wiersz Stanisław Bartos otrzymał pierwszą nagrodę w ogłoszonym podczas pleneru konkursie, którego jurorami byli prof. Maria Szyszkowska oraz poeta i prozaik Jan Stępień.

Spotkanie z prof. Marią Szyszkowską i Janem Stępiem w nałęczowskiej kawiarni „Ewelina”

Maria Szyszkowska – filozof z usposobieniem poetyckim

Profesor Maria Szyszkowska marzyła w dzieciństwie o tym, by zostać pisarką. Właśnie wtedy napisała trzy książeczki, które przechowuje do dziś. Ale dorastając, zdała „sobie sprawę z wielkiej dowolności ocen estetycznych ferowanych przez krytyków literackich”. Przeraziła się też myśli, że jej ewentualne rękopisy „mogłyby zostać nigdy niewydrukowane”¹⁾. Znała bowiem smutny los kilku takich pisarzy i tłumiła w sobie tę pasję.

Została myślicielem, filozofem, znakomitym znawcą filozofii prawa, historii filozofii oraz zagadnień związanych z filozofią kultury. Napisała dziesiątki książek, setki artykułów z zakresu filozofii, poświęcając wiele uwagi człowiekowi we współczesnym świecie. I choć nie oddała się w pełni literaturze pięknej, to jednak jest pisarką. Kilkanaście lat temu znany prozaik i krytyk literacki Piotr Kuncewicz zaproponował jej wstąpienie do związku literatów. Tak więc marzenia dziewczęce się spełniły. W tym miejscu warto zaznaczyć, że już po habilitacji na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Maria Szyszkowska opublikowała kilka wierszy w miesięczniku społeczno-kulturalnym wydawanym w Kielcach²⁾. Jeden z tych liryków nosi tytuł *Radość szczegółów*:

Nieustanne przemiany
Szukamy oparcia
Chcemy drogowskazów
Nęka niepokój
Nieznanego
Bezbronni
niczego naprawdę
nie mamy
Dlatego lubię
Twoje listy:
przychodzą zawsze
dwa razy w tygodniu

Maria Szyszkowska przywiązuje wielką wagę do słów, które są – co jest tak bardzo oczywiste – nośnikami myśli. Uważa bowiem, że im piękniejszy nasz język, tym piękniejsze są nasze myśli, a w konsekwencji – czyny. Słowo to sygnał, oznajmienie, ale i forma zobowiązania. Bo myślimy przecież w słowach. Chociaż – jak pisze w książce *Spotkania w salonie* – „Trudno jest

stwierdzić, jak dalece słowa odpowiadają myślom i odczuciom osoby, która je wypowiada. Jest może tak dlatego, że kunszt słowa zamiera. Słowa są często szare, byle jakie. Upraszczamy język, określając rozmaite odcienie nastroju terminem „fajny”. Zagubiliśmy, na przykład, czas zaprzeszy. Miejsce słowa „powiedział” zajęło „wyartykułował”. Obecnie ulegamy amerykańskiej. Nawet sklepy nazywamy shopami. Sprymitywizowany język pozbawiony finezji w wyrażaniu naszego wewnętrznego świata – prowadzi do zubożenia naszego „ja”. [...] Dlaczego jesteśmy leniwi na tyle, że dla wyrażenia złożonych przemyśleń czy nastrojów używamy często słów byle jakich? Ta niedbałość o precyzyjne wyrażenie tego, co się myśli i brak staranności w nazywaniu tego, co się czuje, prowadzi do powierzchownego traktowania procesów naszego świata wewnętrznego. Upraszcza nasze doznania i zubaża nastroje. Bywa jeszcze gorzej. Bywa, że słowa znaczą coś odmiennego niż czyny, a czyny i słowa pozostają w luźnym związku z myślami. Wtedy nie ma się na czym oprzeć w relacjach międzyludzkich. Wieje chłodem i pustką” [...]³⁾.

W każdym pokoleniu są utyskiwania na niedoskonałości języka. W latach nam współczesnych nadal szerzy się bylejakość w wypowiedziach na przykład niektórych polityków, ale także przedstawicieli innych środowisk i zawodów. Często wypowiadającym trudno jest sformułować sensowną i zrozumiałą myśl, brakuje im słów. A przecież osoby publicznie występujące powinny być wzorem poprawności językowej.

Nie ulega wątpliwości, że sztukę słowa, pięknego mówienia i pisania opanowała w wysokim stopniu prof. Maria Szyszkowska. Z pewnością zasługuje na miano Mistrza Mowy Polskiej. Pisze tak, by „słowom było ciasno, a myślom przestrzenie” (J. Tuwim). Inaczej mówiąc, stara się tak formułować myśli, by było mało słów, a dużo treści i by „odpowiednie dać rzeczy słowo” (Cyprian Kamil Norwid).

Na język literacki Marii Szyszkowskiej złożyło się wiele czynników. Wychowana została w rodzinie lekarskiej, mając dostęp już od wczesnego dzieciństwa do książek. W jednym z utworów

napisła między innymi: „Zostałam wychowana na bajkach braci Grimmów. Nie wiedziałam wówczas, że ich twórcami byli filozofowie. Można więc powiedzieć, że niemal w czasach niemowlęcych został mi zaszczepiony neokantyzm”⁴⁾.

Z pewnością na jej poglądy, sposób pojmowania przez nią świata i pisarstwo mieli wpływ wybitni profesorowie i uczeni, których spotkała na swej drodze głównie podczas studiów na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego oraz na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej Akademii Teologii Chrześcijańskiej w Warszawie. Habilitowała się na Wydziale Filozoficznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (tytuł rozprawy: *Kant jako inspirator europejskiej filozofii prawa*). Od swych profesorów uczyła się ścisłości i precyzji myślenia, jasności w formułowaniu i wypowiedaniu sądów. Pracę magisterską pisała u księdza profesora Piotra Chojnackiego (1897–1969), któremu, aby przyjął ją na swoje seminarium, musiała przyrzec, że nigdy nie zaniedba filozofii.

[...] O innym filozofie, dziś nieco zapomnianym i niedocenianym, Bolesławie J. Gaweckim (1889–1984), prof. Szyszkowska pisze, że podręczniki przez niego opublikowane w przeszłości powinny być dziś wznowione i mogłyby stać się zachęcającym drogowskazem. Podkreśla, że ten filozof przywiązywał wielką wagę do języka:

„Troska o język, czyli o poprawne wyrażanie myśli, uznawał Gawecki za pierwszy krok ku zdobyciu wiedzy filozoficznej. Ubolewał nad tym, że ogół naszego społeczeństwa mówi niedbale po polsku. Zauważał, że nawet ludzie wykształceni często nie wiedzą, kiedy coś znaczy, a kiedy oznacza, kiedy trzeba użyć słowa liczba nie zaś cyfra. Powtarza się bezmyślnie, iż »wyjątek potwierdza regułę«, podczas gdy wyjątek wskazuje na istnienie pewnej reguły, będąc od niej odstępstwem”⁵⁾.

W *Granicy zwierzeń*, w części VI, przywołała też sylwetki kilku osób, które także wywarły na nią wpływ intelektualny, pisząc:

„Pełna lista osób, których ślad odcisnął się na moim życiu, byłaby dłuższa. Część tych niecodziennych postaci nie należy już niestety do świata żywych. Zresztą od moich najwcześniejszych lat wciąż kruszy się krąg tych, którzy tworzą mój świat. Wywołuje to nie tylko smutek, ale również lęk i protest związany z niezrozumiałym w gruncie rzeczy odchodzeniem ludzi.

Nie ze wszystkimi osobami przywoływanymi w tych rozdziałach dane mi było zetknąć się

osobiście. Ale bywa, że dzieło wpływa nie mniej silnie niż twórca i nie ma znaczenia, kiedy żył.

Powoduje też mną rodzaj przekory, bo piszę o wpływie na moje życie pisarzy uznawanych przez krytyków literackich za drugorzędnych. A przemilczam w tej książce wpływ, jaki wywarli na mnie Leśmian, Ibsen czy Tomasz Mann, by ograniczyć się do wymienienia tych nazwisk”⁶⁾.

Tak na przykład zainteresowanie życiem Marii Kasproviczowej, zwanej „Mariusią,” zaowocowało wydaniem przez „Twój Styl” części jej rękopisów (w książce pt. *Spadające księżycy*), co wcale nie było sprawą łatwą, by przekonać do ich opublikowania testamentowego spadkobiercę spuścizny literackiej wdowy po wielkim poecie. Na prof. Szyszkowską Maria Kasproviczowa oddziaływała poprzez swój *Dziennik*. Autorka *Dziejów filozofii* pisze m.in. w *Granicy zwierzeń*:

„Nauczyłam się wiele od Marii Kasproviczowej. Zapadło mi na przykład głęboko w pamięci zdanie z *Dzienników*, wyrażające przekonanie, że kompromis jest gorszy od śmierci. Poruszyła moją wyobraźnię swoją umiejętnością przetwarzania codzienności. Zaszczepiła chęć skupiania osób nieprzeciętnych i prowadzenia rozmów istotnych. [...] Jej życie jest ilustracją nakazu sformułowanego przez Kazimierza Dąbrowskiego: bądź pozytywnie nieprzystosowany do świata. Potrafiła znakomicie dostosowywać rzeczywistość do swoich oczekiwań i wyobrażeń, mimo trudności, które nieustannie towarzyszyły jej życiu. [...] Pragnę przytoczyć fragment wspomnienia o Marii Kasproviczowej zaczerpnięty z książki Aleksandra Rogalskiego *W kręgu przyjaźni*. Jak pisał, Maria Kasproviczowa „była naturą otwartą na oścież wobec świata, rada życiu, nigdy nie było jej dość upajać się pięknem uwidacznającym się w ludziach i w przyrodzie. Więc i w mitycznej Harendzie nad siłami budzącymi lęk dominowały siły twórcze, jednoczące ludzi lub przyciągające do siebie z różnych stron kraju (czasem i świata) – niemal magnetycznie – dusze, które okazywały się nad podziw bliskie sobie wzajemnie, pokrewne”⁷⁾.

Profesor Maria Szyszkowska wychowała się – jak sama pisze w *Granicy zwierzeń* – na utworach niedocenianych dziś pisarzy: Londona, Ibsena, Romaina Rollanda, Manna czy Rodziewiczówny. Uważa, że nieraz o wiele silniej oddziaływały

postacie literackie na wyobraźnię i psychikę człowieka niż osoby rzeczywiste. Bywa, że sposób życia wielu wybitnych jednostek nie nadaje się do tego, by stanowić wzór do naśladowania, ale stawiamy im pomniki i wymazujemy pewne fakty z biografii.

Co sądzi o Marii Rodziewiczównie? „Nie mogę uznać jej twórczości – pisze we wspomnianej *Granicy zwierzeń* – za przebrzmiałą i niegodną uwagi tylko dlatego, że ktoś uzurpuje sobie prawo, aby zaliczyć ją do literatury drugorzędnej. Podobnie stało się na przykład z Dołęgą-Mostowiczem, mimo znakomitej konstrukcji jego powieści, na pewno pod tym względem przewyższających pisarstwo Żeromskiego. *Karierę Nikodema Dyzmy* uważam za jedną z najlepszych powieści XX-lecia. Utwory pisane jasnym, klarownym językiem są niżej obecnie u nas cenione od tych pisanych językiem ciemnym i pokrętnym. To, co trudne do zrozumienia, wydaje się mądre przez swą złożoność. Dotyczy to także prac naukowych. [...] Maria Rodziewiczówna pisała nie na zamówienie, lecz pod wpływem nadmiaru przeżyć i przemyśleń, które domagały się ujścia. Reagowała silnie na problemy, które niosło życie. Zniechęconych i zawiedzionych podnosiła na duchu swoją niezłomną wiarą w to, że dobro ostatecznie w życiu odnosi zwycięstwo. Wierzy też, że sprawiedliwość musi wreszcie brać górę nad bolesnymi przejawami jej braku. Uczy wychodzić z zamkniętego kręgu własnego egoizmu. [...] Nie bez znaczenia jest też umiejętność pobudzania przez Rodziewiczównę wyobraźni czytelnika oraz zdolność do widzenia świata w perspektywie ideałów, ku którym należy zmierzać. Rodziewiczówna uczy na przykładzie swoich bohaterów czynnej postawy wobec innego człowieka, jako sprawdzianu uczuć przyjacielskich oraz miernika charakteru”⁸⁾.

Natchnienie – słowo może już niemodne, chociaż na przykład romantycy byli zdania, że natchnienie jest sprawą geniuszu będącego wewnętrzną właściwością umysłu twórczego. Jeśli prześledzimy dorobek naukowy i publicystyczny profesora Marii Szyszkowskiej, możemy chyba zaryzykować stwierdzenie, że niektóre książki z dziedziny filozofii codzienności pisała pod wpływem natchnienia, jakiegoś napięcia psychicznego, porywu twórczego.

„Natchnienie – według prof. Szyszkowskiej – to stan zmiany świadomości. Różni się od przecięt-

nego stanu naszej świadomości. Charakteryzuje ten stan zagłębienie się niemal wyłącznie w tym, co absorbuje w danym momencie. [...] W stanie natchnienia następuje odkrywanie prawd, pojawiają się nowe pomysły. Jest to maksymalna koncentracja, zachodzi scalenie psychiki.

Natchnienie jest udziałem ludzi niepospolitych, szalonych w pozytywnym sensie tego słowa. Natchnienie to warunek powstawania wielkich dzieł, w tym również naukowych. Pojawia się ono nagle, ale bywa poprzedzane godzinami głębokich rozważań.

Natchnienie dochodzi do głosu w życiu ludzi twórczych, żarliwych, a więc niepospolitych. [...] Natchnienie to siła zmuszająca do wychodzenia poza siebie – do wyrażania tego, co najgłębiej osobiste. [...] Jest wyrazem nienasyceń. W natchnieniu dochodzi w całej pełni do głosu nakaz Nietzschego: twórz krwią! [...] Natchnienie to wyraz metafizycznego niepokoju, rozterek, wątpliwości, poszukiwań. To stan, który wynosi ponad przeciętność, wzmaga poczucie sensu istnienia. [...] Artysta, pisarz, filozof – opętany własnym dziełem – doznaje nieraz stanów natchnienia”⁹⁾.

Pomysły twórcze pojawiają się w nieoczekiwanych momentach. Wielu twórców doświadcza, że po obudzeniu się musi zanotować jakiś pomysł. Znane są przypadki, że znani pisarze czy poeci notowali jakieś słowa-kлючe w miejscach i w czasie najmniej dogodnym i odpowiednim. W *Odcieniach codzienności* prof. Szyszkowska tak pisze na temat procesu tworzenia:

„Tworzenie nie tylko sztuki i dzieł literackich, ale także teorii naukowych wymaga zdolności do skupienia wewnętrznego i koncentracji nad tym, co się tworzy. Zdarzają się wtedy momenty natchnienia, stany objawienia rozwiązań twórczych. Wielki polski filozof Józef Hoene-Wroński odkrył w stanie natchnienia wzór matematyczny wyrażający istotę Absolutu. Jak to u nas bywa, jego poglądy są mało znane w Polsce, a cenione na Zachodzie.

Tajemnica procesu twórczego sprowadza się do objawienia siebie w tym, co się tworzy. Ten twórczy stan odznacza się zmienioną świadomością, to znaczy zagłębieniem niemal wyłącznie w tym, co twórcę absorbuje. Ten, kto tworzy, ma poczucie, że jest wolny. Twórczość autentyczna nie godzi się z żadnymi ograniczeniami. Brand, bohater jednego z dramatów Henryka Ibsena

pod tym tytułem, uwalnia się nawet z więzi rodzinnych, by móc wznieść wielkie dzieło” [...]”¹⁰⁾.

W pracach prof. Szyszkowskiej co rusz można natknąć się na odwołania do uznanych pisarzy zarówno polskich, jak i obcych, np.: Stanisława Przybyszewskiego, Bolesława Leśmiana, Adama Asnyka, Jana Kasprówicza, Stefana Żeromskiego, Witolda Gombrowicza, Fiodora Dostojewskiego, Henryka Ibsena, Axela Munthe, Scotta Fitzgeralda, Eugene O’Neilla, Jacka Londona, Marcela Prousta, Romaina Rollanda, Alberta Camusa, Lwa Tołstoja. Czyta klasyków, choć nie tylko, od których nauczyła się melodii i rytmiki słowa, ale także wykorzystuje zawarte w ich dziełach przesłania filozoficzne. Czyta też, co jest rzeczą zrozumiałą, książki swego męża Jana Stępnia. Fascynują ją również listy – jako bezcenne dokumenty – wybitnych postaci, m.in. van Gogha, Orzeszkowej, Osterwy, Krasińskiego i Chopina do Delfiny Potockiej, Sobieskiego do Marysieńki, Żeromskiego do Oktawii czy wspomnianego wyżej Przybyszewskiego do Dagny. Czytanie książek, także oglądanie filmów, odślaniających tajniki czyjegoś życia służy oczywiście głębszej refleksji nad własnym sposobem istnienia. Dzięki sztuce możemy wchłaniać w siebie przeżycia innych, utożsamiać się z bohaterem i z perspektywy jego postaw życiowych oceniać samego siebie. Być może między innymi dlatego prof. Szyszkowska jest filozofem twórczym, odznaczającym się wielką wrażliwością, uczuciowością i głębią przemyśleń, filozofem dążącym do wewnętrznej prawdy – nawet wbrew otoczeniu. Swoją wyobraźnią przekształca codzienność.

Pisząc na przykład o marzeniach, przywołuje bohatera *Przedwiośnia* Żeromskiego Cezarego Barykę, który marzył o rozwiązaniu problemów społecznych (szklanych domach), a nie tylko o szczęściu osobistym, Martina Edena, bohatera powieści Londona pod tym samym tytułem, który pragnął zostać wielkim pisarzem. Tytułowe dziewczęta z Nowolipek Poli Gojawiczyńskiej chciały wyrwać się z biednego środowiska i znaleźć się w wielkim świecie. Marzenia mogą nadawać codzienności poetycki wymiar. Jest to wyraźne na przykład w twórczości Gałczyńskiego czy Leśmiana. Życie bez marzeń byłoby szare, jednowymiarowe, zbyt przyziemne¹¹⁾.

Snując rozważania o przyjaźni, wskazuje na bohatera słynnego dramatu Ibsena Peer Gynta, który odnajduje wzmożoną siłę dzięki mocy przy-

jaźni Solveigi. Zespolecie duchowe w przyjaźni pozwala zwiększyć stopień naszej wiedzy o sobie, a także pobudzić drzemiące w nas możliwości. Znakomity obraz tej zależności zawarł Romain Rolland w powieści *Jan Krzysztof*¹²⁾.

Tańczeniu przypisuje rolę szczególną. Dla jednych taniec jest zabawą, radością wyzwalającą z refleksji, a dla innych – rozwiązywaniem pewnych problemów własnego „ja” oraz swego losu, którego uosobieniem staje się partnerka. Nie przytaczając wielu innych myśli o tańcu, odnotuję tylko, że prof. Szyszkowska odwołuje się m.in. do filmu Kawalerowicza *Austeria* (na podstawie powieści Juliana Strykowskiego pod tym samym tytułem), do dzieła Nietzschego *Wiedza radosna* i Muncha *Taniec życia*. Dużą wagę do tańca przywiązywał Władysław Witwicki w jednej ze swych rozpraw¹³⁾. Warto dodać, że autorka *Dziejów filozofii* jest wielką miłośniczką tańca towarzyskiego.

Przywraca niektórym pojęciom właściwe znaczenie. Jej zdaniem powinno się mówić o ludziach sędziwych, a nie o ludziach starych. W naszej kulturze europejskiej wypaczona została hierarchia wartości – pierwsze miejsce zajmuje dziecko i w ten sposób ugruntowuje się obojętność wobec ludzi starszych. Powinno się też mówić o „miłym człowieku”. W jej książkach nie znajdziemy na przykład słowa „ubogacić”, a tylko „wzbogacić”. Zastanawia się nad poprawnością sformułowania „dziecko nienarodzone”? Zżyma się nad takimi wypowiedziami, jak „mówić otwartym tekstem”, „nie mam wiedzy na ten temat”, „zadam krótkie pytanie”, „zasoby ludzkie”, „pozytywne efekty”. Sądzi też, że nadużywane są m.in. następujące słowa: „jak gdyby”, „po prostu”, „dokładnie”, „niejako”, „prawda”.

Upomina się o przywrócenie twórczości Stanisława Przybyszewskiego, zwanego „polskim Dostojewskim”, należnego miejsca w literaturze i naszej kulturze z uwagi na bogactwo przemyśleń i języka. Temu twórcy prof. Szyszkowska poświęca rozdział w książce *Spotkania w salonie*¹⁴⁾.

W ostatnich kilku latach stara się przywrócić właściwą rangę zawodowi farmaceutycznemu. Stworzyła filozofię farmacji¹⁵⁾. Jej zdaniem biznes nie może brać góry nad etyką, a zawód aptekarza powinien być uznany oficjalnie za profesję zaufania społecznego. Być bowiem aptekarzem, to znaczy pełnić szczególnego rodzaju misję. Filozofia

farmacji ma skłonić do stawiania pytań: Kim jest człowiek? Jak żyć? Jak układać relację między sobą a chorym? Na ile należy uznać sensowność nakazu pozytywnego nieprzystosowania do obiegowych poglądów, sformułowanego przez profesora Kazimierza Dąbrowskiego? Pytanie to dotyczy także stosunku farmaceutów, w tym aptekarzy, do utartych poglądów w ich środowisku.

W szkicu zatytułowanym *Twórcze niepokoje Marii Szyszkowskiej* napisałem parę lat temu m.in.:

„Nie brakuje jej twórczych pomysłów, bo jest ciekawa świata i ludzi, których przyciąga do siebie łagodnym uśmiechem, cichym i spokojnym, acz stanowczym i świeżym głosem, i dobrą, niewidoczną dla otoczenia aurą. Kocha marzenia i je urzeczywistnia. Należy do nielicznych uczonych, którzy w przystępnej, literackiej formie mówią o sprawach wielkich i tych codziennych. Ileż w jej książkach... poezji! Filozof o usposobieniu poetyckim ma grono stałych czytelników i wielbicieli swej niezwyklej osobowości. [...]

Potrafi z wielką wnikliwością pięknie i mądrze pisać o człowieku, stając się przewodnikiem intelektualnym i moralnym w czasach nam współczesnych”¹⁶⁾.

Maria Szyszkowska jest arystokratką filozofii, zakochaną w urodzie życia i sensie istnienia, której Pegaz dodaje skrzydeł do lotu. Nawet w odcieniach codzienności dostrzega wiele uroku i poezji, którą przenosi na swe życie i swoją twórczość.

Tadeusz Stolarski

¹⁾ Maria Szyszkowska, *Granice zwierzeń*, Warszawa 2001, s. 16.

²⁾ „Przemiany”, nr 10 z 1984 r., s. 28; wiersz ten autorka przytacza w *Spotkaniach w salonie*, Warszawa 1994, s. 139.

³⁾ Maria Szyszkowska, *Tamże.*, s. 39–42.

⁴⁾ Maria Szyszkowska, *Za horyzontem*, Warszawa 2002, s. 9.

⁵⁾ Maria Szyszkowska, *Granice zwierzeń*, Warszawa 2001, s. 173.

⁶⁾ Maria Szyszkowska, *Tamże*, s. 8–9.

⁷⁾ Maria Szyszkowska, *Tamże*, s. 212–214.

⁸⁾ Maria Szyszkowska, *Tamże*, s. 220–224.

⁹⁾ Maria Szyszkowska, *Stwarzanie siebie*, Warszawa 1994, s. 174–177.

¹⁰⁾ Maria Szyszkowska, *Odcienie codzienności*, Białystok 2009, s. 162–163

¹¹⁾ Maria Szyszkowska, *Za horyzontem*, Warszawa 2002, s. 6–8.

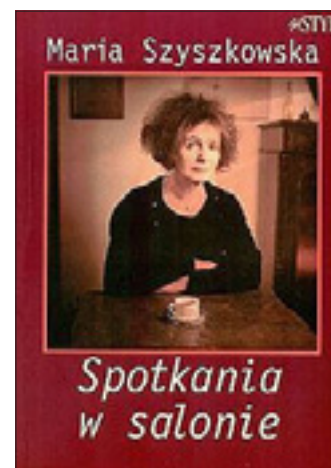
¹²⁾ Maria Szyszkowska, *Stwarzanie siebie*, Warszawa 1994, s. 180.

¹³⁾ Maria Szyszkowska, *Twórcze niepokoje codzienności*, Warszawa 1999, s. 153–159.

¹⁴⁾ Maria Szyszkowska, *Spotkania w salonie*, Warszawa 1994, s. 61–68, zob. Maria Szyszkowska, *Każdy bywa pacjentem. Zarys filozofii farmacji*, Warszawa 2010.

¹⁵⁾ Maria Szyszkowska, *Za horyzontem*, Warszawa 2002, s. 161–169.

¹⁶⁾ Tadeusz Stolarski, *Twórcze niepokoje Marii Szyszkowskiej*, w: Maria Szyszkowska, Jan Stępień, *Zamyślenia*, Warszawa 2005, s. 71–72.



Spacer po Kazimierzu

zaskoczyła mnie ta pustka
niemrawo okupowana przez Cyganki
leniwe dziś i nienatarczywe

cóż bowiem mogą chcieć od nich
nieliczni przechodnie
zaglądający zziębniętym kupcom do skrzynek
i liczący kocie łby pod stopami

w skrzynkach śmiały się jabłka
na rynek spadało wzgórze
a ponad nim powisała niezmiennie
girlanda starych murów
bruk dziś nie chwiał sztalugami
obrazy pochowały się w galeriach
samochody wystukiwały oponami
pieśń artystów i podróżników
nieobecnych zjesienniałych
przy nabrzeżu nieruchomiła korweta
a zachód słońca był jak z fotografii

nigdy dotąd spokój Kazimierza
tak wiele mi nie powiedział
spowity w przebarwiającą się zieleń
wieścił złoty październik
ubierał Górę Trzech Krzyży
w kolory oswojone

a ja...
tamten chciałam zobaczyć Kazimierz
brukowaną uliczką szłam
w magiczne miejsce – do Dziwisza
gdzie wciąż siedziały wspomnienia
i czarne koty na kanapach

II nagroda w turnieju jednego wiersza podczas pleneru literackiego w Kazimierzu Dolnym.

Droga

Dokąd prowadzi mnie droga
Którą podążam naprzód
Odległość do celu ogromna
Jak wielka jedynie wie Bóg
Nie wolno zbroczyć z kierunku
Iść tylko prosto przed siebie
Nie licząc swych łez i trudu
Czy kiedyś odpocznę nie wiem
Ciągłe postuszny nakazom
Które wypełniam przecież
One wskazówki mi dadzą
Abym nie błądził już więcej
A kiedy do celu dotrę
Otworzysz podwoje bramy
Wtedy na pewno odpocznę
Wędrowiec życiem sterany

III nagroda w turnieju jednego wiersza podczas pleneru literackiego w Kazimierzu Dolnym.



Swoje wiersze prezentują Ewa Stangrodzka i Leszek Luty

Zdjęcia Leszka Lutego

Niepokalane poczęcie wierszy Zofii Walas

Zofia Walas jako osoba i jako twórczyni jest niezwykle ciekawym zjawiskiem. Chciałabym napisać, że poznałam ją bliżej, ale to nie byłaby prawda. My się wprawdzie zaprzyjaźniłyśmy, lecz nadal chyba jej dobrze nie znam, gdyż ta pozornie otwarta, wesoła, wręcz entuzjastyczna i bezproblemowa, dwustuprocentowa kobieta nie odśania się zbyt chętnie. Również jej leciutkie w formie jak westchnienia wiersze kryją w sobie tajemnicę.

Przeczytałam kilkakrotnie wszystkie jej utwory, jakie ukazały się w druku, ale nie wydaje mi się, żebym dotarła do samej istoty ich mocno skomplikowanej materii. To dobrze, bo mogę je odczytywać jeszcze po wielokroć i nigdy się nimi nie znudzić. Ta poezja to niewygasły wulkan z kraterem wypełnionym bulgocącą lawą. Żeby zajrzeć do jego wnętrza, trzeba jednak przebyć ciężką drogę, gdyż szczyt tej góry tonie w chmurach, zaś zbocza zalega lodowiec. Mapkę ułatwiającą wejście na ów szczyt próbował rozrysować Stanisław Nyczaj, pisząc posłowie do pierwszego tomiku *Zwodzone szczęście*, wstęp do drugiego *Diamenty czasu*. Przeprowadził też z Zofią Walas rozmowę, którą zamieścił zamiast wstępu do trzeciego tomiku noszącego tytuł: *Znalezione w bursztynie*. Poetka jednak i tam mocno kluczyła.

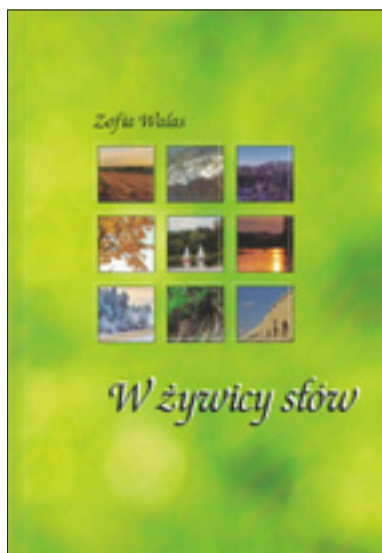
Zofia Walas na co dzień żyje w swoistej klatce Faradaya, którą sama sobie stworzyła. Potrafi z dala od siebie utrzymać niebezpieczny, iskrzący co chwilę kulturowymi i politycznymi spięciami świat i całą tę naszą rozwrzeszczaną rzeczywistość. Żyje więc w świecie nie takim, jaki jest naprawdę, lecz w takim, jaki sama sobie stwarza. Może właśnie dzięki temu udaje jej się zachować niezwykle świeżość i pogodę ducha. Jako twórczyni również prawie nie korzysta z istniejącego wokół świata, nie przeżywa go, nie odtwarza poetycko, tylko stwarza własny. Dlatego nie ma co szukać w jej wierszach wzruszeń nad kwiatkiem, słońkiem czy zachwyty nad jakimś żywiołem. Jej świat jest niewielki i hermetycznie zamknięty. Znajdują się w nim w zasadzie tylko „ja” i „ty” liryczne. Ale między nimi panuje napięcie tysięcy woltów.

„Ja” liryczne jest słabą kobietą, targaną wielką namiętnością. Skarży się na obojętność, oddalenie przedmiotu miłości, na nieodwzajemnienie uczuć i niemożność spełnienia. To tylko pozory, do czego się zresztą przyznaje, np. w utworze *Moje widzimisie*, mówiąc wprost: „Zależysz już tylko od mego widzimisie / Pojawiasz się i znikasz według mojej woli”. W gruncie rzeczy podmiot liryczny jest wszechwładnym demiurgeniem, który stworzył przecież w wierszach wszystko – całą tę dręczącą miłość i jej przedmiot. Trud tworzenia służy tylko jednemu celowi. Ma doprowadzić do aktu poczęcia i narodzin poezji.

„Ja” liryczne nie jest też wcale skromne. Już w pierwszym utworze pt. *Zachwyty*, składając hołd boskiemu dziełu, od razu nawiązuje do pokrewieństwa między Stwórcą a twórcą. Rozmawia z Najwyższym, może nie tyle jak równa z równym, lecz bez kompleksów. Ma przecież swój obszar działania, w którym czuje się naprawdę mocna. To świat tworzony z samych tylko słów. Lecz przecież Święty Jan, rozpoczynając swoją *Ewangelię* stwierdzeniem: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga...”, potwierdza ten bliski związek między dziełem stworzenia a tworzeniem dzieła. „Ja” liryczne wyznaje właśnie w utworze, będącym jakby preambułą do całego tomu, swoją głęboką wiarę w słowa.

Już w następnym wierszu *Szarpie słów* rozkłada przed odbiorcą swój warsztat i pokazuje, że dzieło tworzenia takiego emanującego miłością tomu nie przebiega bezboleśnie. Konieczne będą szarpie słów, którymi trzeba bandażować rany. Bóg-Człowiek też cierpiał, gdy z miłości własną męką zbawiał świat. Nieliczni, wybrani, którzy potrafią współodczuwać ze Zbawicielem, otrzymują stygmaty – krwawe znaki Jego męki. W utworze *Stygmaty czasu* podmiot liryczny chwali się swoistym naznaczeniem oraz władzą nad czasem i materią, przyznając się jednocześnie do niewiedzy w innych, bardzo zresztą istotnych kwestiach. Pyta więc: „Ale kto dał mi początek / I postawił ciebie na mej drodze”?

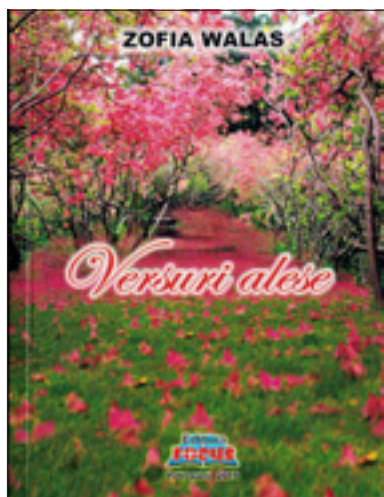
Są i następne odniesienia do *Biblii*, do teorii powstania świata, a także do modlitwy. „Przestrzeń jest niema jak przed Wielkim Wybuchem



/ Wymów słowo
– niech na nowo
zaistnieją sylaby
/ Tchnij w nie
życie...” – znaj-
dujemy w wier-
szu *Wielkie
milczenie*. A w
utworze *Ciało
wiersza* czyta-
my: „W wier-
szu jestem tylko
słowem / Stanie
się ciałem, gdy
dotrze do cie-

bie”. Podmiot liryczny w swoich uczuciach szy-
buje wysoko, porusza się w sferze sacrum. „Ślę
ci słowa miłości jak akty strzeliste”, „Buduję ci
ołtarze – wotami słów zdobię” – mówi z wyrzutem
w *Wotach słów*, ukazując miłość jako wysublimo-
wane i oczyszczone cierpieniem pojęcie.

Boję się
właściwie pi-
sać więcej
o doskonałych
wierszach, które
Zofia Walas za-
mieściła w swo-
im czwartym
już tomiku pt.
W żywicy słów,
bo nie chciała-
bym dopuścić
się profanacji.
Ja, tak skupiona
na otaczającym
mnie świecie,
zaangażowana
w rzeczywisto-
ść, boję się
zainfekować zwykłą materią te czyste, piękne
strofy, złożone głównie z wyabstrahowanych
pojęć i odrealnionych obrazów. Myślę, że Zofia
Walas jako osoba może czuć się naprawdę szczę-
śliwa i spełniona, gdyż poczęła i wydała na świat
strofy dużej wartości i urody.



Ostatnio ukazał się też tomik Zo-
fii Walas w przekładzie na język
rumuński (tłumaczył Valeriu Butu-
lescu). Dostępny w wersji dwuję-
zycznej jako e-book

Beata Kępińska

Zofia Walas, *W żywicy słów*, Bydgoszcz 2015, Instytut
Wydawniczy „Świadectwo”, s. 64.

Ciało wiersza

W wierszu jestem tylko słowem
Stanie się ciałem, gdy do ciebie dotrze

Słowa bezdomne

Nic nas nie łączy, oprócz tych wierszy –
słów bezdomnych,
Które szukają miejsca w sercu twoim

Oczekiwanie

Czekam na ciebie – przesuвам zegary
Już nie wierzę wskazówkom – omamom mych oczu

Czas tętnem mierzę – puls mam przyśpieszony
Moje serce cwałuje – wędzidła nie uznaje

Przez obręcz dnia przeskakuję
Nie czyniąc ani kroku

Miłosna konstelacja

Urodził się nowy wiersz
Na niebie zajaśniała jego zodiakalna gwiazda

Twoje imię nosi miłosna konstelacja

Kartki

Miłość mi podpowiada słowa
W kolejny wiersz cię przeistaczam
Wyrrywam z życia
Tulę w kartkach

Pieśni

Jesteś natchnieniem, sennym marzeniem
Im smutniej tym piękniejsze pieśni

Wolałabym się z tobą budzić

Nie śnić wierszy

Samotne słowa

Moim wyznaniom nie wierzysz
Poczucie humoru ironią nazywasz

O twierdzę twoich twierdzeń
Wyrazy rozbijają się, toną...

Czasem ratuje się samotne słowo
I buduje wiersz – przystań

Rozbitek i samotna wyspa

Żywiczna nadzieja

Opowiadasz mi o sobie
Słów twych słucham z nadzieją
Że znajdę wśród nich zieloną gałązkę
I zeschnięte bierwiona wyrazów żywicą napętnię

Przechodnie zwycięstwo

Moja miłość w twych rękach to puchar przechodni
Rozkoszuj się zwycięstwem zanim zejdziesz z podium

Tęsknota

Miłość w ostatnim stadium
Lekarstwa już nie ma
Leczenie objawowe
Ciało zapomina

Tylko myśl się wymyka igle znieczulenia
Zaplątana w przewlekłą tęsknotę

Sejf

Mówisz, że szyfrem piszę wiersze
I w sejfie chowam swe uczucia
Aby otworzyć „skarbiec” ten
Serca trzeba, a nie klucza

Zaprezentowane tu w wyborze wiersze z tomiku *W żywicy słów* były prezentowane podczas promocji w kieleckim „Czerwonym Fortepianie”, krakowskim klubie „Pod Gruszką”, warszawskim Domu Kultury „KADR”.

Irena Paździerz

Co ja mam z tymi rodzicami!

Wielu pisarzy zastanawia się, czy lepiej pisać dla dzieci, czy dorosłych? A jeśli dla dzieci, to jak? Zapewniam wszystkich – pisanie dla dzieci jest trudniejsze. Z pisaniem nie jest tak, jak nam się wydaje. Co tam dziecko, małe jest i głupie. Czyż nie to nam wpajano przez wiele lat? Może kiedyś dało się dzieci lekceważyć powiedzeniem: „dzieci i ryby głosu nie mają”. Czy my, dzisiejsi dorośli, nie przeżywalimy tych uwag, połykając w kącie łzy? Chcieliśmy coś powiedzieć, włączyć się do dyskusji dorosłych, a oni traktowali nas z góry.

Wychowani na takich wzorcach w czasach wcale nie tak odległych, bo trzydzieści, czterdzieści lat wstecz, nie przejęliśmy go? Dlatego szokuje nas dzisiaj, że dziecko ma pewne prawa i gdy wyraża swoje zdanie, powinniśmy go wysłuchać, a nie kwitować jego protestu tak często nadużywanym powiedzeniem: „ma tak być, bo ja ci tak każę”.

Pisarz, który zdecyduje się napisać coś dla o wiele młodszych od siebie odbiorców bez głębokiego zastanowienia, dlaczego książki Astrid Lindgren *Dzieci z Bullerbyn* i Lucy Maud Montgomery *Ania z Zielonego Wzgórza* odniosły tak spektakularny sukces, że wychowały się na nich pokolenia, nie spełni tego, co jest największym osiągnięciem pisarza; jego książki nie będą się dobrze sprzedawały.

I jeszcze rada dla tych, którzy chcieliby zająć się pisaniem dla dzieci. Jeśli nie



odnajdziesz w sobie dziecka, którym kiedyś byłeś, nie napiszesz dobrej książki.

Anna Błachucka to wewnętrzne dziecko w sobie odnalazła. Czytając *Co ja mam z tymi rodzicami*, nie znajdowałam w nich jedynie opowieści ośmio- czy dziewięcioletniej dziewczynki, ale widziałam w nich także świat autorki sprzed kilkadziesiąt lat. Jest on w słowach babci Helenki i cioci Gieni. Ola, narratorka książki, nie może się nadziwić, że dawniej karało się dzieci biciem. Zrobiło coś złe, zasługiwało na karę, dostawało lanie. Ojciec wyciągał pas, mama w nieco złagodzonej formie przeciągała po plecach ścierką. Nie tłumaczyli dzieciom, że zachowały się źle i dlaczego w podobnych sytuacjach powinni postąpić inaczej. Tylko czy dzisiaj rodzice nie popełniają podobnych błędów? Dziś nie bije się dzieci, ale czy nie karze się w inny, nieprzemyślany sposób? Za nieposłuszeństwo odsyła się dziecko do jego pokoju, gdzie ma przemyśleć swój zły postępek. Czy to jest dobra metoda? Ola nad tym się zastanawia. Dochodzi do wniosku, że co prawda czasy się zmieniły, dzieci się nie bije, ale rodzice wciąż nie mają dla nich czasu, aby rozmawiać, tłumaczyć, dyskutować. Stale są zabiegani. Oboje pracują. Przychodzą zmęczeni z pracy i stale się kłócą. Mają niewiele czasu dla dzieci. Co innego babcia. Już nie pracuje, ma więcej wolnego, a może po prostu ma więcej cierpliwości, żeby ich wysłuchać, porozmawiać i... wczuć się w ich rozterki.

Ola jest wnikliwą obserwatorką. Na szczęście, nie przejęła stereotypowego sposobu myślenia nazywanego przez psychologów „klątwą pokoleń” i nie boi się wytykać wad i błędów rodziców. Taka prawda, być może, zaszokowałaby ich, przez co odesłałaby ją „na przemyślenia” do swojego pokoju i zabronili oglądania telewizji. Nie mówi więc tego wprost, ale pisze o tym w swego rodzaju pamiętniku. Co ja mam z tymi rodzicami! – czy nie każdy z nas mógłby to samo powiedzieć? Dziecko traktuje świat takim, jakim on jest. To od dorosłych uczy się, że ważne są pieniądze, bo dzięki nim może dostać laptop, pojechać za granicę na wakacje, a potem pochwalić się przed rówieśnikami. Licytować, które więcej prezentów i pieniędzy dostało na pierwszą komunię i kto w wytworniejszym ośrodku za granicą spędził wakacje.

Ola nie zastanawia się nad takimi problemami. Podśłuchuje rozmowę rodziców, którzy na

Dzień Dziecka chcą kupić dla niej biurko, a dla jej młodszego brata regał. Pragmatycznej mamie Kindze taki pomysł wpada do głowy, ale na szczęście tata sprowadza ją do realnego świata dzieci i przesądza o tym, że największą frajdę sprawią swoim pociechom, zabierając je do parku rozrywki w Krakowie.

Ola nie należy do tego rodzaju dzieci, które swoją mądrością i doskonałością przewyższają rówieśników. Tego rodzaju błędy spotykałam wiele razy, czytając książki jako dziecko i napotykam teraz. Taki ideał doskonałości, do którego nigdy nie mogłam dorównać sprawiał w dzieciństwie frustrację i nigdy nie zachęcał mnie do przekraczania granic, ale sprawiał poczucie mniejszej wartości. Inni są tacy mądrzy, doskonali, a ja co? Nie wzniosę się na najwyższe szczyty.

Takiego wrażenia nie odniosą młode czytelniczki książki Anny Błachuckiej. Ola nie jest Einsteinem ani nikim, kto by w młodości zachwyił świat ponadprzeciętnymi zdolnościami. Ma problemy z czytaniem, ale największy problem – ze swoimi rodzicami. Gdyby bardziej rozumieli, co ją trapi, z pewnością byłoby jej lżej. Młodszy brat Maciuś wcale nie zasługuje na większe względy, a jednak lepiej go traktują. Ona, jako starsza, musi mu ustępować i dawać przykład. Czy to jest sprawiedliwe?

Książka Anny Błachuckiej *Co ja mam z tymi rodzicami* zasługuje na to, aby wzięły ją do rąk nie tylko młode czytelniczki, ale również ich matki. To świat ukazany oczami dziecka. O ile dla młodszego pokolenia będzie on odbiciem ich rozterek i problemów, to dla tych starszych czytelniczek jest okazją do analizy własnego postępowania. Czy my, to nieco starsze pokolenie, nie powielamy przypadkiem poglądu, że dziecko jest naszą własnością? A może trzeba dzieci traktować tak, jak w starożytnej Persji, gdzie na pytanie „ile masz dzieci?”, odpowiadało się: „Bóg powierzył mi do wychowania sześcioro”. Tylko kto dzisiaj szczerze wierzy w Boga? Przecież ateizm jest na topie. Mityczny Bóg, odium dla nas, niczego nam nie dał. Ale kto dał mądrość naszym dzieciom, że od maleńkości potrafią odróżnić dobro od zła i tak trafnie ocenić nasze wady i kręactwa?

Anna Błachucka, *Co ja mam z tymi rodzicami!*, Wydawnictwo Poligraf 2015, s. 100.

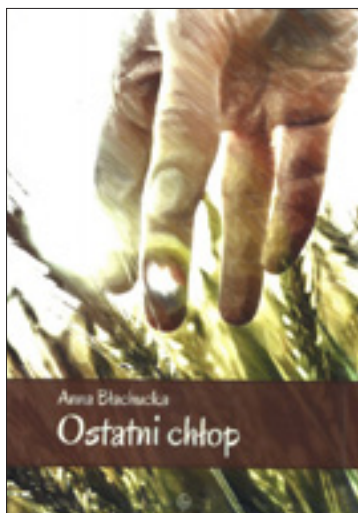
Ostatni chłop

Annę Błachucką poznaliśmy jako poetkę, autorkę kilku tomików wierszy. Zapamiętaliśmy ją szczególnie w trudnym dla współczesnej poezji gatunku, jakim jest sonet. To gimnastyka umysłowa dla poety. Kto z sonetem nigdy się nie zmierzył, nie wie, jak trudno go napisać. Tu nie ma dowolności, na nic się zda potok skojarzeń. Twarde reguły. Temu musi się podporządkować poeta. Zamienić i tak skondensować myśli, aby poddały się reżimowi rymów i rytmów.

Anna Błachucka zdecydowała się sprawdzić swój talent pisarski w innym gatunku. A jest nim proza. Łatwiej zmierzyć się z prozą w krótszych formach, jaką jest opowiadanie czy nowela. Jej debiut prozatorski to zbiór opowiadań *Pogwarki z Jarkowej Góry*. Nietrudno się zorientować, albowiem pisane są gwarą, że autorka jest związana ze wsią. Miastowi, choćby nie wiem jak bardzo się starali, klimatu, prawdziwego klimatu wsi, nie są w stanie oddać. Może kiedyś w dzieciństwie odwiedzali babcię na wsi, ale czy podczas wakacji, czy kilkudniowych pobytach, byli w stanie poznać świat ludzi zmagających się z pracą na roli, rytmem prac, które wyznacza przyroda? Oni traktują wieś albo sentymentalnie, bo takie ładne baranki pasą się na łące, a mądle przywołują nostalgiczne żegnania się z latem, albo odwrotnie – z niemiłym wspomnieniem, gdy zmuszano ich do pomocy w polu.

Anna Błachucka postawiła sobie kolejne wyzwania. Pokazać wieś, jaka jest teraz, po przemianach, które nastąpiły w Polsce po odzyskaniu suwerenności i zbliżeniu z zachodem Europy. Jak zaakceptować to nowe, którego wszyscy pragnęliśmy, a okazało się tak trudne.

Ostatni chłop. To prowokacyjny tytuł. Z jednej strony można go odczytać, że to koniec polskiej wsi. Już nie ma ludzi, którzy, tak jak ich przodkowie, naprawdę kochają ziemię i pracę na roli. Tę miłość „wybiła im z głowy” rzeczywistość. Jedni stwierdzili, że nie się w tym kraju nie opłaca i wyjechali za granicę. Inni stwierdzili, że można ziemię sprzedać, żyć z byle jakiej renty, ale się nie narobić.



Bohater książki Anny Błachuckiej, Franciszek Bąk, nie należy do żadnej z tych kategorii. On kocha swoją ziemię, nie chce nigdzie wyjeżdżać. Świat się zmienił, a dla Franciszka całym światem jest jego wieś, praca na roli i odwieczne prawa moralne zawarte w Biblii, które dziś wielu uznaje za anachroniczne, nieprzystające do rzeczywistości.

Franciszek ubolewa nad tym, że jest ostatnim chłopem na wsi. Co stanie się z jego ziemią, gdy żadne z dzieci nie zamierza wrócić na wieś. Oni tak bardzo wrosli w miasto, że nawet na jeden dzień nie można ich zostawić z gospodarstwem, bo nie dopilnują, aby zwierzęta były najedzone. Może jednak wyjechać do sanatorium, aby podreperować zdrowie, bo ma dużo młodszą żonę, Ukrainkę, która wszystkiego dopilnuje.

Przyjeżdża do sanatorium kilka dni później i dostaje najgorszy pokój. Krótko jest sam. W nocy przyjeżdża jeszcze jeden kuracjusz. To pan doktor, filozof, naukowiec pracujący na uczelni. Nie jest zadowolony, że musi przenocować w obskurnym pokoju dla tych, którym NFZ funduje pobyt w kurorcie. On zapłacił za wyższy standard, ale jego pokój chwilowo jest zajęty. Jedną noc musi spędzić w podlepszych warunkach i na dodatek nie z kimś równym sobie, ale prostym chłopem ze wsi. Na początku odnosi niezbyt korzystne wrażenie z tego spotkania, ale w rozmowie okazuje się, że ten chłop to nie taki prostak, jak wyobrażenie uczonego o ludziach ze wsi. Pomimo późnej pory mężczyźni rozmawiają ze sobą i co najważniejsze, mają o czym.

Franciszek cieszy się, że spotkał kogoś mądrego, filozofa, który uczy młodzież studencką, musi więc wiedzieć wszystko o życiu. Skorzysta z jego wiedzy, dowie się prawdy, znajdzie odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania. Szybko okazuje się, że i nauka tego nie wie. Andrzej Koryciński przestudiował wiele książek, zna wiele koncepcji myślicieli rozprawiających o sensie życia, ale teoria tak naprawdę niczego nie wyjaśnia. Intrygują go wywody prostego, wiejskiego chłopca. On nie skończył uniwersytetów, a przedstawia takie prawdy o życiu, że i filozof może z nich czerpać wiedzę. Decyduje, że nie będzie przenosił się do lepiej wyposażonego pokoju, a zostanie z Franciszkiem, aby móc z nim rozmawiać, dyskutować i poznawać inny punkt widzenia na sprawy, z którymi on także sobie nie radzi.

Przy lekturze *Ostatniego chłopca* czytelnik będzie stale zastanawiał się nad pytaniem: Czym tak na-

prawdę jest mądrość? Czy mądrym jest człowiek, który nie zakończył edukacji nawet na studiach, ale poszedł dalej, napisał pracę doktorską, może nawet habilitacyjną, a może mądrym nazywamy po prostu tego, który zadaje pytania, który szuka na nie odpowiedzi niekoniecznie w książkach, ale w tym, co go otacza? Nie powieła odpowiedzi, które podpowiadają mu inni, nie posługuje się stereotypami, ale stale się czegoś uczy, krytykuje, akceptuje, zaprzecza. I z tego chaosu wyłania się na nowo bogini Eurynome, bogini wszechrzeczy, która stworzy świat, jego świat. Franciszek jest otwarty na nowość. Nie przeraża go komputer, jak ludzi w jego wieku. Nie boi się go, gdy młody człowiek, którego poznaje w sanatorium, oswaja go z tym urządzeniem. Ja osobiście wierzę, że Franciszek po przyjeździe z sanatorium kupi komputer, bo to wcale nie ostatni chłop tęskniący za minionym, ale taki, który zadaje pytania i pomimo trudności idzie do przodu.

Andrzej Koryciński z rozmów z Franciszkiem wyjdzie wzbogacony o wiedzę, jakiej istnienia może nawet się nie spodziewał. Może kiedyś przyjedzie na wieś i gdy siądzie na rozstaju dróg, popatrzy na wieś, która już nie jest jak „...bursztynowy świerczop, gryka jak śnieg biała, gdzie panińskim rumieńcem dzięcielina pała”, ale na tej nowej wsi stoją piękne domy tych ze wsi i tych z miasta, którzy dość mieli zgiełku i pośpiechu, i tutaj się przenieśli. Jeśli ogarnie go poetyckie natchnienie, zobaczy w tych nowych i starych mieszkańcach wsi drzewa. Te stare, które mają w sobie tradycje pokoleń, sentymentów, które niekiedy usychają, bo ucięto im korzenie. Inne zaś, młode sadzonki, mienią się zielenią. Każdego roku zapuszczają głębiej korzenie. Tak powstaje las, nie pustynia.

Anna Błachucka, *Ostatni chłop*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2015, s. 267.

Irena Paździerz

Aniołom śmierci

Cicho stąpam na palcach wspomnień
najlżejszy dotyk budzi ryk demonów
Przeszłość
Chwilo, gdyby cię nie było

Po wyptówałam asfalcie
pędzi anioł śmierci
hukiem ogłasza swoje przybycie
pomieszały się kolory
niebieski i biały
stał wyszczerzała zęby
z rozrywanej karoserii
z sykiem powietrze opuszczało
pokaleczone opony
rozsypały się okna
ostrymi paciorkami
wbiły się w moje ręce
Chwilo, gdyby cię nie było

Wisi krwawe ciało
na pasie bezpieczeństwa
pas schwytał korpus
nie zatrzymał duszy
jestem i mnie nie ma
tak słodko umierać
gdy ból nie rozbłysnął
szaleństwem cierpienia

Czy to anielskie trąby tak grają?
Czy żałosny skowyt karetki
rozpycha się po drodze?
Krew pulsuje
więc mnie zabierają
kołuję między światami
doczesnym i przyszłym

Ktoś dostraja decyzję
do Hipokratesowej przysięgi
ceruje moje ciało
bóllem wracam do rzeczywistości

Jak wytrzebić ze ścieżek pamięci
tamte chwile co trwały
wykrzywając czas
palącym cierpieniem
przecież na drogach
wciąż grasują anioły śmierci
czyhają na zdobycz
upiornym warkotem
przegrzanych silników
prawo ludzkie mają za nic
jeszcze nie znają bólu chwil
tych, co lepiej gdyby ich nie było

Autoironia i powtórzenie w poezji Ewy Marii Wojtasik

Lektura najnowszej książki poetyckiej Ewy Marii Wojtasik pt. *Koralowe sny* śmiało może, ze względu na dystans do świata w niej przedstawionego i subtelną autoironię, być nie tylko sezonową przygodą intelektualną, ale stanowić stałe źródło do snucia refleksji, a nawet cytowania poetki. Na ten dojrzały tom składają się bowiem utwory wybrane z trzech zbiorów poetyckich: *Gorzka słodycz* (2007), *Nie mów mi prawdy* (2009), *Ptaki błękitne* (2011) oraz *Wiersze nowe*, stanowiące ostatnią liryczną część. Zawartości książki nie wyczerpuje bowiem tylko sama poezja; poprzedza ją wstęp, a kończą opinie krytycznoliterackie o liryce autorki, wypowiedziane przez Stanisława Nyczaję, Halinę Kuropatnicką-Salamon, Roberta Czopa, Jana Zdzisława Brudnickiego, Stefana Jurkowskiego bądź to na łamach prasy, bądź w postłowiach do wspomnianych zbiorów wierszy. Kielecka Oficyna Wydawnicza „STON 2” wzbogaciła kompozycje poetyckie o malarstwo Urszuli Rychlińskiej w ten sposób, że czasem obie sztuki stanowią dialog między sobą, czasem tworzą kontrapunkt.

Tytułowy wiersz *Koralowe sny* został wyeksponowany przez redaktora niniejszego tomu Stanisława Nyczaję poza opisany układ i tym właśnie wierszem rozpoczyna się właściwa liryczna opowieść o miłości, przemijaniu i odwiecznym trwaniu w poezji. Ale nie tylko z tego powodu zasługuje na uwagę:

Koralowe sny

Były sny koralowe
i noce bezsenne,
wędrowni do krainy marzeń
po łuku tęczy
w koralowych
zaczarowanych butach,
by łatwiej i szybciej
zmienić sny
w jawę.

Teraz jednak
każdy krok
zamiast przybliżyć
oddala spełnienie.

Jest to wiersz, który niczym klucz otwiera wrota do cierpliwego samopoznawania. Do poszukiwania na kartach tej książki wyjątkowo prostej i uniwersalnej mądrości, często jakby przypadkowo zarysowanej w obrazie poetyckim, wywołanej



od niechęcia w puencie lub zasygnalizowanej w tytule. Wiersz *Koralowe sny* oparty jest o topos drogi, „wędrowni do krainy marzeń / po łuku tęczy / w [...]zaczarowanych butach”, żeby „łatwiej i szybciej / zamienić sny / w jawę”. Czy stanie się tak, że w miarę upływu czasu zaspokoimy swoje pragnienia? Czy może, raczej, uwikłani w życiowe wybory nie osiągniemy pożądanego stanu zadowolenia. Dlaczego poetka puentę tego wiersza opiera na paradoksie? Stwierdzając, że „Teraz jednak / każdy krok / zamiast przybliżyć / oddala spełnienie”, podkreśla raczej swoją dojrzałość i konieczność dystansu do marzeń, rozumianych jako młodzieńcze mrzonki.

A zatem wiersz *Koralowe sny* odczytać można na kilka sposobów: jako przesłanie do czytelników, swoiste *credo* autorki oraz osobisty dziennik senny. Zresztą, wiele poetyckich wyznań – skomponowanych w sposób nienarzucający się ani też nieprzejaskrawiony – może być przypisanych poetce, choć zawsze podkreślam, że autor i podmiot literacki nie są tożsame. Szczególnie tę lirykę osobistą można zauważyć w wierszu *Nie jestem*. Już w pierwszych wersach następuje autoironiczne zanegowanie praktycyzmu, podmiot nie jest typową kobietą, może być muzą, tradycyjnych posiłków przyrządzać nie będzie, a jeśli już – to wiersz poda: „wiosną na śniadanie / kaczeńce, / sandomierskie czereśnie / latem, / jesienią / garść buczyny, / lodowe sople / zimą”. Bardzo to wysmakowana poezja.

Natomiast po analizie wiersza *Być może* skłonimy się raczej do wniosku, że ta poezja jest bardziej dojrzała niż powierzchowna. Jeśli skupimy się tylko na argumentach, a nie na obrazach, nie dostrzeżemy ciekawej konstrukcji wiersza i autoironii, która subtelnie jest wyrażona już w pierwszej zwrotce: „Być może znudziły się tobie / te wszystkie miłe głupstwa, / jakie widzę i opowiadam...”. Nie wiemy, czy adresat tej lirycznej wypowiedzi woli za towarzyszkę życia „niewiastę / mądrą i stateczną”, czy też „zwariowaną poetkę, / której wiosna / z miłością się wciąż kojarzy, / która latem zbiera muszelki, / kasztany jesienią / przynosi do domu”. A jeśli choć przez chwilę zastanawiamy się, my-czytelnicy, czy nie znudziły mu się zbagatelizowane przez samą poetkę opowieści i czy go nadal fascynują, to znaczy, że wiersz nie tylko do czytelników „przemówił”, on jeszcze nas dodatkowo zaciekał.

Poezja, żeby przetrwała w należytym jej randze, wymaga nie tylko słuchacza i czytelnika. Zdaniem Ewy Wojtasik, powinna opromieniać samo życie zanim się jeszcze narodzi w postaci nowych strof. Wszystko może stanowić impuls do jej tworzenia, każdy ciekawy obraz, każde uczucie może być odpowiedzią i zarazem pytaniem, oceną i przyrzeczeniem. Takie bogactwo wrażeń i doznań zawiera monolog pt. *Deszczowy Szczecin*, w którym wątek autobiograficzny podkreślają nazwy własne (geograficzne i imiona), oraz wspomnienia, z których nie wszystkie są przyjemne, skoro autorka zauważa, że w ocenie przyjaciółki-malarki: „za mało piszę, / a te moje wiersze zbyt smutne”. Czym powinna zająć się w najbliższym czasie? Za radą życzliwej duszy stwierdza: „Lepiej żebym pisała / erotyki – / takie pieprzne, pikantne, / jak chili, tabasko, / od których płoną dusza i uszy”. Jednak nawet te najbardziej krytyczne oceny jej nie niepokoją, ponieważ całe doświadczenie literackiego życia zawiera się w atmosferze przyjaźni i zrozumienia. Czytając dalej w cytowanym wierszu, wyczuwamy, jak ważne to dla niej, zauważamy metaforę wyrażoną frazą: „Rozjaśniam się / rozpromieniam od tych wspomnień” – najprostszą metaforę, czyli przeniesienie cech pogody na emocje podmiotu lirycznego. Ale ta prostota, całkiem chytrze zastosowana, umożliwia kondensację obrazu, podkreśla magiczne związki poetki z przyrodą, ponieważ nagle „Deszcz przestaje padać. / Odra świeżo wykąpana/ do snu się cicho układa”.

Na szczęście, autorka, będąc wierna swoim wyobrażeniom o poezji, szuka inspiracji we własnych przeżyciach i uważnej obserwacji codzienności; niekiedy czerpie motywy z pogranicza snu i jawy lub marzeń sennych. Zapewne dlatego w tomie pt. *Koralowe sny* przeważają wiersze o przemianach i miłości, cenną wszakże zaletą tej książki jest różnorodność, gdyż obrazy poetyckie nie powtarzają się, a lektura kolejnych wierszy nie nuży, nawet gdy ich kompozycja z pozoru wydaje się tradycyjna, jak się za chwilę na przykładzie jednego z nich przekonamy.

Wiersz *Płyną stokrotki* posiada typową budowę pieśni z refrenem, który rozpoczyna i kończy ten miłosny monolog. I może nie byłoby w tym wierszu nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że podmiot liryczny nie jest do końca zdefiniowany, i nie jest to bynajmniej błąd. To celowy zabieg artystyczny, w wyniku którego para kochanków może miejscami na zmianę recytować wyznania i to nawet na kilka sposobów, za wyjątkiem zwrotek z wersami określającymi płeć z powodu użycia porównania z mitologicznymi imionami własnymi: „jak Eurydyka / na spotkanie śpieszę” (zwrotka druga) i „Lecz nie odwrócę się jak Orfeusz” (zwrotka trzecia). Jednak w intencji poetki nie jest to zwykła piosenka, jak w przypadku kolejnego utworu *A ja wolalabym...*, w którym pod tytułem jest dopisek w nawiasach (*piosenka*). Aż cztery razy wybrzmiewa melodyjny refren, jaki tworzy fraza: „Płyną stokrotki / słońca lawiną, / ciszą, / jasnością dnia”. Jaką więc rangę przypisać należy powtórzeniom składniowym z przywołanego już wiersza *Płyną stokrotki*, skoro ten zabieg stylistyczny nie służy uzyskaniu prostej rytmizacji? Analizowany utwór jest białym wierszem, ponieważ nie posiada rymów, które wyraziście wiążą wersy; choć ma układ stroficzny, jest wierszem wolnym, gdyż jego budowa nie opiera się na zgodności liczby sylab ani zestrojów akcentowych w wersie.

Dlaczego zatem autorka wprowadza, wydawałoby się, tę niemodną figurę retoryczną, to „ograne” na wszystkie możliwe już sposoby w literaturze powtórzenie (łac. *repetitio*)? Celem podkreślenia znaczenia i jeszcze po to, by zwiększyć ekspresję. Wielokrotne użycie tego samego układu wersów ma wywołać w czytelniku poczucie szczęśliwości (proszę nie mylić z pojęciem szczęścia), takiej samej błogości, którą odczuwają zakochani (w sensie zauroczeni). Ma wprowadzić

na samym początku i utrwalić w trakcie recytacji nieziemski idylliczny spokój sprzyjający miłości. Ten malowniczy obraz sielanki uzyskuje poetka poprzez dwie bardzo celne metafory: przeniesienie dynamicznej cechy (atrybutu) rzeki: „płyną stokrotki” i zastosowanie oksymoronu (sprzecznego epitetu, najprostszej formy paradoksu): „słońca lawiną”. Jednak nie w pełni zrozumie się wymowę tej miłosnej pieśni, jeśli nie pochyli się głowy w pokorze nad samym drobnym kwieciem przywoływanej wielokrotnie stokrotki. Interesujące jest także spostrzeżenie, na ile świadomie, a na ile podświadomie dociera do czytelników jej znaczenie symboliczne, gdyż kwiat ten symbolizuje niewinność, szczerą miłość i bezgraniczne oddanie, do tego stopnia, że chrześcijanie nazywają stokrotkę kwiatem Marii Dziewicy.

Mimo używania tak powszechnej symboliki, w poezji Ewy Wojtasik banału nie ma. Gorzko brzmią słowa z wiersza *Nie mów mi prawdy*, prawie złowieszczo, ponieważ prawda domaga się weryfikacji, a podmiot literacki może nie być na konfrontację gotowy, gdyż zauważa: „Nie mów prawdy, / mogę w nią uwierzyć”. Wbrew

pozorom czasem lżej na duszy, gdy jak pewnik milcząco przyjmuje się mniejsze zło, a próbuje półprawdy, ale takie konformistyczne założenie autorka krytykuje, zarówno poprzez zastosowanie paradoksu, jak i autoironii stwierdzając: „niedomówienia brzmią tak szczerze, / nagość okryta. / A jutro / listek figowy może być / za mały”.

Poetka we wstępie do omawianej książki wyznaje, jak pojawiła się nazwa tego tomu, zawierającego wybór wierszy z lat: 2007–2015: „chodził za mną ten tytuł, który kiedyś mi się przyśnił”. Sama jednak nie może, jak postać z tytułowego wiersza, chodzić po łuku tęczy w zaczarowanych butach, żeby „łatwiej i szybciej / zamienić sny / w jawę” i treści życia wypełniać marzeniami. Jednak – przy pomocy słów o dużej mocy oddziaływania – swoją poezją oczarować potrafi niejednego czytelnika.

Magdalena Węgrzynowicz-Plichta

Ewa Maria Wojtasik, *Koralowe sny*, malarstwo Urszuli Rychlińskiej, Kielce 2015, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 90.



Na promocji tomu w szczecińskiej Miejskiej Bibliotece Publicznej 6 sierpnia br. Od lewej: wokalistka Alicja Czarnuszka, Stanisław Nyczaj, Ewa Wojtasik
Fot. Irena Nyczaj

Anastylozy

kiedy piszę wznoszę pomnik ze spiżu
ale nie taki jakby chciał żeby był Horacy

moje a n a s t y l o z y to rozbite dzbany pamięci
to nowożytny kanopy bez mózgu i trzewi

kiedy wznoszę pomnik uderzając w bęben
ergonomicznej klawiatury z polskim alfabetem

moje synapsy z częstotliwością wprost żadnym
herosom niewyobrażalną przeczesują pliki danych

odrzucają zbyteczne epitety tną frazy kotwiczą
wyrzutnię moje anastylozy to szkielety wierszy

co jak charty na polowaniu na skróty dążą do pointy
która mi zapewni wiekopomne *non omnis moriar*^{*)}

^{*)} Horacy, *Pieśni III*, 30, 6

Widze(nie)

Marzenie Dąbrowie Szatko

nocą mój spokojny oddech łagodnie
współbrzmi z falowaniem muślinowej
żółto-pomarańczowej firanki na wietrze

gdy po północy zimne światło (księżycyca
w kwadrze) ślizgając się po gładkich ścianach
zagląda przez mansardowe okno leśniczówki

przekręcam się na bok twarzą do tego
lunatycznego metalicznego odbłasku i wtedy
w jego poświacie widzę kota siedzącego

na mojej kołdrze nie jeden raz nie dwa
(zawsze noc w noc) i nie wiem już kiedy
śnię a kiedy nie – zawsze ten sam

kot-zjawa (zjawa-kot) wytwornie siedzący
(jakby rzymska figura z terakoty) uśmiecha się
do mnie tajemniczo i mruży sennie –



śpij bezpiecznie – jestem na straży
(ja podświadomość twoja – jam tu jest)
tu i teraz (i w zaświatach) -stem

Trywialne i zbawienne

może i bez znaczenia to dzisiejsze
zajście najście zamierzenie czy zderzenie
newsem na ekranie tv nie zabłyśnie
ani tysięcy lajków na fb nie zbierze

wbrew logice jako zjawisko przypadkowe
(po)zostawi jednak jakieś skutki po sobie
na tablicie zawiśnie w czasie dokonanym
zawiścią zazdrością niechęcią lub złością (?)

owa uliczna historia pospolita jak tysiące
małomiasteczkowych skwerów rynków
w kostium fabułę ubrana już nie ustna
babci dziada podlotka plotka zasmarkana

dla potomnych niebawem się stanie
świadectwem przyczynkiem dziejowym
wymkiem (pra)przyczyną niejednego
nagłego acz pośmiertnego sukcesu

sięgnąwszy po nią do videoteki
badacz ujrzy świat niedaleki mentalnie
choć odległy w czasie jakby wprost
z wykopalisk wysypałby mu się pod nogi

nie(ślepy) Homer z koniem trojańskim
i zuchów walecznych drużyną ale drony
szwadrony hamery

Bez-miary

Wygoda –

niektórych ludzi jest zatrwazająca – luksus wybranych –
powołujących się na tradycję woła o pomstę do Boga

lichwiarska mentalność światowy tryumf święci
choć monety brzęczą tylko w sejfie niepamięci

powitanie – nierozważnie podaj palec serdeczny
[pomocnej dłoni –
bez ręki zaraz zostaniesz kaleką życzliwości – wiecznie
[zagoniony

Dostatek –

ród zamożny – hojny mentor – od kołyski mamka
[z wiekiem leciwa –
z guwernantką z ojcem chrzestnym przedsiębiorcza
[rodzina

wstrzeźliwość – tylko gdy jest w modzie –
[ekscentryczności zalew –
głodówka – zalecenie medyczne – zioła lecznicze –
[kwiaty w ogrodzie

o wygodę i dostatek wymachując pięścią czasem
[modlą się narody
całe i tylko mnisi w ciszy o łaskę proszą – miseczkę
[manny z nieba

i doświadczanie powszedniego chleba

Odrętwienie

nie musisz nimi jawnie pogardzać
żeby poznali iż są niższego stanu

wystarczy że zamkniesz się
w twierdzy własnych przekonań

do domu wpuścisz czasem przez
okno tylko rześkie poranne powietrze

ukradkiem sprzed progu zabierzesz
w porze lanczu zamówione zakupy

wymiana zdawkowych wrażeń przez
net nie zabije zapachu stęchlizny

choć serce ci mocno bije i z pres-ją
z orzeczoną depre- nudno tak smutno

tak nudno i smutno i bez nadziei na jutro
i ten ostry przed samotną śmiercią lęk

i niech do ciebie dotrze wreszcie
ja - cho- - kur - mać - opamiętaj się

mój Boże – aż słów mi brak
ty już od dawna jesteś martwy

jak ta okienna rama i na wietrze
tańcząca biała Iniana firana

Muzeum codzienności

w tym zakamarku wiedzy wszystko jest nietypowe –
im powszedniejsze zwyczajnie nudne w bezdenną
rutynę zapadnięte że takie wygodne i patyną pokryte

tym bardziej wartościowe im więcej myślą trącą
reanimowane osygnowane antyklejnoty swojej epoki
tym oryginalniejsze wydają się przyszłym pokoleniom

okazowe egzemplarze w katalogu
[wystawienniczym –
porcelanowy Czajnik bez pokrywy gliniany Dzban
[bez ucha
plastikowa Klamra bez paska mosiężne Okucia
[bez skrzyni

w dziale kultury żywe wybrakowane eksponaty
[zamknięte
w gablocie sprytnie udają całość Filizanka bez
[spodeczka
Igła bez naparstka Obsadka bez stalówki Rama
[bez obrazu

w dziale dokumentalnym blednące z przejęcia
[Fotografie
Dagerotypy Filmy i Pocztówki z zakapturzonymi
zakonnikami w Habitach z pielęgniarzkami w białych

Czepakach z trudem opierają się podstępny ciosom
przemijania – ledwo zipie Czarno na Białym utrwalona
młodość naszej ery od prawie dwustu lat sprzed
[Internetu

Wiersze z nowo wydanego tomu *Artefakty*

Istnieje ciągle potrzeba pisania o tamtych tragicznych latach

Wciąż wracamy do problematyki II wojny światowej, a zwłaszcza do tragedii wrześniowej, do naszej heroicznej walki obronnej w 1939 roku i rozmiaru klęski. Wciąż myślimy o tym, jak nasz naród podniósł się z kolan i mimo ogromnych strat ocalał. Zadajemy też sobie pytanie, jak w czasie tak długo trwającej okupacji mogła się obronić miłość, jak w ogóle mogła zaprzętać serca i umysły ludzi zmagających się co dnia o elementarne przetrwanie.

To wszystko w jakiejś części zawiera powieść Jana Chruślińskiego *Wojna i miłość* oparta na autentycznych wydarzeniach, nagrodzona w II Konkursie Literackim im. Stefana Żeromskiego. Narracja powieściowa skupia się wokół losów dwojga młodych bohaterów – Michała i Meli. Punktem wyjścia są wydarzenia niemal z przedednia wojny. Świeżo upieczeni maturzyści snują ambitne plany o dalszym życiu. Jeszcze nie wiedzą, że wkrótce ich marzenia rozpadną się w gruzy, a im samym przyjdzie się rozstać (myślę tu o wymienionych głównych bohaterach) i że to pierwsze wzajemne sobą zauroczenie, tę pierwszą miłość, tak subtelna, a jakże mocną przechowają już tylko we wspomnieniach. Wojna z całym swoim okrucieństwem nie tylko zabierze im najlepsze lata, odcisnie trwałe piętno na ich psychice, ale oddali od siebie w zasadzie na całe życie, bo chociaż spotkają się po przeszło pięćdziesięciu latach, to przecież każde z nich ma już swoje życie za sobą. To piękne i budujące, że tę swoją pierwszą miłość zachowali w sercach i że los pozwolił im chociaż tak późno powrócić do siebie. O takich dramatycznych, wręcz niezwykłych ludzkich losach mówi się czę-

sto, że zdarzają się tylko w powieściach. A przecież to wszystko, o czym pisze autor, miało miejsce naprawdę.

Śledząc losy wojennych bohaterów utożsamiamy ich z pokoleniem Kolumbów, podziwiamy odwagę, bohaterstwo i patriotyzm. Los Michała spleciony jest ściśle z dziejami 19 Pułku Ułanów Wołyńskich, a więc tych żołnierzy, którzy we wrześniu wsławili się pod Mokłą stawiając czoła hitlerowskiej machinie. Wielu z nich, tak jak i bohater powieści, nie zaprzestało dalszej walki i w szeregach Armii Krajowej dalej służyło ojczyźnie, nie szczędząc życia. Podobnie i Mela, jako jedna z tak wielu młodych bohaterskich dziewczyn, uznała, że musi przeciwstawić się okupantowi, nie bacząc na konsekwencje takiej decyzji.

Wojna i miłość to nie tylko wzruszająca opowieść o ludzkich losach rzuconych w wir wojny, to przecież jakże doniosła część naszej narodowej historii. Podzielim w pełni słowa autora książki mówiące o tym, że chociaż od czasu II wojny światowej minęło aż kilkadziesiąt lat, to istnieje ciągle potrzeba pisania o tamtych trudnych i tragicznych czasach po to, by bohaterstwo Polek i Polaków ocalić od zapomnienia.

Jan Chruśliński, *Miłość i wojna*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2015, s. 439. Książkę spopularyzował m.in. ciekawy reportaż telewizyjny osnuty na losach głównych bohaterów, dopowiedzianych ustami pary sędziwych już pensjonariuszy (stanowiącej pierwotny wzór) z Domu Spokojnej Starości. Reportaż ten został przypomniany podczas Święta Książki w Łubnicach w ramach Świętokrzyskiej Jesieni Literackiej 18 października br.



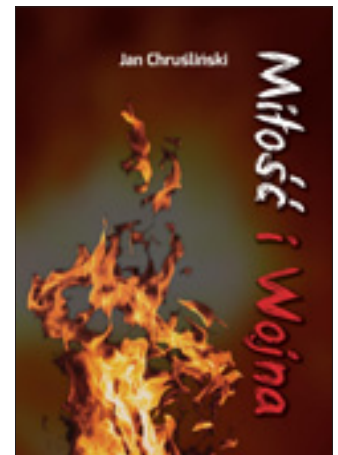
Ze Święta Książki w Gminie Łubnice

Dyrektor Centrum Kultury Aleksandra Stachniak wita świętokrzyskich literatów

Irena Paździerz na spotkaniu autorskim
w Szkole Podstawowej w Budziskach



Jan Chruśliński wy-
stępuje w łubnickim
Centrum Kultury



Stanisław Nyczaj w Szkole Podstawowej
w Gacach Słupieckich



Fot. Aneta Śmiszek

Ty i ja

Jestem morską pianą
unoszę się na falach

ty stoisz na brzegu
stopy ugrzęzły ci w piasku

przyplływam do ciebie
i natychmiast się oddalam

raz jestem zwinna i lekka
a raz wzburzona i groźna

urzeczony moim pięknem
stoisz jak wryty

Aż do horyzontu

Garną się morskie fale
widać zatęskniły za mną
niewdzięczną zawsze oddaloną

podpływają blisko
łaszą się do stóp
i unoszą do kolan

czekam aż obejmą mnie całą
popłynę ufna i posłuszna
aż do horyzontu

Chwila z mewą

Skrzeczy głodna mewa
że tylko na nią patrzę

czym ją nakarmię
gdy dla siebie nic nie mam

moja skarga jest cicha
nie woła o litość

a tęsknota choć boli
gorzka jest i głucha

mewa nie rezygnuje
muszę zebrać się w sobie

jeśli jej nie pomogę
pozostanę winna

wyciągam więc dłoń ku niej
z okruszyną nadziei

Klaustrofobia

Na planecie Ziemia
coraz ciaśniej
horyzont zamiast się oddalać
zamyka swój krąg
a niebo nawet to z gwiazdami
pierścieniem się zaciska

bielą ścian wiruje pokój
kosmiczna klatka
w pułapce galaktyk

Stromizny gór

Te kuszące stromizny gór
otwarły dziś przede mną
cały sezam swojego piękna

zwabiona ich milczącym śpiewem
pnę się coraz wyżej i wyżej
jak w amoku niestrudzonym

uginają się moje kolana
czyżby chciały przyklęknąć
na maleńką chwilę zachwytu

a stromizny gór uparte
wciąż nowe kłody rzucają
pod obolałe stopy

jeszcze nie wiedzą
że stały się wyzwaniem
i że nie spuszczę ich z oka

a gdy dobrnę do szczytu
spojrzę na nie z góry
jak zdobywca

Z pokłosa II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego

Wyróżnienie

Pelagia Borowska

Pierwszy śnieg

I co mi z tego, że „Śrubokręt” poniósł sromotną klęskę? Afera oparła się o dyrektorkę szkoły, a że jest to kobieta z charakterem, nie zamiotła sprawy pod dywan, lecz załatwiła szybko i definitywnie. Okazało się bowiem, że po szkole od dawna chodziły słuchy o napastowaniu uczennic przez „Śrubokręta”, lecz dopiero moja rodzina zrobiła wokół tego należyty szum. A ja, oczywiście, nic o krążących plotkach nie wiedziałam. Muszę się uważniej rozglądać wokół siebie i wyłapywać wszelkie informacje krążące po szkole. Nie wiem, skąd inni wszystko wiedzą? Pewnie od jakiegoś wścibskiego ucznia (a jeszcze prędzej uczennicy), co właśnie niepostrzeżenie wyrasta na wybitny talent w dziedzinie kryminalistyki lub dziennikarstwa śledczego. Całkiem możliwe, że jest to nasza Zośka. To od niej dowiedziałam się, że dyrektorka postawiła „Śrubokrętowi” ultimatum: albo on się wynosi ze szkoły, albo ona nadaje sprawie bieg urzędowy – policja, prokurator itd. Wybrał „dobrowolne poddanie się karze”. Podobno poszedł na urlop zdrowotny, na co dyrektorka przystała pod warunkiem, że więcej do szkoły nie wróci. Ulitowała się nad nim tylko dlatego, że ma na utrzymaniu dziecko i żonę w ciąży. Ciekawe, czy na tym zdrowotnym urlopie będzie się leczył z kompleksu Casanovy, czy też z oka podbitego malowniczo przez naszego organistę?

Ale co mnie to wszystko teraz obchodzi?

Rafał mnie zdradził!

Obrzydliwie, perfidnie, bezczelnie i po świńsku. Już nie wiem, jakich słów mam użyć i jaką zemstę obmyślić. Trochę to sama jestem sobie winna, bo mogłam lepiej go pilnować. Po to przecież wybrałam tę właśnie szkołę, aby mieć go na oku. Widocznie chłopaka nie wystarczy pilnować, trzeba go jeszcze omotać, uwieść i okręcić wokół palca. Myślałam, że jak już mnie kilka razy pocałował, to świata poza mną nie widzi. Akurat! Widzi, widzi! A zwłaszcza tę żeńską połowę świata.

Kilka razy mnie nawet tknęło: czemu to Piotrek ze mną biega niczym wierny pies, a nie on? I Piotrek wali w pysk wymoczka za moją krzywdę, a „Śrubokręta” z kolei wali Borys, po którym wcale bym się tak walecznego charakteru nie spodziewała. Ale to były takie sobie lekkie piknięcia, żadne tam czerwone światełko, a miłość – jak wiadomo – wszystko wybaczy i we wszystkim pokłada nadzieję.

Na własne oczy zobaczyłam, jak się obściskował z taką jedną Sandrą z jego klasy. Weszłam niespodziewanie na świetlicę i nakryłam ich na gorącym uczynku. Dobrze przynajmniej, że mnie nie zauważyli! Bo przecież na mojej twarzy na pewno wypisane były wszystkie uczucia, które w tym momencie szarpnęły moim organizmem. I do zazdrości, rozpaczy, wściekłości oraz kilku innych, nie do końca uświadomionych, emocji doszedłby jeszcze wstyd. Ścisłej biorąc, to ja ten wstyd jak najbardziej poczułam, ale siedział we mnie głęboko i całe szczęście, bo co innego jest wstyd ukryty przed światem, a co innego wystawiony na widok publiczny.

Kiedy coś mną tak wstrząśnie potężnie, mam tylko dwa wyjścia: biegać albo grać. Wobec późnej pory bieganie odpadało, na pianinie też nie mogłam pograć, bo jedyny instrument stał w tejże świetlicy, w której Rafał dopuszczał się wiarołomstwa z jakąś pierwszą lepszą laską z jego klasy. Nie pozostało mi nic innego, jak wyciągnąć gitarę i udać się do lamusa na strychu, czyli do „karceru”.

Bardzo przydatny ten schowek – coś w rodzaju eremu. Można tam posiedzieć i pozbierać myśli, tam się ukrywają zakochani, kiedy chcą zejść ludziom z oczu, jest to również idealne miejsce na poważne zakuwanie przed klasówkami. Strychy są na świecie potrzebne. Jakby to wyglądało, gdyby wszystko zostało uporządkowane, wyglansowane na wysoki połysk i po gospodarsku wykorzystane?

– Idę do „karceru” – poinformowałam dziewczyny. – Trochę sobie pogram.

– A nie mogłabyś tutaj pograć? – spytała Iza, a Sylwia ją poparła.

– No właśnie! Zawsze się gdzieś chowasz. I tak nie mamy nic do roboty.

– Eee... Takie tam granie! Uszy wam powiędną.

– Nie przesadzaj! Słyszałyśmy. No, chyba że nas olewasz...

– No co ty!..

Zostałam więc w pokoju, choć moje serce było popękane na drobne kawałki, a łzy z trudem trzymały się tuż pod powierzchnią powiek. W „karczerze” mogłabym sobie popłakać swobodnie i na pewno wyszłoby mi to na zdrowie. Ale cóż – nie mogłam dziewczyn tak po prostu zlekceważyć. One są bardzo w porządku. Nawet jak mi się parę łez wymknie spod kontroli, to na pewno zrozumieją.

Pewnie by zrozumiały. Tylko że nie zdążyłam się jeszcze na dobre rozegrać i rozśpiewać, gdy do naszego pokoju zaczęła napływać młodzież płci obojga i po cichutku sadowić się gdzie popadnie. No i nici wyszły z ewentualnych łez. Mówiąc szczerze, to nawet mi się płakać odechciało, bo całą uwagę skupiałam na instrumencie – żeby nie pomylić akordów.

Za wiele to ja tych akordów nie znałam, rychło mi się repertuar wyczerpał, ale nikt nie miał ochoty wracać do swojego pokoju. Gitarę przejął ode mnie Cyprian z trzeciej klasy, długowłosey chłopak o latynoskiej urodzie. Muzykę też latynoską uprawiał, zrobiło się więc bardzo biesiadnie, a za oknem właśnie zaczął padać śnieg.

I nagle taki smutek mnie dopadł, że wyci mi się zachciało i gdybym była u siebie na wsi, to pewnie bym zawyła pełną piersią, bo u siebie człowiek może robić co mu się podoba. Pobiegłabym przez las do źródelka, usiadła na kamieniu i wyła, ile dusza zapragnie. A tutaj... No nic, no nic. To zaraz minie, wszystko mija, to i ten nagły smutek rozpułynie się w powietrzu i zniknie. Śnieg pokryje go ciszą, jak pokrywa wszystko, co na drodze napotka. Świat będzie taki czyściutki, taki nowy, jakby dopiero co przez Pana Boga zrobiony, nieskalany ludzką stopą, a tym bardziej plugawymi uczynkami.

Cyprian, jakby na zawołanie, zaśpiewał starą piosenkę o padającym śniegu. Kiedyś, w czasach młodości mojej babci, był to wielki przebój włoskiego piosenkarza Salvatore Adamo. A że prawdziwie wielkie przeboje nie starzeją się nigdy, to i ta śnieżna piosenka zabrzmiała z całą siłą swej tęsknoty.

„Tyle nocy przeszło, odkąd ciebie nie ma,
twoja nieobecność gwiazdy strąca z nieba”.

No jak tu się nie rozpłakać! Tyle nocy! Ile? Ile ich musi być? Ile śniegów musi napadać i stop-

nieć, aby przykryć należycie ten ból, co dopiero się zaczął? Jeszcze ani jedna noc bez Rafała nie przeszła, a już tęsknota zadomowiona na dobre, już się rządzi w moim sercu, czy tam w głowie, czy jeszcze gdzie indziej. Wszędzie.

A kilka łez załśniło nie tylko w moich oczach. Widziałam je u Izy (matematyczki też płaczą!) i jeszcze u dwóch albo trzech dziewczyn i zaraz mi się różniej zrobiło i przypomniał mi się rosyjski romans (też stary) o sercu na śniegu. Borys mnie go kiedyś nauczył.

– Można? – sięgnęłam po gitarę, gdy przebrzmiały ostatnie akordy niegdysiejszego przeboju sławnego Włocha.

– Tak, tak! – Cyprian jakby się zawstydził, że tak długo miał moją gitarę we władaniu.

Brzęknęłam kilka razy – czy jeszcze coś pamiętałam z tej piosenki. Pamiętałam, a jak już się zacznie, to dalej jakoś pójdzie. Okazało się, że kilka osób zna ten romans, mimo że taki stary i refren – „Ty moich sań śledzisz bieg, rzucasz serce na śnieg...” itd. – śpiewaliśmy wszyscy. Całkiem fajnie nam wychodziło. Tylko jakiś debil rozparty na moim łóżku wyjął nagle skręta i zapalił. To tak, jakby ktoś zrobił komuś kupę na wycieraczkę. Zamilkła gitara, zamilkł śpiew, gdyby śnieg za oknem wydawał jakiś dźwięk, to też by zamilkł, a że śnieg, jak wiadomo, pada bezszelestnie, to nic nie mąciło tej ciszy pełnej oburzenia. Ludzie poodsuwali się od narkomana, ale on kompletnie nie zajarzył o co chodzi, więc go Cyprian ponaglił:

– No już, już! Na co czekasz? Spadaj, buroku!

Na szczęście, nie trzeba mu było dwa razy powtarzać, wyniósł się razem z tym swoim śmierdzącym skrętem, a przez otwarte okno wpadło świeże powietrze i przepędziło smród na dobre. Lekko licząc, było w naszym pokoju z dziesięć osób, a tylko jeden narkoman, więc statystycznie wcale nie wypadło tak źle. A mówią, że młodzież nagminnie zażywa narkotyki. Wcale nieprawda!

Razem z powietrzem wpadło przez okno kilka śniegowych płatków. Właściwie to nawet sporo ich wleciało – takich dużych, puszystych, jakby ktoś pierzynę rozerwał i rozsypał na wietrze. Więc podjęliśmy na nowo rosyjski romans o gorącym sercu na śniegu. I wtedy – a niech go lawina przysypie! – wparował do naszego pokoju Rafał wraz z tą swoją lafiryndą, którą przed chwilą obłapiał cichcem na świetlicy. Piosenka już dobrzmiewała, już wszyscy bez wyjątku śpie-

wali refren, bo zdążyli się nauczyć, tylko Rafał z tą wstrętną małpą żadnego dźwięku z siebie nie wydali. Na dodatek on – jakby nigdy nic – podszedł do mnie i cmoknął mnie w policzek. Tylko dlatego nie trzasnęłam go gitarą po łbie, że mnie zamurowało. Odsunęłam się i skrzywiłam, jakby mnie właśnie żaba polizała i to taka, co się w księcia nie zamienia.

Co za bezczelność! Co za prostackie maniery! Przecież on wiedział, do czyjego pokoju wchodzi i przynajmniej domyślał się, kto za tymi drzwiami może śpiewać, dzierżąc w rękach dobrze znaną mu gitarę. To już naprawdę nic nie znaczyło te kilka pocałunków? Może on harem będzie zakładał – mormon jakiś! Albo taki jest nowoczesny i wyluzowany, że gdzie się obróci, tam laski wyrywa? Żeby mieć całą kolekcję.

Ale sobie znalazłam absztyfikanta!

– Koniec pieśni! – oznajmiłam, gdy piosenka dobrzmiała do ostatniej nuty.

– Neeee! – rozległo się jednogłośnie.

– No dobra! – ustąpiłam. I podałam gitarę Cyprianowi. – Maestro, please!

Pomiędzy ludźmi, którzy w jakiś sposób zajmują się muzyką, istnieje szczególny rodzaj porozumienia. Od razu się zaprzyjaźniają, co jest tym łatwiejsze, że nie potrzebują słów. Słowa mogą dużo popsuć. Mam, oczywiście, na myśli zwykłych ludzi, nie żadnych celebrytów, którzy są o krok od wielkiej kariery. Tam, gdzie w grę wchodzi kariera, nie ma miejsca na przyjazne uczucia. Tak mi się przynajmniej wydaje. Mniejsza

z tym. Ja do Cypriana poczułam natychmiastową sympatię i jestem pewna, że wzajemną. To było widać. Patrząc z boku można by pomyśleć, że znamy się od Bóg wie jak dawna, a my tak naprawdę spotkaliśmy się pierwszy raz w życiu. Owszem, znałam go z widzenia, bo trudno było nie zauważyć w tłumie faceta o tak filmowej urodzie, ale on na pewno mnie nie kojarzył. A co tam! Rafał bez wątpienia pomyślał, że łączy nas ścisła komitywa. I dobrze. Niech sobie gówniarz nie wyobraża, że na nim się świat kończy, a ja bez niego uschnę, zestarzeję się, pomarszczę, oczy wypłaczę i do klasztoru wstąpię. A jeszcze czego!

„Tego kwiatu jest pół świata” – mówiła moja babcia. I jeszcze mówiła, że pierwsza miłość jest jak pierwszy śnieg. Długo nie poleży. A babcia przeważnie ma rację. Pierwszy śnieg właśnie zaczął padać, zobaczymy dokąd się utrzyma. I dokąd ten zdradliwy Rafał będzie tkwił we mnie niczym drzazga za paznokciem? Swoje odpłakać muszę. Wiem. Nie ma tak dobrze, żeby się obeszło bez choćby kilku łez. Ale może nie będzie tak źle... Pierwsza noc już mija. To i następne miną. I tak powoli, powoli ułoży się wszystko, ucichnie, zajmie swoje miejsce w składzie pamięci, bo nie wierzę, abym całkiem zapomniała. Wystarczy, że pamięć przestanie boleć.

Pelagia Borowska

Fragment z przygotowywanej do druku powieści dla młodzieży *Źródło Biruty*.

Z antologii WJP *I to jest nasze życie*

Benedykt Kozieł

Stare domy

Znamy te domy
nazbyt oddalone
od każdej drogi
ominięte skrótami
ścieżką do rzeki
co się nie powtórzy

schowane w drzewach
uszkodzonych dachach
wyobrażonych

skarbach swoich strychów
za tajemnicą
gubionych pokoleń

są w nas jak ludzie
co już nie wychodzą
przed dom przed furtkę
co nie stoją w oknach
i tylko pamięć
jeszcze ich gromadzi

znamy te domy
jakbyśmy z nich wyszli
wspomnieli siebie
objęli spojrzeniem
horyzont ciszy
brzezi zrozumienia

Swietłana Aleksijewicz na Festiwalu Conrada w Krakowie

Niespełna tydzień po otrzymaniu Literackiej Nagrody Nobla białoruska dziennikarka Swietłana Aleksijewicz spotkała się z krakowską publicznością w Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przywitały ją tłumy, w zdecydowanej przewadze, młodych ludzi. Skromna w wizerunku, obyciu, nie ukrywała przemęczenia.

Na pierwsze pytanie, czy otrzymanie Nagrody Nobla jest dla niej szczęściem, czy może czymś więcej, odpowiedziała: „Jeszcze nie wiem, nie wiem co to oznacza. Jestem taka sama. Szalone dni, szalone; a przede wszystkim to szczęście wymaga bardzo dużo sił” – podkreśliła z uśmiechem.

Po pięciu książkach o człowieku sowieckim, Aleksijewicz pisze teraz dwie książki: o miłości i starości. Miłości, trudnej do zdefiniowania i starości, która jest nieuchronna. „Bo tak naprawdę – mówiła – nasze życie kręci się wokół dwóch spraw: miłości i śmierci. Reszta to banał”.

Zwróciła się do młodych na widowni i powiedziała, że mają dużo czasu na miłość, ale nie powinni się spieszyć, bo – podkreśliła – „warto żyć powoli, warto żyć ze smakiem”.

Co sprawia, że nie udaje się nam być szczęśliwymi? – to pytanie nieustannie nurtuje dziennikarkę i stara się wniknąć w tę kwestię w powstającej aktualnie książce. Pytana, czym jest dla niej miłość, odparła, że wymyka się ona wszelkim definicjom. „W miłości są momenty, gdy czujemy, jakbyśmy rozmawiali z niebem czy gwiazdami. Ale życie jest tak urządzone, że ten stan powoli zanika” – zauważyła pisarka.

Nawiązując z kolei do książki o starości powiedziała, że postępowanie dał ludzkości średnio 20-30 dodatkowych lat życia, ale nie stworzyliśmy jeszcze filozofii starości. Nie wiemy, co z nią robić. „Jedna z moich bohaterów zwierza się, że to najciekawszy moment w jej życiu; a inny mężczyzna, że czuje się wreszcie wolny, bo nie musi uganiać za spódniczkami. A jednocześnie wiemy, że samo odchodzenie jest czymś smutnym” – dodała.

Ujawniła sposób docierania do drugiego człowieka, zdradziła klucz porozumienia się z nim, by w swej wypowiedzi był autentyczny, szczerzy, nie bał się prawdy. „Przychodzę do człowieka nie jako pisarz, ale jako człowiek – podkreślała –

i wtedy następuje swoiste porozumienie, ludzie zaczynają mówić”.

„Na początku – uzupełniła wypowiedź – trzeba się przedrzeć przez warstwę banałów, aby dotrzeć do sedna, aby mówić o tym, czego nie należy mówić”. Zaznaczyła, że w Rosji ludzie dalej są zastraszeni, boją się mówić prawdę. „Ludzie chcą rozmawiać, potrzebują pocieszenia i kiedy zyskasz zaufanie, zawierają ci zupełnie i opowiadają swoje historie, odkrywają swoje porażki, pragnienia, niezrozumienia” – dodała. „Trzeba kochać człowieka – podkreślała – chociaż jest bardzo różny i być wobec niego uczciwym. Z takich rozmów składają się właśnie moje książki”.

Dodała jeszcze, że podobnie jak wcześniej – w przypadku nowych książek – chce pozostać wierna swojej metodzie wielogłosowości (polifonii), a własny odautorski komentarz ograniczyć do minimum. „Słucham ludzi, a z fragmentów ich opowieści, jak z kawałków, układam swoje książki jak witraże czy symfonie” – wyjaśniła.

Aleksijewicz w swoich wypowiedziach skrytykowała aktualną sytuację polityczną w Rosji i na Białorusi. Putin – powiedziała noblistka – nacisnął na najbardziej prymitywne guziki. Zawołał do Rosjan zmagających się z ubóstwem: „Wstańmy z kolan, potrzebujemy armii, żeby odbudować imperium”. Noblistka mówiła dużo o śladach ZSRR tkwiących w mentalności Rosjan i Białorusinów. Przyznała, że ona, jak i wielu współczesnych intelektualistów krajów postsowieckich spodziewała się, iż wraz z upadkiem komunizmu nadejdzie wolność. „Tymczasem okazało się, że my, intelektualiści, siedzący i rozprawiający w kuchniach, nie rozumieliśmy zwykłych ludzi. Czym była dla nich wolność? Czy nie oznaczała po prostu tego, żeby lepiej żyć, kupić kiełbasę, maszynkę do mięsa, samochód? [...] Dziś inteligenci rosyjscy są zagubieni, bezsilni – naród ich nie słucha. Ponieśliśmy porażkę” – stwierdziła. Jej zdaniem, w Rosji „głowę podnosi nacjonalizm” i tęsknoty imperialne, a jeśli pogorszy się sytuacja gospodarcza, może się to tylko wzmocnić. Putin ma poparcie większości społeczeństwa.

Pisarka sama siebie uważa za socjaldemokratkę. Nie ukrywała, że została wychowana

w atmosferze komunizmu. Jej ojciec kazał sobie włożyć do trumny legitymację partyjną. Był do końca wierzącym komunistą. Odradzający się w Rosji nacjonalizm nie wróży niczego dobrego. „Zmierzamy w mroczne czasy. W Rosji znów do głosu dochodzą najciemniejsze i najbardziej prymitywne siły” – mówiła. Nawiązała do swojej książki *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka*, gdzie opisała zjawisko zwane „homo sovieticus”. Usprawiedliwiła się, że nie lubi tego określenia, gdyż, jej zdaniem, jest pogardliwe, ale przecież „ja też jestem stamtąd” – dodała. Według niej, ludziom w Rosji żyje się dziś o wiele gorzej niż kiedyś, niż „za komuny. [...] Wtedy był duch równości. Była wspólnota w biedzie. A dziś jest taki czas pomiędzy. Ludzie są zmęczeni i nafaszerowani propagandą”. Socjalizm – stwierdziła – pasuje do rosyjskiej mentalności. „Rosjanin to taki człowiek, któremu bardziej, niż na własnym bogactwie, zależy na tym, żeby sąsiad nie był bogaty”. Noblistka opowiadając o swoich spotkaniach z ludźmi spostrzegła, że kiedy rozmawia z nimi o Bogu, o duszy, to jest pięknie i romantycznie. A gdy zaczyna się mówić o Putinie, ludzie zaczynają powtarzać to, co usłyszeli w telewizji. I jedno z drugim się nie klei. „Zła – powiedziała – nie sposób pojąć”.

Gdy zapytano, dlaczego na Białorusi nie ma opozycji wobec prezydenta Aleksandra Łukaszenki, pisarka odparła, że wynika to m.in. z charakteru Białorusinów. „Białorusini są bardzo ostrożnym narodem rolników. Nie chcą wojny, a w dodatku po ostatnich wydarzeniach na Ukrainie boją się, aby u nich nie doszło do czegoś w rodzaju kijowskiego Majdanu. Myślą sobie: będziemy tak sobie jakoś powolutku, po cichu żyć”. Według niej, Łukaszenka jest całkowicie zależny od Putina, gdyż boi się, że ten ostatni „wyniszczy” Białoruś, zakręcając kurki z gazem i ropą naftową. Aleksijewicz stwierdziła, że Rosjanom brak duchowości.

Na pytanie, jak przyjęto jej nagrodę na Białorusi i w Rosji, odpowiedziała: „Zwykli ludzie, Białorusini, nie kryli radości, cieszyli się, nawet płakali ze szczęścia. To było wzruszające. Ta moja nagroda ma dla nich symboliczne znaczenie”. Prezydent Łukaszenka złożył jej gratulacje dopiero po prezydencie Niemiec i Gorbaczowie. „Putin moją nagrodę przemilczał” – dodała.

Swietłana Aleksijewicz nie jest w Rosji drukowana. Jej książki są zakazane. Nie rozmawia się o nich. „Komsomolskaja Prawda” napisała,

że „Nagroda Nobla powędrowała do naszego wroga”. Przed prezydenturą Putina i Łukaszenki jej książki były w programach szkolnych. W czasie ich rządów (od 1994 roku na Białorusi, od 2000 w Rosji) zostały wycofane z podręczników. Dopiero teraz, po otrzymaniu Nagrody Nobla, Łukaszenka przywrócił je do szkół.

Noblistka mówiła też w czasie spotkania o pracy reporterskiej. Podkreśliła, że największe znaczenie ma tutaj uczciwość, umiejętność słuchania, empatia. Jej zdaniem, dobry pisarz, reporter powinien „wybić się ponad banalność, ponad słowa, które słyszy w mediach i od polityków”. Powinien dążyć „do prawdy i do poznania tajemnicy życia”. Nie ukrywała, że jest to bardzo trudne, że niekiedy słyszy się rzeczy, o których nie chciałoby się słyszeć, ale ona przeszła już „próg bólu”, zmobilizowała się i doszła do wniosku, że trzeba te wszystkie straszne rzeczy zapisywać. Gdy pracowała nad swoją pierwszą książką *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* (pod tym tytułem odbyło się spotkanie noblistki z krakowianami), usłyszała historie, o których pragnęła natychmiast zapomnieć. Ale wiedziała, że nie może tego zrobić. I ta książka jest właśnie „o tym, o czym nie należy mówić” – podkreśliła. Rozmowy otworzyły ją na wiele ludzkich prawd. „Te wszystkie głosy, opowiadania, historie zwykłych ludzi składają się na dokumentalny obraz życia, bólu, cierpienia, ale też radości i szczęścia”. Reporterka zakończyła dwugodzinną rozmowę z publicznością pięknym mottem: „Idź i pilnuj w sobie człowieka”.

Białoruska noblistka przyjechała do Krakowa na zaproszenie organizatorów Festiwalu Conrada, którego 7. edycja odbyła się pod Wawelem w dniach 19-25 października br. Aleksijewicz została zaproszona do udziału w Festiwalu kilka miesięcy przed otrzymaniem Nobla, podobnie jak kilka lat temu niemiecka pisarka-noblistka Herta Müller. Tegoroczne spotkanie w Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego poprowadził dziennikarz prasowy, publicysta, reportażysta Wacław Radziwiłowicz.

Irena Kaczmarczyk

Swietłana Aleksijewicz urodziła się w 1948 r. na Ukrainie, wychowała się na Białorusi, a pisze w języku rosyjskim. Jest pierwszą reportażystką, która otrzymała literacką Nagrodę Nobla. Uhonorowano ją za „polifoniczne pisarstwo, pomnik cierpienia i odwagi

w naszych czasach”. Znała jest przede wszystkim z odważnych książek: o katastrofie w Czarnobylu, radzieckiej interwencji w Afganistanie, udziale kobiet w II wojnie światowej, wojennych losach dzieci czy codziennym życiu po upadku komunizmu. Jej książki zostały przetłumaczone na 22 języki i stały się kanwą licznych spektakli teatralnych oraz scenariuszy filmowych. Pisarka jest laureatką wielu międzynarodowych nagród. Za swoje książki została dwukrotnie uhonorowana Nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego. Do znanych utworów Aleksiejewicz należą: *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, *Czarnobylska modlitwa*, *Cynkowi chłopczy*, *Ostatni świadkowie*, *Czasy secondhand*.



Bohdan Wrocławski

Archeologia

Zastanawia mnie
łaźnia w której płynęło ciało Agamemnona
wielkie jak wyrzucona na brzegu Sycylii ryba
zmalretowane czoło Jonasza

Odys w cieniu fal z dłonią wyciągniętą tak daleko
Że nikt nie dostrzegł na czubkach palców
[połatanych żagli
jego śmiechu szerszego niż pasma nadbrzeżnych
[wzgórz

to ohydne
ale w czasie tej milczącej podróży
dookoła własnych myśli
płynęło także z wiatrem wszystkie robactwo świata

łukowate wygięte od wysiłku plecy niewolników
na których słońce wypalało codzienną pieczęć
[własnych
nikomu nieznanym pożądań i żali

być może pewnego dnia
kiedy na okolicznych równinach w porannej mgle
dzwoniły dzwonki zawieszane na sztykach owiec

twoje pragnienie zabłądziło w doliny
gdzie do dziś
grzebią badacze wszystkiego tego co bolało
i rozszarpało do wnętrza wysuszoną ziemię

i te cztery tysiące lat u stóp zdumionego Sfinksa
gdzie mały wielki człowieczek
starł się odszukać siebie

w krwi pulsującej wzdłuż mrowisk wieczności
jego okręty dobiły do czyjegoś sumienia
a później odpłynęły z tego najodleglejszego portu
przeżalone swoją obecnością - jeszcze słysząc łopot
rozrywanych żagli pęknięcie żył
zapach muzealnych zakamarków
strzały armatnie
pot na czołach niewolników
ich brwi podniesione w ustawicznym lęku
coś jakby chichot promieni słonecznych
które wybrzuszają się w kierunku kosmosu

i z trudem ogromnym starają się ominąć ziemię

z dalekiej przeszłości dochodzi dudnienie
ktoś równomiernie uderza w dwa miedziane kubły
pachnie sosnową żywicą śpiewają ptaki najbliższych
[łatak
a potem milkną na widok zsuwającego się z drzew
[węża

tak z całą pewnością byłem tam obecny
w czasie najodleglejszego antyku
kiedy na Forum Romanum
panowała euforia – maszerowały legie
to ten stukot ten rytm
uderzających o tarcze mieczy

dźwięk przystaniający powieki
i zachmurzone oblicze cezara
to śmieszne ale z jego czoła z kropelkami potu
zsuwał się łupież
patrz uważnie między łuszczącą się wapienną skórą
nędznych podmiejskich budowli biegnie szczur

jego włosy lśnią od przerażenia

tak umierałem pod razami kijów rozbawionej dzieciarni
i dziś kiedy wysychają we mnie wszystkie źródła
a twoje dłonie są odleglejsze niż pustynne oazy
tak rodziłem się przerażony lepki od krwi potu

w piasku areny między pieśnią
i uradowanym pochodem śmierci
która pisała wczoraj ten list do swojej nieobecności

wyobrażałem ją sobie pełną napięcia
z wysuniętym białym językiem
przetrawiającą każdą literę
każdy dźwięk który niepokorny wypełzał z jej warg
w mrok pełen obłędu i nadziei

obwisłe wargi rozptywający się w przestrzeni
podbródek
miękki jak spadające kwiaty akacji przybrudzona
[koperta

której szelest przypominał lot nietoperza
goniącego nocnego motyla

czytałem ten list
wzruszony szmer przerculanych kartek
rozsadzał napięte od żółtej olejnej farby ściany
[bibliotek

a może było to tylko wschodzące słońce
któremu ktoś poucinał promienie

zapłakane bez miłości
zagubione w zachłannych korytarzach
kosmicznych oceanów usychających z pragnień
w najczarniejszych korytarzach piekieł

w anielskich chórach

mimo to
istniejemy nadal obok cudzych dłoni
wyciągniętych tak daleko że tylko delikatne drżenie
[skóry

wibruje w nas biegnących wciąż przed siebie

Z tomu Bohdana Wrocławskiego *Inny smak księżycy*.

Z antologii WJP *I to jest nasze życie*

Andrzej Dębowski

* * *

...wyruszyć ku gwiazdom?
Nie, nie zamierzam.
Miałem, co prawda, kilka podobnych pomysłów,
ale nie jestem fantastą.
Interesuje mnie człowiek w realnym świecie.
A ponieważ zostałem pozbawiony prawa do własnego
[wyboru,
nie ma we mnie już tego żywiołowego zapału,
że można jeszcze zrobić coś, co przetrwa,
co zintegruje ludzi do wspólnego zaangażowania
w sprawy najistotniejsze –
w bezinteresowność.
Pozostało tylko przyzwyczajenie, nawyk, obowiązek.

Wszyscy jesteśmy jak mrówki.
Po prostu przyjęto nas do wiadomości.
Ten stan skończy się za chwilę, godzinę lub rok,
kiedy nas zdeptają.
Bo w końcu takie jest życie
mrówki.



Kolaż: Irena Nyczaj

Promocja nowych tomików-miniatur z serii „Liście”

Trzecie z kolei spotkanie w skarżyskiej kawiarni literackiej (25 września br.) poświęcone było promocji kolejnych nowo wydanych przez Oficynę Wydawniczą „STON 2” tomików-miniatur w gustownej (bogato ilustrowanej) serii „Liście”: *Oczarowania* Marzanny Kruk, *Tęsknoty...* Katarzyny Metzger, *Nim drzewo przemówi* Przemysławowi Skrzypczyńskiego, *Usypiając niepokoje* Anny Zakrzewskiej. Dla trojga autorów – M. Kruk, P. Skrzypczyńskiego, A. Zakrzewskiej – były to długo wyczekiwane debiutanckie zbiorki, natomiast dla K. Metzger – minitomik drugi. Licznie zebranych gości przywitała dyr. MCK Katarzyna Michnowska-Małek. Honorowym gościem był prezes Kieleckiego Oddziału ZLP Stanisław Nyczaj, który omawiając miniatury zwrócił uwagę na najciekawsze zawarte w nich wiersze i nagroził autorów książkami znanych literatów. Uradowana dużym zainteresowaniem publiczności, z satysfakcją prowadziłam to spotkanie wraz z Haliną Wężyk z MCK.

Oto sylwetki autorów po raz pierwszy publikujących w „SKL”.

Marzanna Kruk

– poetka i miłośniczka teatru z Małoszyna w pow. starachowickim. Polonistka i doradczyni zawodowa w mirzeckim gimnazjum. Kilka pierwszych wierszy zamieściła w „Tygodniku Starachowickim” (1996). Wygrała „Slam poetycki” w Kielcach (2007). Związana jest z „Wikliną” od ośmiu lat.

Tęsknota milcząc opiera się o drzwi
dobija do okien
wypełnia mnie
po brzegi
otwieram usta by było lżej
oddychać
lecz chwytam tylko
brak ciebie

Kto?

Obcas
i koszula
ramiączko
od stanika
i dziura
w pończosze
odklejona rzęsa
bez wyrazu
zagłada
do lusterka
zdejmuje
zmarszczki dnia
to ja
nie ja

bogini życia
czy domowa kura
kobieta?

Cisza

Milczmy
szepem nie budźmy pożegnań
spójrzmy przed siebie w dal
a czas powiększy odległość
dziś to nie nasza wierność
cisza nie boli
wspomnienie ukoi
że było coś pięknego
i niech w myślach trwa

Katarzyna Metzger

– mieszka w Skarżysku-Kamiennej. Absolwentka pracy socjalnej lubelskiego UMCS. Z „Wikliną” związana od przeszło 20 lat. Wydała w serii „Liście” zbiorek *Inna przestrzeń* (2004). Laureatka Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. L. Staffa (2000), Wojewódzkiego Konkursu Poetyckiego dla Młodzieży (Kielce 1998). Publikowała wiersze w almanachach: *Tęcza*, *Bazar 7*, *Wokół Staffa*, *Wiklinowe strofy*, *Powiat skarżyski romantycznie*. Jej pierwsza powieść czeka na wydanie.

Wokół przestrzeń zieleni
pęka
srebrzystym drzewem
niczym raną
z której sączą się liście
jak krople...

czuję się taka maleńka
w tym ogromie przestrzeni,
chwili piękna...

Czekam
na zwykły dzień
kolejny
i nie wiem
czemu przyszłość

wciąż
nie przychodzi...

czemu miłość
skrada się i odchodzi...

a ja
spaceruję myślą po kartce
i wciąż
brakuje mi przestrzeni
dnia
tych zwykłych ulic,
miast...

tego co los mi okrutnie skradł
pewnego dnia...

w tym zranionym drzewie
widzę siebie
zostało ze mnie tak niewiele
tylko myśl nieśmiała
wierszem zapisana...

Czas

* * *

Czas
roziewa się jak liście
których nikt nie zamiótł...
czas
się rozbiera jak kobieta,
stęskniona, zakochana...
czas
otula jak kochanek,
w nocy przyżywa i odpływa
czas
nie umie tęsknić...
a trąca czułe struny w nas

Moje tęsknoty
splatom promieniami słońca
patrzę na niebo
przez palce...
i uciekam w przestrzeń...
to tam
jestem wolna
nie tęsknię do przeszłości
jestem
w świecie bez granic...

Przemysław Skrzypczyński

– mieszkaniec Skarżyska Kościelnego jest tegorocznym absolwentem I LO im. J. Słowackiego w Skarżysku-Kamiennej, studentem geografii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego. W „Wiklinie” od trzech lat. Nagrodzony w dwóch konkursach powiatowych. Jego wiersze znajdują się w almanachach: *Powiat skarżyski romantycznie*, *Wiklinowe strofy*, *Słowa uwięzione* oraz w szkolnych zeszytach literackich „Ikaria”.

To, co nie umiera

Najpiękniejsze utwory komponuje cisza,
Najwspanialsze obrazy malują jeziora,
Gdzie odbija się nieba groźna błyskawica,
A czasem tylko drzewa zielona korona.

Najprawdziwszej ciszy jeszcze nie słyszałem,
Na tafli jeziora widzę tylko kręgi,
Na niebie wym powstają błyskawice białe,
A drzew rozległe cienie nie dają opieki.

Zapewne nie słyszałaś, jak mówiłem tobie,
Wpatrzony w ten sam księżyc, w który ty patrzyłaś,
Że choć nas dzielą mile, każde z nas się dowie,
Jak ważna była cisza, która nas łączyła.

Zapewne nie widziałaś, jak obraz pamięci
Odbity na jeziorze, i w sercu, i w oczach,
Pojawiał się i znikał, tak jakby w zamieci
Przetaczał się piorun po bezsennych nocach.

Zapewne nie poczułaś, gdy w drewnianej korze,
Topiłem ostrze noża i kreśliłem znaki,
Których dziś odczytać nikt inny nie może,
Bo nikt już liter serca czytać nie potrafi.

To wszystko jest jak iskra, która szybko zgaśnie,
Może pozostaną palące wspomnienia,
Niestety, nie mogę powiedzieć odważniej,
Że miłość, choć przygasa, nigdy nie umiera.

Pamiętka

Stary wiersz na dnie szuflady
w zapomnienia noc odchodzi
nikt już nie czyta takich strof
dziś to nikogo nie obchodzi

zmarszczony papier – próżny trud
odszukać ciężar tamtych słów
i ich znaczenia się domyślić
pośród natłoku cudzych myśli

a na nim atramentu łąza
która pamięta swoją młodość
kiedy płynęła w ciszy gwiazd
co wieczór tworząc się na nowo

bo był ten ogień który parzy
i było szczęście co nie cieszy
gdy na pamiętkę dla pokoleń
ktoś swe tęsknoty zmieniał w wiersze

nikt nie rozumie dawnych uczuć
które być może nie powrócą
miłosne wiersze przed spalaniem
niechaj ostatni raz zasmuca.

Anna Zakrzewska

– mieszka w Skarżysku-Kamiennej. Jest emerytowaną nauczycielką tutejszego ZSZ nr 1. Z Grupą Literacką „Wiklina” wiązana od początku (tj. 25 lat, będąc jej kronikarką). Działała też w Estradzie Poetyckiej przy oddziale skarżyskim ZNP. Publikowała swoje utwory w wielu almanachach: *Świat i my*, *Skojarzenia i refleksje*, *Rodzina w literaturze*, *Powiat skarżyski romantycznie*, *Wiklinowe strofy*, *Anioły i demony* oraz w pismach: „Radostowa”, „Angora”.

Oczy matki

Kiedyś w lustrze
spojrzą na ciebie
oczy matki
jak ostrzeżenie
wyrzut sumienia
znak miłości

nie odwracaj wzroku
na nieme pytania
szukaj odpowiedzi
patrz w nie aż do bólu
zrozumienia czasu
kiedy byłaś nią
a ona tobą

idź dalej
na skraju drogi
z bukietem lat uwiedłych
przywita cię
spojrzy w oczy

Wizyta

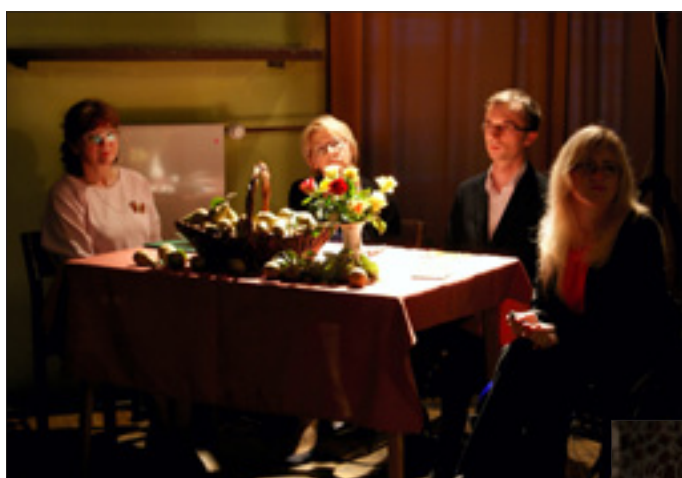
Nieważne
ile zgubiła pierścionków
ile lat
ile zamków z piasku
rozpadło się

założy odświętną sukienkę
bursztynowe korale
i pójdzie na spotkanie

przeczyta z mijanych twarzy
tylko dobre wiadomości
w witrynie sklepu
rozbawi ją własny profil
do czułych na dotyk drzwi
zapuka
w srebrnym zaciszu
oczekującym na desant aniołów
poda
filiżankę otuchy

Od Redakcji

Zainicjowana przez Elżbietę Jach kawiarnia literacka – jako forma spotkań Grupy Literackiej „Wiklina” w skarżyskim Miejskim Centrum Kultury – cieszy się już dużą popularnością wśród mieszkańców miasta i okolic. O promocji tomu fraszek inicjatorce pt. *Słowo daję*, przewodzącej „Wiklinie”, pisaliśmy w poprzednim numerze „SKL”. Godne podkreślenia jest to, że obok adeptów literatury angażuje ona do występów młodych artystów ze Szkoły Muzycznej, jak również recytatorów ze skarżyskich szkół.



Autorzy tomików (od lewej) Marzanna Kruk, Anna Zakrzewska, Przemysław Skrzypczyński, Katarzyna Metzger

Marzanna Kruk dziękuje Stanisławowi Nyczajowi



Prowadzący spotkanie Stanisław Nyczaj,
Elżbieta Jach, Halina Wężyk



Publiczność w sali kawiarnianej MCK
Fot. Michał Zakrzewski

Nowa apokalipsa

świat oszalał
burzy świątynie

starożytne posągi
tracą głowy
ludzie tracą głowy

jak z fontanny
tryska krew
z tętnic szyjnych

szatan przebrany
w szaty apostoła
głosi nową religię

ludzie załamują ręce
w bezradności

przeżalone dzieci
zaczepione w kolczaste zasieki
szukają drogi
do nieznanej ojczyzny

XXI wiek ogłasza światu
nową apokalipsę.

Wiersz napisany 31.08/1.09.2015

My

Jesteśmy potomkami
Piasta Kołodzieja
i mieszkańcami
nadwiślańskiej ziemi
mówimy językiem
którym porozumieć się
jest nie sposób

chodzimy tymi samymi
drogami ale dochodzimy
do odmiennych celów
głosy mamy ochryple
od wiecowych przemówień
wyznajemy tego samego Boga
który stracił panowanie
nad swoim stadem

na koniec idziemy
do spowiedzi
nasz spowiednik
zamiast modlić się
w intencji
z przyjemnością słucha
naszych grzechów

Tragizm postępu

ludzie stają się samotnikami
wszechobecna technika
oddala człowieka od człowieka

bicie serca słyszane z kosmosu
to tylko głos wołającego na puszczy

krew leje się w sprawiedliwych
i niesprawiedliwych wojnach
ilości zabitych i rannych
trudno się doliczyć

powierzchnię zdobytych terenów
wymierza się do centymetra

Na początku

„na początku było słowo”
protestuję
nie ma początku
i nie ma końca
słowo może być
wymagowaną abstrakcją

pierwszy człowiek
był poetą
który tworzył
poetyckie kody
życia
dla człowiekkształtnych

Ciągle

ciągle przechodzimy
na drugą stronę ulicy

w poszukiwaniu
straconych złudzeń

ciągle z niedowierzaniem
patrzemy w oczy przechodniów
by ujrzeć na ich dnie
wschodzące promienie
nadziei

ciągle dochodzą do nas
głosy zbawicieli świata

ciągle atakują nas
nawracacze
na wątpliwe idee

Bieg

biegniesz zdyszany
po drodze krętej i kamienistej
meta daleko
może w przestworzach
może w środku ziemi
nie wiesz
biegniesz
sił ci brak – biegniesz
bieg to całozyciowy
na finiszu stajesz się
nic nieznaczącym
punktem
albo w ogóle cię nie ma

Alzheimer

to zapomnienie
a może wybawienie
od strachu śmierci
i
Wielkiej Niewiadomej
rośliny też nie mają
pamięci
i nie wiedzą czy żyją

człowiekowi staremu
też potrzebna jest
niepamięć
jemu wystarczy
bułka z masłem
i jeszcze „coś tam”

a może lekarz?
numerek kolejkowy
zginął bez wieści
Panie świeć nad
jego duszą

Efekt cieplarniany

słońce poci się
do ostatniej kreski
wytrzymałości
ziemia ma oddech
przyspieszony
ludzie kręcą głowami
i spoglądają w niebo
z nadzieją na deszcz
zwierzęta skupiają się
w stada
i pędzą na oślep
przed siebie

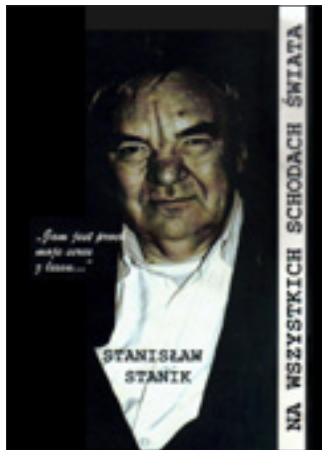
tylko stary człowiek
zaciera ręce
że wygrzeje swój
reumatyzm
w chłodnych jaskiniach
coraz tłoczniej



Jan Lechicki występuje podczas wieczoru laureatów
w Kieleckim Centrum Kultury

Smak czasu

Każda nowa książka, podobnie jak nieznaną potrawa, jest tajemnicą, kusi więc, by po nią sięgnąć. Wyciągając dłoń po wybór wierszy *Na wszystkich schodach świata* Stanisława Stanika otrzymałam danie nadzwyczaj obfite, urozmaicone i barwne, epatujące głębią smaku czasu, który przeminął, pozostawiając ślad w postaci siedemnastu wydanych książek.



Nic dziwnego, ich autor ma już bowiem za sobą lata nauki, pracy, walki o ideały, pokonywania meandrów uczuć, kluczenia pomiędzy wsią i miastem, zbierania doświadczeń, kolejnych wzlotów i upadków.

Tytułowy wiersz omawianej książki, pochodzący z debiutanckiego tomu *Objęcie* (1991), co prawda technicznie jeszcze wiarą we własną moc („jam jest padół ziemi/ co rozsadza lód”, „jam jest myśliwy na moim ramieniu/ mam przewieszoną broń przed nią nie ustrzeże/ się ani kuropatwa ani sokół ani nawet wilk”), znajdujemy w nim jednak także ślady fatalizmu („otom człowiek/ a moje dni są policzone/ jak obróćę się w proch”), który z czasem zaczyna dochodzić do głosu coraz częściej.

Przekonanie o nieodwracalności zdarzeń, które mają nastąpić, przewija się przez filozofie i wierzenia od starożytności po współczesność. I obojętne, czy nosi imię Fatum, Ananke, Logos czy Przeznaczenie, jest wszechobecne i dominujące. Religia chrześcijańska również składa los człowieka w ręce Opatrzności, uczy pokory i uległości, co często pozbawia go siły do stawienia czoła rzeczywistości. Czyżby pozostawało nam tylko bierne powtórzenie za Stanisławem Stanikiem: „drzę/ i milczę/ bezpowrotnie stracony/ ze zrządzenia losu/ może z karty Najwyższego” („cóż mogę...”)?

Niełatwo jest całkowicie się poddać, nadstawić drugi policzek, szczególnie gdy los okłada bez opamiętania. Niestety bowiem, choć nieproszone, potrafi się zasiedzieć ponad miarę. Lubi też powracać. Być może dlatego żłobi w sercu człowieka tak głębokie i trwałe ślady. Ból poety, poszukując ujścia,

skrapla się w słowa, wersy, zwrotki, zapełnia strony, tworzy kolejne tomy, rozlewa się coraz szerzej i szerzej. Trudno jest bowiem żyć ze świadomością, że „między tym co pragnę/ a tym co się staje/ biegnie mur bezradności” (*wyciągam dłoń do siebie*).

Stanisław Stanik, kończąc studia, na pewno nie spodziewał się, że życie go „wessie jak kawałek odpadka”, że los go „zarzuci/ jak auto na śliskiej drodze”, że będzie „wycierał chodniki w drodze od jednej/ instytucji do drugiej”(powrót), a świat będzie się stawał coraz bardziej „bezwłasnowolny/ skazany od środka na samo zbłądzenie”(zagłada). W słowach: „wybrany dla życia muszę je prowadzić/ przez cień niepokojów których sens się gubi/ i szczyt uniesień tak wielkich że święte”(próba) znajdujemy zarówno nutę rezygnacji, jak i buntu przeciwko niezrozumiałym posunięciom losu. Jest tam też jednak wiadomość o chwilach uniesień, które były tak piękne i czyste, że zasłużyły na miano świętych. Więc jednak szczęście, jak przelotny ptak, zajrzało i do niego. I obojętne, czy był to skrzydlaty posłaniec miłości, muśnięcie dłoni Kaliope, patriotyzm czy uniesienie religijne, ważne, że zagościło. Pamięć o tych chwilach na pewno pomaga znieść kolejne rozczarowania. Bo chociaż „upadły marzenia/ rozbiły się miłości”, to jednak „pora wstać/ podreptać na ląd” i odnaleźć tam „grunt pewny/ bez złudzeń” (*reminiscencje na wodzie*). Nie jest to łatwe, gdyż ojczyzna również go zawiodła. Co prawda, „bliżej dziś na zachód niżeli do wschodu”, to jednak „sprawiedliwy szybko musi odejść” (*komu ojczyście łono nieprzyjazne*), a „mit często stoi na placach pomnikiem” (*przysposobienie obronne*). Jak przekłnąć gorycz po tylu latach walki o wolność, gdy „zdawało się nic/ z tego nie będzie”, a trzeba było zaufać kruchej nadziei, że „z tego rośnie Polska” (*lublin marzec `68*)?

Gdy wszystko zawodzi, człowiek szuka oparcia w Bogu. Poeta przeświadczony, że „przedwieczny/ wszystko może” (*w ludzkiej skórze*) zwraca się więc z prośbą: „proszę nie zamykaj mnie w klatce bez powrotu/ otwieraj perspektywę/ jak niewymierna liczba pi” (*małe Te Deum*). Nadzieja jednak jak maksimum funkcji pojawia się jedynie na chwilę. Potem zaczyna się kolejny spadek w dół zwątpienia i ból rodzący pytania przyprawione buntem: „czego

Wieczór literatów-laureatów na małej scenie KCK (4 września 2015)



Ewa Wojtasik otrzymuje Srebrny Krzyż Zasługi, przyznany przez Prezydenta RP, z rąk wicewojewody Pawła Olszaka



Od lewej Zyta Trych (prezeska TPSP) i Stanisław Nyczaj wśród laureatów Nagrody Prezydenta Kielc 2015



Podziękowania za współpracę dla Krystyny Nowakowskiej – kier. Centrum Edukacyjnego „Szklany Dom” w Ciekotach



Podziękowania dla przyjaciela pisarzy Marka Cichońskiego

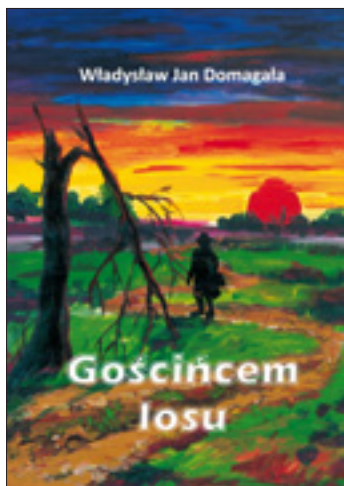


Podziękowania dla Jacka Wiatrowskiego – współorganizatora wieczoru



„Pisał z potrzeby serca”

Mój mąż – Władysław Jan Domagała – pisał wiersze niemal przez całe swoje dorosłe życie. Najwięcej tworzył ich w latach 70. i 80. W tym czasie dość często umieszczała je prasa regionalna i centralna np. „Magazyn Słowa Ludu”, „Zielony Sztandar”, „Rzeczywistość” i inne. Ukazywały się także w wydawnictwach zbiorowych *Z rozkazu*



serca (wyd. MON), *Ziemia urocza* i in. oraz własnym tomiku *Bądź zawsze* wydanym w 1997 roku.

Pisał z potrzeby serca. Forma poetyckiego przekazu najbardziej mu odpowiadała, gdyż z natury był człowiekiem uczuciowym, wrażliwym.

Poezja uskrzydlała jego myśli, potęgowała siły intensywnych przeżyć w pełniejszym kształcie stanu duchowego.

W 2015 roku (pośmiertnie) ukazał się bogato ilustrowany zbiór fraszek pt. *Rozkoszne manowce*.

Niniejszy tom wierszy *Gościńcem losu* składa się z pięciu rozdziałów. Poprzedza je wiersz *Oda do pachnącego groszku*. Jest to pieśń serca pisana z wielkim natchnieniem – rodzaj inwokacji – odwołanie się do żywego symbolu piękna natury, czarującego kolorem i zapachem. To prośba poety o inspirację, o duchowe natchnienie do osiągnięcia doskonałości w tworzeniu poezji.

Groszku pachnący przyjacielu
uczyn mocą niebios
niechaj przychyłą się obłoki
[...]

Błogosławiony będzie dzień
spełnionej modlitwy
wysłuchanej prośby

Oda do pachnącego groszku tematycznie łączy się i spina jak klamrą cały tomik z ostatnim rozdziałem – epilogiem pt. *Wyznanie pragnienia*.

W pierwszej części tomu zatytułowanej *Nie takie to proste zapomnieć* poezja wprowadza czytelnika w lata wojny i okupacji niemieckiej. W wielu wierszach utrwalone są osoby i fakty historyczne, które miały miejsce w Kielcach, okolicy i naszej ojczyźnie, np. *Syn Pułku Czwartego* – to por. Leon Pajak z Bukówki, walczący na Westerplatte, *Hubal* – pierwszy polski partyzant – mjr Henryk Dobrzański.

W obrazach poetyckich pełnych grozy i rozpacz – *Ślady na murze*, *Ta noc nie wróci* autor pisze: „Poświęcam Jankowi Chmurzyńskiemu, Adamowi Bobrowiczowi i innym rozstrzelanym 18 listopada 1943 r. na placu św. Wojciecha i na ul. Urzędniczej w Kielcach”.

Padły strzały
ziemia zakwitła krwią
zgasły promienie błękitnych oczu
zastygł grymas
na Jankowej twarzy

W egzekucjach ginęli koledzy i przyjaciele Władysława Domagały ze szkoły średniej należącej do ruchu oporu. Te i inne przeżycia wojenne utkwily mocno w pamięci i wpłynęły na stan emocjonalny poety.

Głębię cierpień i przeżyć obozowych w Oświęcimiu-Brzezince i Majdanku znajdziemy w licznych wierszach tego działu: *Pasiak*, *Obozowe odczucia*, *Na Majdanku* i innych.

Przegrałem w kości
za drutami własne kości

Należy wspomnieć, że siedem utworów o tematyce obozowej Wł. Domagały znajduje się w Muzeum Auschwitz-Birkenau, za które 8.06.1982 r. otrzymał serdeczne podziękowanie na piśmie od dyrektora Muzeum.

Następne trzy części tego tomiku zatytułowane *Echa czasu*, *Samemu sobie rachunek*, *Gościńcem losu* są sprzężeniem emocjonalnym i tematycznym minionych lat. W wierszu *Za i przeciw* czytamy:

Pochyliłem skroń
nad kolebką wieku

Utrwalone obrazy
przesuwa taśma
Gościńcem losu
myśl wraca uparcie
W komórkach serca
rachunek czyni własny

Są to utwory oceniające życie już dojrzałe z perspektywy minionego czasu, przepełnione zadumą podmiotu lirycznego nad własnym i ludzkim losem, nad gościńcem i jego drózkami, którymi przez życie nas prowadził. Nie zawsze były zgodne z naszymi planami i pragnieniami. Czasem los zawodził, kierował na inne, nieznanne trudne ścieżki wbrew naszym oczekiwaniom i nadziejom.

Te smutne rozmyślania nad przemijaniem życia i słabość fizyczna skłaniały poetę do pisania utworów pesymistycznych, przesyconych melancholią, beznadzieją np.

Nad rzeką Jasilec

Zawisłem na nitce
babiego lata
pochylonej wierzby
Pod stopami głębia
wołam głosem widliszka
Słyszę odbicie
niesione na skrzydłach widma
[...]
echo wraca
z pustymi rękami

W chwilach rozterki duchowej autor pisał wiersze poświęcone matce, która odeszła w latach jego młodości, a którą bardzo kochał. Przywołanie postaci mu drogiej koło jego serce, uspokajało.

Mamo

Łzami obmyję stopy
wersem uczuć szepnę
melodią słów całopalenia
pokłon złożę Tobie

Ostatnia część tego tomu *Wyznanie pragnienia* to epilog, dopowiedzenie największego pragnienia w życiu autora, tj. pozostanie w poezji.

Jestem poezją żywą
ona jest mną
ja jestem nią
[...]
Póki sił i zdrowia starczy
czas dla niej poświęcę

Pod koniec tomiku Autor zwraca się do Poezji:

Poezjo
tyś mi wierna
jedyna
i nieśmiertelna
Idziesz za mną
łąką po lesie
upajasz melodią
radość niesiesz
Gdzie los rzuci
cicho usiądę sobie
o każdej porze
śnić będę o Tobie
A kiedy odejdę
skąd się już nie wraca
Ty miła zostaniesz
jako wspólna praca

Maria Domagała



Podczas uroczystej promocji zbioru wierszy Władysława Jana Domagały w kieleckim MDK 10.11.2015, prezes Świętokrzyskiego Związku Kombatantów RP Zdzisław Dobrut – w imieniu Zarządu Głównego Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych – wręczył wdowie, Pani Marii Domagale, **Kombatancki Krzyż Zwycięstwa** jako wyraz szacunku za zasługi jej męża w dziele wyzwolenia kraju, a także wprowadzanie szczytnych tradycji kombatanckich.

Fot. Irena Nyczaj

Ostatni podryw elewa Walczaka

Szeregowy, elew Józek Walczak, był naszym wiejskim bohaterem, legendarnym donżuanem, znanym z miłosnych podbojów w całym powiecie. Pracował w mieście jako urzędnik w biurze, wystawał się poprawną polszczyzną, po inteligencku, bez gwarowych nalotów, pachniał perfumami i wodą kolońską, zawsze czysty, wygolony, spodnie wyprasowane w kant, buty: lakierki błyszczące, no elegancik, co się zowie.

Oglądał telewizję, wiedział kto to Chmurka, a kto Wicherek, jaki program prowadzi Irena Dziedzic, umiał porozmawiać na temat ostatniego spektaklu „Kobry” i czytał pisma: „Przekrój” oraz „Nową Wieś”, jednym słowem – światowiec. Słuchał regularnie radia, lubił powtarzać dowcipy z audycji „Podwieczorek przy mikrofonie”, a także wiedział na bieżąco, co słychać w Jezioranach i w rodzinie Matysiaków. Ba, na imieniny Mateusza Świtalskiego zamówił, przy pomocy swojego najlepszego przyjaciela, nauczyciela prac ręcznych, Olka, w radiowym „Koncercie Życzeń” ulubioną piosenkę kierownika szkoły, czyli „Kasztany”, w interpretacji Nataszy Zylskiej. A przy tym nie lekceważył tradycji, przyjaźnił się z byłym dzieżcem, Lubowieckim, i wiedział z pierwszej ręki, jak kiedyś bawił się generał Wieniawa-Długoszowski w przedwojennej „Adrii”.

Wyróżniał się pozytywnie na tle niezgrabnych kawalerów wiejskich, ubierających się w zbyt obszerne, workowate garnitury, którzy przez cały tydzień siedzieli w polu albo w oborze, garnitury wkładali tylko w niedziele, a o świecie i dobrych obyczajach nie mieli zielonego pojęcia. Szczególnie Józek upodobał sobie nauczycielki, które co roku zjawiały się w szkole w Grodziskach. Wielu dziewczynom złamał serce, a niektórzy złośliwcy plotkowali, że szeregowy, elew Walczak płaci też, w tajemnicy przed otoczeniem, jakieś alimenty na swoje nieślubne dzieci.

Szczycił się bezwstydnie przed kolegami wieloma erotycznymi zdobyczami, ale wyrzuty sumienia miał tylko wobec jednej, nauczycielki Mani zwanej Kochliwą, młodziutkiej dziewczyny, rozmarzonej, romantycznej, niewinnej i naiwnej, łaknącej uczucia, którą omamił słowami o miłości, a potem kiedy dziewczyna zaszła w ciążę, zostawił

na pastwę losu i złych ludzi. Była też najładniejszą panną w jego kolekcji, z burzą czarnych włosów, bardzo zgrabna, dobrze zbudowana, ale w pasie cienka jak osa, podobna trochę do Giny Lollobrigidy. Po romansie z Józkiem, szeregowym elewem, Mania ze złamanym sercem wyjechała w świat i ślad po niej zaginął. Różnie ludzie mówili: jedni, że przygarnął ją jakiś starszy wdowiec i dziecko usynowił, inni, że Mania poddała się aborcji, jeszcze inni, że próbowała targnąć się na swoje życie i w efekcie wylądowała w szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie, na oddziale, z którego nie ma wyjścia.

Tego grzechu nigdy Józkiowi nie odpuścił nawet wikary Gurda, choć słuchał spowiedzi szeregowego elewa i jego szczerego żalu za grzechy, bo sam dziewczynę bardzo, po siostrzanemu, lubił. A z samym Józkiem też niejedną wieczór przegadali i niejedną flaszkę wspólnie obalili, czy to wieczorem na plebanii, w pokoju wikarego, kiedy proboszcz Tarwa już smacznie spał, czy na chrzcinach we wsi, albo na weselach. Również pani Stanisława, żona kierownika szkoły, Świtalskiego, nie mogła wybaczyć szeregowemu, elewowi, jego postępku, bowiem Mania miała dobre serce i zawsze wysłuchiwała ze zrozumieniem narzekań pani Stanisławy na jej męża, który w ocenie żony nigdy jej właściwie nie doceniał i ciągle ją psychicznie zaniedbywał.

Józek często przeglądał się w lusterku odpułstowym, z podkolorowaną Marylin Monroe na rewersie, ale widok nie był zbyt zachęcający, powoli konstatował, że zaczynał się nieuchronnie starzeć, a hulaszczy tryb życia zrobił swoje. Włosy mu się przeredziły, oczy zapadły, a pod nimi utworzyły się czarne podkówki, nos i podbródek znacznie się wydłużyły, jakby chciały się zetknąć ze sobą, gdzieś w przestrzeni. Wychudł przy tym strasznie, sama skóra i kości, jak to mówiła o nim żona stolarza Kowalczyka, sama o posągowej posturze, która nie lubiła chudzielców, bez względu na płeć.

Przez wisko „elew” zawdzięczał swoim opowieściom z czasów służby wojskowej, kiedy, trzaskając obcasami, musiał meldować się przełożonym słowami: – Szeregowy, elew Józef Walczak,

melduje się na rozkaz! Tych opowieści, zawsze bardzo zabawnych, było całe mnóstwo i Józek ubarwiał nimi wszystkie nauczycielskie imieniny, zakończenia roku szkolnego, a nawet przyjęcie z okazji uczniowskiej choinki.

Podobno każdy powinien umieć zestarzeć się z godnością, a nie ciągle udawać młodzika. Czasy się zmieniały i mody, a „szeregowy, elew Walczak”, jak sam o sobie mówił, pozostawał ciągle taki sam, jak kiedyś, to znaczy w epoce wczesnego Gomułki. Nie wiadomo skąd i kiedy pojawiły się nowe, piękne i dorodne dziewczyny, ubrane w minispódniczki. Od samego patrzenia na ich zgrabne, pełne uda, „szeregowego elewa” oblewał na przemian zimny i gorący pot. Nowa kawalerka – to chłopacy jacyś wyrośnięci, szerocy w barach, każdy wyższy od niego co najmniej o głowę, w obcisłych spodniach dżinsach, kupionych w mieście, w sklepie „Pewexu”, specjalnie wytarte pumeksem na udach i kolanach, szerokie wojskowe pasy, a przy nich dyndają złote breloczki z wygrawerowanymi kowbojami, z amerykańskiego telewizyjnego serialu *Bonanza*. Strach z takimi zdrzeć na zabawie w remizie, bo można mocno oberwać i nie pomoże nawet znajomość elementarnych chwytów judo ani umiejętności bokserskie, jakich nabył w wojsku, a które były bardzo pomocne w dotychczasowej karierze podrywacza.

Ci młodzi innej muzyki słuchają, już nie zespół Mazowsze, ani *Cicha woda* w wykonaniu Kurtycza, ale jacyś zagranicznicy, Anglicy, Bitelsi i Rollingstoni, dzikie wrzaski, a nie muzyka. Miasto wkraczało do wsi za pomocą telewizorów. Najpierw we wsi był jeden, w remizie strażackiej, potem drugi zakupił ksiądz wikary, a teraz anteny telewizyjne wystrzeliwały w niebo jedna po drugiej, jak grzyby po deszczu.

Przyszła nowa moda, hipisowska, na długie włosy i koraliki, spodnie dżinsy rozszerzane u dołu, tzw. dzwony, tymczasem elew ciągle paradował w garniturku z wąskimi nogawkami u spodni, buty lakierki, niebieski sweterek i koszula non-iron, a do tego cieniutki skórzany krawacik, no i zgniłozielony płaszcz ortalionowy, którego poły powiewały na wietrze; niegdyś bojowo i zwycięsko, ale w miarę upływu czasu coraz bardziej oklapłe, podziurawione nożami na wiejskich weselach i zabawach w remizie, poszarpane sztachetami z okolicznych płotów, utyłane w grodzickim, legendarnym błocie, którego żadne proszki do

prania nie były w stanie wywabić. Wyglądał teraz ten płaszcz jak stary sztandar wojskowy, podziurawiony przez kule, który niejedną kampanię odbył i okrył się chwałą, ale już należałoby go złożyć w jakimś muzeum, na wieczną rzecz pamiątkę.

Ostatnia miłość szeregowego, elewa Walczaka, to była panna Bożenka, dziewczyna duża i rosła, o okrągłej, nalanej twarzy, a kształtach bujnych, rubensowskich, jak mówił pan Messerszmit, który uczył rysunków. W przeciwieństwie do Mani, która unosiła się jakby w powietrzu niby baletnica, kręcąc i furkocząc szerokimi spódnicami, spod których błyskały olśniewająco zgrabne nogi. Pani Bożenka była raczej ociężała, stąpała po ziemi wolno, bez nadmiernego pośpiechu, stawiała kroki twardo i ciężko, a przy tym ciągle coś jadła, jeśli nie podwójne kanapki z masłem, szynką i pomidorem na dokładkę, to rozwijała z szeleszczących papierków nadziewane cukierki albo batoniki, czy wsuwała do pomalowanych ust bezwstydnie całe tabliczki czekolady, oblizując przy tym łakomie palce. Stosunek do życia też miała praktyczny, niełatwo poddawała się romantycznym uniesieniom i zachwytom. „Szeregowy, elew Walczak” wyglądał przy niej jak szczapa, chudziutki, wysuszony papierosami i wódeczką, ciągle zabiegany za nowymi miłosnymi podbojami po okolicznych wsiach.

Pani Bożenka również rozmyślała o zamążpójściu. Marzył jej się kawaler z miasta, najlepiej dobrze zarabiający, na stanowisku, broń Boże rolnik, bo do pracy w polu nie miała najmniejszej ochoty. Najchętniej siedziałaby w wygodnym fotelu przed telewizorem i oglądała wszystko jak leci, zajadając się przy tym słodyczami. Poza tym lubiła miasto, przesiadywanie w kawiarniach, seanse filmowe, obiady w restauracji, gdzie można wybierać, co się chce i wybrzydzać.

Wtedy też zdarzyło się nieszczęście, mianowicie stary ojciec Józka zachorował psychicznie. Uciekł z domu i tułał się po okolicznych wsiach i lasach. Świtalski bał się w nocy chodzić do autobusu PKS czy też na stację kolejki wąskotorowej, ponieważ spotykał na drodze starego, brodatego Walczaka, który chodził bez celu po okolicy, czasem nawet nocą. Pojawiał się, nie wiadomo skąd i nie wiadomo kiedy, stawał za płotem jak nieruchomy posąg i wpatrywał się w ludzi swoim niesamowitym, nieobecny wzrokiem. Jakby sobie coś przypominał, ale sam nie wiedział, co takiego. Straszne to było spojrzenie, aż ludziom ciarki przechodziły po krzyżu. Nie zawsze można

go było zauważyć, tak wtapiał się w tło, stawał się elementem pejzażu, razem z drzewami i figurami przydrożnymi. Wyglądał jak drewniany świętek wśród krzewów bzu, róży i wyrosniętych dziewann oraz pokrzyw.

Józek łąpał ojca, przyprowadzał do domu, kąpał go, golił i strzygł. Ludzi uspokajał, że nikomu krzywdy nie zrobi, bo jest niegroźny dla otoczenia. Najgorsze było, że podczas tych ucieczek chory nie brał leków. Oprócz starego Walczaka, we wsi było kilka osób chorych psychicznie i niedorozwiniętych umysłowo. Jedna kobieta, pod trzydziestkę, co pasażerka krowy, mówiąc coś do siebie, a inni też pomagali w gospodarstwie. Do kościoła ich nie prowadzono, bo to obraża boska, gdyż nie panowali nad swoim zachowaniem, a jak ksiądz chodził po kołędzie, to ich upychano gdzieś po chlewikach i komórkach.

Wszyscy kumple Józka z kawalerki już dawno pożenili się, nawet nauczyciel Olek, który przysięgał dożgonne starokawalerstwo, choćby miał do śmierci płacić bykowe, znalazł sobie żonę w postaci młodej, energicznej nauczycielki z Miernowa, która wkrótce zamieniła go w klasycznego pantoflarza. Mały Jacek, co miał metr sześćdziesiąt w kapeluszu, nauczyciel matematyki, ożenił się z postawną córką chłopca i też robił w gospodarstwie teścia za piąte koło u wozu. Miał jednak pensję nauczycielską, co chroniło go przed szyderstwami mieszkańców wioski. Co pensja, to pensja, zawsze pewny grosz co miesiąc, a nie dorywczo, jak to u chłopów, przy sprzedaży tytoniu czy świnek.

Józek, szeregowy, elew Walczak, Bożenkę poznał w tradycyjny swój sposób, na nauczycielskich imieninach, ale dostęp do panny nie był łatwy. Mieszkała na innej kwaterze niż wcześniej Marzena Kapitalna i Mania Kochliwa. To nie była już pusta chałupa Zimnego, ale pokój przy rodzinie, w środku wsi. Okna sypialni pani Bożenki wychodziły na sad gospodarza Kozery. Nie wiadomo, czy przez roztargnienie, czy też świadomie, pani Bożenka jakoś często zapominała zaciągnąć kotary w oknie, kiedy rozbierała się przed położeniem się do snu. Wieść o tym przyzwyczajeniu, bujnie wyposażonej przez naturę młodej nauczycielki, rozeszła się błyskawicznie wśród okolicznej kawalerki i wieczorami wszystkie gałęzie drzew w sadzie gospodarza Kozery obsiadłe były przez mężczyzn w przedziale wieku od szesnastu do czterdziestu lat.

Nie każdego wieczoru dawano takie przedstawienie, czasami okna były szczelnie zasunięte ciemną kotarą, zwłaszcza w te dni, kiedy do pani Bożenki przychodził z wizytą naczelnik poczty – Plaskaty. Chłop nie był jeszcze stary, miał koło pięćdziesiątki, ale postawny, barczysty, typ sportowca-zapaśnika, kwadratowa szczęka, łapy jak bochny chleba, wytyślał tylko przedwcześnie. Za to żonę miał chudą, małą sekutnicę, w dodatku miała odchyły religijne po śmierci jedyne dziecko, które zmarło w szpitalu przy porodzie.

Plaskaty, jako naczelnik poczty, zdobył adresy wszystkich biur matrymonialnych w kraju i łudził panią Bożenkę nadzieją, że ożeni ją z jakimś dyrektorem albo nawet ministrem z Warszawy. Pisali więc wspólnie wieczorami listy do zgłaszających się kandydatów na mężów, a także robili artystyczne fotografie pani Bożence, ukazujące co nieco, ale nie za bardzo, choć czasem bardziej odważnie, kiedy kandydat był obiecujący i na stanowisku. To wspólne hobby fotograficzno-epistolograficzne tak ich wciągnęło, że seanse trwały do białego rana, a naczelnik poczty szedł do pracy prosto z kwatery pani Bożenki, a przed żoną tłumaczył się nawałem pracy biurowej.

Józek Walczak niczego nie był świadom, bo po raz pierwszy w życiu się zakochał. Wymarzył sobie przytulne gniazdko z pulchną panią Bożenką, jako odpoczynek po burzliwej młodości, i zaczął do niej smalić cholewki, ale wpuszczany był do mieszkania tylko w niedziele, kiedy naczelnik Plaskaty musiał siedzieć w domu przy ślubnej małżonce, której przysięgał w kościele przed proboszczem Tarwą. Józek prawił ukochanej swoje, sprawdzone w kawalerskiej praktyce, komplementy i dusery, które na niej jednak nie robiły żadnego wrażenia, ale nie pokazywała tego po sobie, bowiem trzymała Józka w odwodzie, jeśli wszystkie inne nadzieje matrymonialne, roztaczane przez naczelnika Plaskatego, zawiodą.

A jednak w biurze matrymonialnym znalazł się kandydat, którego ojciec był na dyrektorskim stanowisku. Pewnej niedzieli przy domu gospodarza Kozery, gdzie swoją kwaterę miała pani Bożenka, pojawiła się popielata warszawka; jako pierwszy wysiadł nieśmiały chłopiec koło trzydziestki, ubrany w niebieski sweterek i džinsy, a za nim pojawił się dostoyny ojciec kawalera, w garniturze, kapeluszu i pod czerwonym krawatem, zaś na końcu potężna mamusia, w jasnym płaszczu i kapeluszu z piórami. Od razu widać było, że ona

tu rządzi. Wszyscy troje weszli do domu, gdzie czekała na nich wystrojona pani Bożenka.

W tym samym czasie szeregowy, elew Józef Walczak postanowił się ostatecznie oświadczyć swojej ukochanej. W tym celu zakupił olbrzymi bukiet kwiatów w Pińczowie, drogi koniak w Peweksie, pierścionek zaręczynowy w sklepie „Jubilera” i wybrał się pieszo ze swojej chaty do kwatery pani Bożenki. Mieszkał na końcu osady, więc przemarsz zajął mu trochę czasu, a obserwowali go z okien i podwórek wszyscy mieszkańcy wsi Grodziska. Nawet ministranci, którzy oglądali telewizję na plebanii, w pokoju wikarego Gurdy, wybiegli na drogę.

Była deszczowa jesień, jeszcze przed pierwszymi przymrozkami, droga straszliwie błotnista, z wielkimi kałużami brunatnej wody pośrodku. Józek dokonywał nie lada akrobacji w swoim rozwianym płaszczu ortalionowym, żeby nie poślizgnąć się w zdradziecko śliskim błocie i nie wylądować w kałuży. Jego błyszczące lakierki pokryły się błotem, tak samo nogawki spodni od garnituru, ale elew Józek na nic nie zważał i szedł twardo do celu, po raz pierwszy w życiu nie obawiając się ośmieszenia. Miłość zaślepiła go całkowicie.

Kiedy zobaczył przed domem, gdzie mieszkała ukochana, samochód, popielatą warszawę z rejestracją miasta wojewódzkiego, coś go ukłuło w sercu. Wbiegł po betonowych schodkach i zaczął się dobijać do drzwi, ale nie zostały mu otworzone. Za to w oknie na pięterku ukazała się utapirowana główka pani Bożeny, która ostrym głosem kazała mu się wynosić.

Józek cisnął kunsztownie przybranym bukietem kwiatów w sam środek rozlewiska. A następnie usiadł na najwyższym stopniu schodów. Próbował zapalić papierosa, ale od deszczu rozlażył mu się w palcach. W końcu uspokoił się nieco i – ostaniając się połą ortalionowego płaszcza – zapalił extra mocnego. Ludzie stali z boku i mu się przyglądali. Nikt nie podszedł, nie zagadał, wszyscy jego koledzy z kawalerki już dawno wyjechali albo się pożenili. Niektórzy mówili, że płakał, ale inni twierdzili, że to tylko deszcz. Niektórzy mu współczuli, a inni mówili, że jest sprawiedliwość na świecie, bo Józek skrzywdził przed laty Manię Kochliwą i złamał jej życie. W końcu wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki butelkę koniaku i pociągnął spory łyk. Zebrał się w sobie, zszedł po schodach i zaczął wracać do domu, zataczając

się lekko, ale nie dbał już o błoto i brunatne kałuże, szedł środkiem drogi, jak kiedyś, za swoich młodych lat, kiedy był królem kawalerki. Za nim, w odległości kilkunastu kroków, skradał się za krzakami jego chory psychicznie ojciec. Ludzie martwili się, żeby Józek nie skończył tak samo, bo choroba może być dziedziczna.

Kilka miesięcy później, w dalekim mieście, odbył się ślub panny Bożenki, w którym uczestniczył też naczelnik Plaskaty. Próbował on potem odwiedzać jeszcze Bożenkę w nowym mieszkaniu, ale jej mąż mu stanowczo zabronił.

Józek ożenił się z pewną wdową, z przychówkiem w postaci dwóch nieletnich dziewczynek. Znow, jak przez całe życie, otoczony był kobietami. Na wsi komentowano to zdarzenie przysłowiem: „U wdowy chleb gotowy”. Podczas uroczystości rodzinnych Józek opowiadał nadal zabawne historie ze swojej służby wojskowej, kiedy to na wezwanie przełożonych trzaskał obcasami i mówił donośnie: – Szeregowy, elew Józef Walczak, melduje się na rozkaz!

Zdzisław Antolski



Rys: Irena Nyczaj

Staszowski lipiec

zabełtać słowem w nurcie
w Czarnej w Staszowie
to tak jak ująć poezją szarość

spleciona rytmem
muzyką Kamila Kondka
kiedy nuty w SOK-u płyną

nasyceni gościnnością
strojne słowa wysnuwamy

zgrani z tętnem ziemi
znaczymy swój czas
i każdy z nas unosi słowo
na wysokość świętokrzyskich wzniesień

jakbyśmy się rodzili na nowo
w pogodzie ducha odnajdujemy

doganiamy echo sensu

Staszów 15.07.2015

Oblicze Ziemi

Ziemia – wspaniałe jeździecwo we mgle niewiedzy.
Z(z)iemia ma warstwy, również społeczne. Otwiera się na nasiona. Na korzenie trzeba ją otworzyć. Również na człowieka, dla którego zatrzymał się czas, należy otworzyć ziemię.

Jej oblicze ma wielkie rumieńce. Pulsuje sercem lawy. Oddycha zielenią. Gleba rodzi roślinność, także piach i skały. Pomiędzy – życie drapieżców. Strach, walka i śmierć – trójca nierozdzielna. Przyczajenie, obrona, ucieczka – towarzyszą wszystkim gatunkom. Silniejszy zwycięża, uległość pozwala przetrwać. Podani zawsze byli i są.

W zasięgu Słońca niemoc umysłu. Niesyty człowiek – wyżej i wyżej, głębiej i głębiej. Intelktem sięga w nieznanne i odkrywa... własną niedoskonałość. Wulkany, kataklizmy – grzebią.

W zbiorowości okruczeń pokoleniowa wieczność. Jak schody do wiedzy.

Wyróżnienie w II Konkursie Literackim im. St. Żeromskiego

W siarce moczą swoje ciała,
siarką pachnie dookoła.
Zapalają swe wigory,
choć pot ciurkiem płynie z czoła.

* * *

Gasi żary kriokomora,
by dać upust swym wigorom.

* * *

Ugnieć mięśnie, masażysto,
bo ich sztywność psuje wszystko.

* * *

Poddał się terapii ciała,
aby dusza mniej cierpiała.

* * *

Niezależnie od pór roku,
niezależnie od pogody
na kuracji zawsze gody.

* * *

Choć ciało ledwo kuśtyka,
dusza w niebo gdzieś umyka.

* * *

Zapominasz, co wypada,
kiedy ciało w rozkosz wpada.

* * *

Nie patrz w lustro, ono kłamie.
Miej do siebie zaufanie.



Autorka podczas spacerów po buskim parku obmyśla fraszki

Beata Kępińska w mediach



„Echo Dnia”
3 lipca 2015



Wizyta ekipy TVP Kielce w domu Beaty Kępińskiej w Baszowicach



Z antologii 44. Warszawskiej Jesieni Poezji

Romuald Bielenda

Ogród zapachów

Będziemy
gdzie nadzieje Radków
zstępują w urodę przemian
gdzie włóczęga twórców
poluje na poetycką przygodę
a klauzulowy zakon modli się
za grzech pisarza
 zapisany w *Dziennikach*
gdzie Kaśka Zaborowska i Maria Biskupowa
zdobiły strofy poezji
 pasiakami wyobraźni
Będziemy
dopóki Łysica – moja góra domowa
i pielgrzym ze Słupi
nie ogłoszą końca wędrówki
 w ogrodzie zapachów tej Ziemi

Anna Błachucka

Sonet sierpniowy

Nie wiem, kim jestem: poetyckim chłopem,
czy może chłopskim poetą... A może
nocą poetą się czuję, a potem
rano chłopem – gdy już koszę zboże?

We mnie poeta wciąż nad słowem ślęczy,
czasu nie liczy, o strawę nie pyta...
Chłop – sierpień gotów jest nawet zamęczyć,
byleby sprzątnąć ostatnią garść żyta.

Sam nie wiem, kiedy jestem bardziej syty:
wtedy, gdy dojrzał wiersz, czy chleb się dopiekł.
Czy wiersz był pierwszy, czy też chleb spożyty

sprawił, że jestem już na prawdy tropie.
I kiedy deszcze zalewają sierpień
– rozpaczą chłopą i poety cierpię.

Redukcja obyczajów

Mój dziarski pradziadek, charakterny Ślązak,
z Polką jedynaka sakramentem związał.
Ojciec mój rzekł śmiało:
– Chcę synową białą.
Ja marzę, by mój syn z kobietą się związał.

Irena Stopierzyńska-Siek

włókno życia

w gorącym liściu prasumienia
zwiniętym w mocne nerwów nici
jak żyłka rtęci – wyczulenie
na każde szczęście i nieszczęście

jak wytłumaczyć włókno życia
różnoszepczące, różnoszkliste
bieg powtarzany w nieskończoność
przez przebaczenia i zużycia

w tym, co mierzaniem jest granicy
płaszczyzn bez nazwy, bez imienia
wąskość minuty, skurcz tętnicy
ograniczeniem przekroczenia.

Maciej Andrzej Zarębski

Przemijanie

Czas, spokojny czarodziej losu,
spogląda z wysoka na
otaczający nas wszechświat.
Ze świadomością jego okrucieństwa
i niezmierzonej siły,
oddajemy się mu w niewolę...

Imieniny Stefana – Centrum Edukacyjne „Szklany Dom”, Ciekoty 5 września 2015



Kier. Krystyna Nowakowska otwiera uroczystość i wita przybyłych gości



W imieniu świętokrzyskich literatów wypowiada się Magdalena Węgrzynowicz-Plichta



Zdjęcia M. Węgrzynowicz-Plichty



Wirtualnie i realnie

(Fragment opowiadania z tomu *Życiem pisane*)

Obudził się z ciężkim bólem głowy, nie wiedział, czy to myśli, które nawet w nocy nękały go, powodując wielokrotne przewracanie się z boku na bok, czy wczoraj wypity w nadmiernej ilości alkohol. Zanim usiadł, spojrzął na drugą poduszkę obok, nie była ani odrobinę wgnieciona. Prawda, od dawna przecież sypiali osobno, a on, jak zwykle, dość rzadko przemieszczał się w łóżku. Bo też może to było, od niedawna z modnym i arcywygodnym wodnym materacem. Dwadzieścia jeden lat małżeństwa spowodowało, że nie musieli już zasypiać wtuleni w siebie, niby dwie łyżeczki w szufladzie – określenie, które kiedyś gdzieś wyczytał i bardzo mu się spodobało... a budzić z poczuciem ciasnoty, brakiem miejsca na rozrzucone nogi, na ręce rozłożone szeroko. Nie musieli robić sobie wyrzutów, że któreś z nich zachrapało, wadzić, czy spać przy uchylonym, czy szczelnie zamkniętym oknie. Teraz od wielu już lat sypiali osobno. Odwiedzali się tylko i te małżeńskie wizyty przed kilku laty nader sobie chwalił, lubił, zwłaszcza gdy ona przybiegała do niego w leciutkiej koszulce nocnej, pachnąca kąpielą i kobiecością, atrakcyjna mimo upływu lat. Czas był dla niej łaskawy, czas, któremu pomagała rozlicznymi zabiegami kosmetycznymi, a o których wolał nie wiedzieć. Niedawno przyprawiła mu rogi, życzliwi nie omieszkali poinformować go o tej zdradzie, ale wspólnota majątkowa i dziecko, ukochana jedynaczka, kazały mu wybaczyć. Skończyły się jednak te małżeńskie randki.

Nagle przypomniał sobie miesiąc miodowy spędzony w Sopocie. Ewa miała trochę semicką urodę, łatwo się opalała, toteż gdy spacerowali brzegiem plaży, a morze omywało im stopy, cieszyły go samcze zazdrosne spojrzenia biegnące za nią. Była dość biegła w sztuce miłości, probowali różnych pozycji, wyszukanych w *Kamasutrze*, chętnie sześćdziesiąt dziewięć, nawet lubiła seks oralny, uwielbiała pieszczotę piersi, nigdy się nie zgodziła na penetrację analną. Nie była cnotliwa, gdy szli do ślubu, ale na Pradze rzadko która szesnastka ścisnęła błonę dziewiczą. A ona wtedy była już studentką w Wyższej Szkole Handlowej, nie mieszkała w domu, nie pytał dlaczego. Poznali się na jakiejś imprezie studenckiej, okazało się, że to rodaczka z Pragi, ale nie znali się wcześniej. On choć nigdy nie studiował, lubił atmos-

ferę studenckich zabaw, zaś mając już trochę kasy rwał co ładniejsze, a jednocześnie łatwe i chętne laski. Początkowo nie było to nic poważnego, ale kiedy zaszła w ciążę, poczuł nie tyle, że nie potrafi jej zostawić, ale że bez niej jest mu źle. Podjął taką próbę... dwa tygodnie bez Ewy; dostrzegł, że to nie to, zaraz potem oświadczył się i wzięli ślub.

Kiedyś na plaży wieczorem figlowali w koszu, białe majteczki Ewy od kostiumu bikini spadły na piasek, później w łazience hotelowej myli się pod prysznicem, przyparł ją do ściany i wziął po raz drugi. Spacerowali po molo, brzegiem plaży, morze omywało im stopy. Ewa zbierała muszelki, znalazła nawet kawałek bursztynu. Kilka razy odwiedzili lokal z dancinikiem. Tańczył niezbyt dobrze, podobno trochę ją podeptał, później masował stopki i paluszki. Wokalistka zaśpiewała stary przebój Kasi Sobczyk: „Gdzie jesteś mały książę, gdzie? Poruszali się powoli, zgodnie z rytmem, a Ewa szepnęła, kładąc mu głowę na ramieniu: – tutaj, tutaj jest mój książę.

Wędrowali jeszcze trochę przez Polskę, zahaczyli o Kraków i Bieszczady, ale ponieważ była w ciąży, nie chciał jej za bardzo forsować, trochę wymiotowała, bywała senna, toteż wrócili. Z jednorocznym opóźnieniem – urlop dziekański, macierzyński – skończyła swoje studia, ale nie pozwolił jej pracować.

– Więc co, mam leżeć i pachnieć? – buntowała się.

– Tak właśnie lubię – zdecydował. Dziecko, rozkoszna dziewczynka, dawała im wiele radości, rosła zdrowo, mało płakała jako niemowlę. Pamiętał, z jakim lękiem brał tę kruszynę na ręce, ale stopniowo oswajał się z jej kruchością i nawet kąpał ją, gdy udawało mu się wcześniej wrócić z pracy.

Ewa kilka lat temu poszła do pracy na pół etatu, Asia była już w gimnazjum, i wtedy właśnie na wyjeździe integracyjnym wylądowała w łóżku innego faceta, kolegi z pracy. Życzliwi nie omieszkali go zawiadomić, dostała po buzi, a tamten blondyn nieco ślamazarowaty mocno oberwał, ale skargi nie złożył, też był żonaty. Wrócił *status quo*, Ewa zostawała w domu, o rozwód nie wystąpił, separacji formalnej też nie mieli, ale i tego, co się nazywa pożyciem małżeńskim, także.

Ryszard w ogóle lubił kobiety uległe, kotki mrużące, czasem tylko pokazujące pazurki... Ewa

miała „charakterek”, jak on nazywał, ale lubił w niej tę pewną hardość. Córka, jedynaczka, dorosła już i zakochana dwudziestolatka, zapowiadała, że niebawem przyprowadzi do domu swego chłopaka, to też, a nie tylko kac maleńki, ale jednak... po wczorajszym pijaństwie potęgowało ów ból głowy. Tak niedawno dziecko, urocza dziewczynka, wpatrzona w tatusia jak w obrazek, teraz powtarzała niby mantrę: „Artur to, Artur tamto, a bo Artur...” – prawie znienawidził owego Artura. Gdyby spróbował ją skrzywdzić... niechby tylko spróbował... zabiłbym go własnoręcznie i to nie przy pomocy pistoletu czy noża lub trucizny, o nie, a miał przecież pozwolenie na broń – pięścią, po prostu pięścią jak Muhammad Ali.

A cios miał mocny, wiedział o tym. Wiedział od wczesnochłopackich lat, gdy na ulicach Pragi ustanawiał własny hierarchiczny porządek, walcząc o miejsce w prawie wilczym stadzie podobnych sobie ponurych wyrostków. Cios miał mocny, a i pięści, jak bochny... Z upodobaniem popatrzył na swoje ogromne, choć wypielęgnowane dłonie. Daleko odszedł od Brzeskiej i Wileńskiej, wśród których wzrastał, sam doszedł do wszystkiego. On, teraz prezes spółki, wycwaniony przez ulicę, uwłaszczony zgodnie z programem przemian, jakie dokonały się w kraju po okrągłym stole. Stał się zamożnym przedsiębiorcą, teraz budował dom, rezydencję prawie na strzeżonym terenie. Spełniało się jego od dzieciństwa hołubione marzenie, jego, dziecka podwórka, podwórka-studni... Wreszcie jestem kimś, doszedłem do czegoś sam, może tylko kosztem ustępstw, przesuwania granicy odporności moralnej... Ale, jak mawiała matka: nie ma róży bez kolców, mógłby więc odczuwać satysfakcję, gdyby tylko nie ta zgryzota... Nawet w łazience i przy porannej kawie nie przestawał myśleć o Asi, która być może wkrótce odejdzie, założy własną rodzinę. Nie chciał się zniżyć do śledzenia własnej córki, o nie, jeszcze nie upadł tak nisko, ale wiedział już, że spotykali się na Krakowskim Przedmieściu obok uniwersytetu, a później szli sobie do Ogrodu Botanicznego albo do Łazienek, spacerowali po Agrykoli, trzymając się za ręce. Jacy romantyczni – drwił w duchu. Spacerowali, czasem przysiadając przed pomnikiem Chopina, nie wiadomo skąd u Asi wzięta się miłość do jego mazurków, przechadzali się, by wreszcie wylądować w wynajmowanej kawalerce Artura. Asia wracała z tych spotkań z błyszczącymi oczami, zarumieniona, upięk-szona miłością jak dobrym kosmetykiem i zabiegiem u wizażystki. – Co, tato, nie śpisz jeszcze? – pytała obojętnie, niepomna na jego niepokój, i przemykała do łazienki, a później do swego pokoju. B.M. S.

Na chwilę

Jesteśmy tu tylko przelotem, na chwilę
Dostajemy w dzierżawę domy i ogrody,
meble i naczynia, ubrania i książki,
w których podkreślenia lub ołówkiem notki
to świadectwa naszego krótkotrwania.

Niektórym wystarczy w gazecie nekrolog,
prośba o modlitwę wyryta na płycie.
Inni marzą o filmach, gdzie żywych udają
lub o taśmach zazdrośnie strzegących ich głosu.

Większość czerpie radość istnienia w prawnikach
wierząc w dziedzictwo krwi i charakteru.
Nielicznych tworzy ich myśli i ręki
utrzymują w wierze o nieśmiertelności.

Ludzie na obrazach zastygli
w dziwnych pozach na wieki
Uśmiech i grymasy z ich twarzy nie schodzą
Jedni wiecznie młodzi, inni od zawsze starzy

Literówki przetrwały
mimo zmian pisowni,
a tekst wciąga i wzrusza
od stuleci tak samo.
Nuty wskrzeszają melodie
śpiewane i grane przez lata.
Więc taka byłaby nieśmiertelność?



Uta Przyboś: *W drodze*

Pierwotna tajemnica

(z cyklu *Niepokoje*)

Jesteś kobietą
na którą patrzę
jak na odległą gwiazdę

Widzę dalekie pulsujące
zielone światło

Jesteś kobietą

jest w tobie
Pierwotna Tajemnica
o której tak niewiele wiem
to tylko że stworzyła
wszystko co mnie otacza
i to czego nie widzę

Kocham w tobie to że
to ty przedłużasz
istnienie świata

dajesz co we mnie najlepsze
to z czego ukształtowała mnie Tajemnica
abym miał swoją nadzieję

Wspomnienia

(z cyklu *Niepokoje*)

Miasto moje ujrane
przez różowe szkło
wspomnień
stare obrazy płyną
utartą ścieżką chmur
te krajobrazy wiszą
na rzęsach i drżą
płyną jak łzy starą ścieżką
miniaturowe postacie dalekie
o całe powietrze
o tabun obłoków i przeszłych dni
płyną przeze mnie ulotnie
w kulach puszystych jak kot
rosną we mnie lata
w glorii marmurowych tablic

Widma przeszłych dni

(z cyklu *Niepokoje*)

Za krawędzią przeszłego Czasu
wszystkich dni miesiący
brodę przez świat siwy
odbijam się o szyby godzin
jak owad brzęczący
o pory roku spływające
wszystkie naraz
jak deszcz przez smutek szyb
gdzie widać drzewo drogę
i uschnięte liście klonów
brnę w nie coraz dalej
w pejzaż co w wyobraźnię
miętko wsiąka
w koronkowy motyw obrazu
gdzie słychać idące obok mnie
rozkołysane echem
smukłe widma przeszłych dni
w rozdwojonych wrotach Czasu

Wieczory

(z cyklu *Niepokoje*)

Codziennie wieczór sypie
cieniem w oczy
żałobne motyle drżą trwożliwie
zwiędli przechodnie
na pięcioliniach ulic
asfaltowymi nitkami
noc się przechadza

czy widzisz?
mostem płynie pociąg
w grzmiącej groźbie
w szybach światło
zwiędłe i półżywe
płynie w oknach
niesie spojrzenia wieczorami
niewypatrzone

Który jesteś

Tobie się zwierzam

Łączy mnie z Tobą transdelicznie bezkres
Ty mnie posyłasz Idę tam
gdzie zechcesz
Tam jestem

Chwila przy chwili
Jak drzewo przy drzewie już las
Ty mnie posłałeś po jagody w lesie
Bym poznał czym smak jagód jest
a czym czas

W locie szlachetny gołąb
Niełatwo mi się z gołębiem równać
Choć we śnie gołębie skrzydła
z przyczyny jakiej? i nie wiadomo skąd
ty mi przypinasz do rąk

Modli się po swojemu modliszka
Cisza do wiatru do ciszy wiatr
W kaplicy łąki ptasi raj
To świata kościół
W kościele tym Ty i ja

Tobie się zwierzam

(z poematu *Zapisać w pamięć*)

* * *

Co by było
gdyby było

nie to by się śniło
(gdyby było)
i czas który jest
byłby nie ten

Dzień nie byłby ten
noc byłaby nie ta
i nie tak nie tak
wszystko byłoby nie tak

życie moje gdyby się spóźniło
gdyby się minęły chwila z chwilą

co nam dane są
co by było

gdyby było mi bez ciebie iść
gdyby było mi nie z tobą czekać
i uciekać
i uciekać
drogą co by była nie ta

Dzień nie byłby ten
Noc byłaby nie ta
I nie tak nie tak
Wszystko byłoby nie tak

Tren wigilijny

W Wigilię jak gwiazda matka świeci nad mogiłą
To Bóg się zestarzał już nie wie co miłość
Że dziecko w Wigilię z matką złamać chce
[opłatek

I powiedziec jej: Matko...

Wigilii matka słowem nie rozjaśni
To Bóg się zestarzał już nie wie co jasność
Że chce dziecko w Wigilię w oczach matki zasnąć
I powiedziec jej: Matko...

Z choinką czeka dziecko lecz matka nie przyjdzie
To Bóg się zestarzał upodobał w śmierci
Łzy z twarzy dziecka otrzeć chce matka w Wigilię
I powiedziec mu: Dziecko...

Pastorałka wigilijna

w wigilię Anioł wchodzi w drzwi
opłatek z chlebem niesie w sianie
w opłatku czas przypomni dziś
kto rację ma po której stronie

za oknem gwiazda drży
za oknem nie śpi żołnierz
przez wioskę dzieci idą z Orłem
przez Polskę Car i Bóg

na Świerku Orzeł obok Anioł
z koroną w ręku przez czas mknie
w śniegach opłatka Car na saniach
pędzi z kibitką pędzi przez wiek

za oknem gwiazda drży
za oknem nie śpi żołnierz
przez wioskę dzieci idą z Orłem
przez Polskę Car i Bóg

pęka powoli gips i kokon
w opłatku Anioł pyta czy
car się przypomni znów epokom
czy z racji naszej – tylko mit?

za oknem gwiazda drży
za oknem nie śpi syn
przez Polskę chłopcy idą z Orłem

–
i tak będziemy szli

6 XII 1981

Sonet wigilijny

spór dziś w Wigilię, dziejów krzyk przewodzi
z prawd ważnych prawem nie wina lecz kara
Bóg chciałby dzisiaj wszystkich nas pogodzić
bezzadnie na okrucach siana

kat wielbi konia lecz zabije ciebie
kpi mur z obłędu milczy śmierć na stepie
Bóg za nas dzisiaj bezzadnie się wstydzi
iż miast nas inni żyliby tu lepiej

nad synem matka choć syna już nie ma
w biegu ojczyźnie zwiodła go opatrność
śni syn dzieciątko leżący na baczność

leżąc na sianie Bóg chciałby powiedzieć
do nas w Wigilię bezzadnie skłóconych
że już nie dałby nam swej wolnej woli

1982

Kantyczka spod smyczka

dla Jakuba i Macieja

Leć Syneczku, leć.
Śpij Syneczku, śpij.

Przez świat leć,
przez świat leć.
Wracaj, gdy Ci będzie źle.

Wracaj – leć – wracaj – leć.
W ten sam sposób pająk
plecie dla nas sieć.

Nie kpij z tego lecz też kpij.
Zawsze ma dwa końce kij.
Biegnij Synku, biegnij Dynku.
Nie przestawaj, idź.
Nie przestawaj śnić.

Narodził się Jezus, narodził.
Ukrył się gdzieś w samochodzie.

Wierz, że przemówi z łodzi,
Wierz, że będzie po Ziemi chodził.

Ziemia mała, maleńka jak groch
Niech omija Ciebie i Ciebie Zło.

Grudzień 1992

Henryk Jachimowski

W ŚKL (nr 3–4 2013) zamieściliśmy obszerny blok kołęd i pastorałek Henryka Jachimowskiego (s. 63–67), których zbiór – ze słowem wstępnym Elżbiety Kwasowskiej-Jachimowskiej – ukaże się niebawem staraniem Oficyny Wydawniczej „STON 2”.



Uta Przyboś: *Droga*

Pożegnanie Stefana Żeromskiego

Warszawa, plac Zamkowy, poniedziałek 23 listopada 1925 roku, pora południowa. Grupka mężczyzn z wieńcem to absolwenci Męskiego Gimnazjum Rządowego w Kielcach, którzy stawali się tutaj, by pożegnać Stefana Żeromskiego, swego szkolnego kolegę. Wszyscy uczyli się w tych samych, co on, starych murach, zasiadali w tych samych ławkach, choć w różnych latach. Czekają, aż dobiegną końca trwające od godziny dziesiątej ceremonie żałobne przed odprawieniem pisarza w ostatnią drogę.

Czas Stefana Żeromskiego, którego trawiła choroba serca, dopełnił się przed kilkoma dniami, w piątek 20 listopada o godzinie 11. Przyszedł na świat także w piątek, 14 października 1864 roku, w Strawczyniu na ziemi kieleckiej. Zmarł na drugim piętrze zamkowej oficyny, skąd ponad wierzchołkami drzew w ogrodzie rozciągał się, ginący w nieskończoności, widok na Wisłę, kopuły cerkwi za nią i wieże kościoła św. Floriana, w mieszkaniu, które zajął przed rokiem, opuściwszy z żoną Anną i jedenastoletnią wówczas córką Moniką willę „Świt” w Konstancinie (willa pozostanie przy rodzinie), gdy od prezydenta Stanisława Wojciechowskiego otrzymał apartament w rezydencji królów, obarczony wysokim czynszem zresztą. *W przeddzień śmierci* – zapamiętała Monika Żeromska – *był u ojca po obiedzie Antoni Słonimski i na moment wpadł Tuwim z bukietem pięknych róż*. Żeromski przyjął jeszcze Leona Schillera i Andrzeja Pronaszkę, którzy pracowali nad wystawieniem „Róży” w Teatrze im. Bogusławskiego i chcieli z autorem dramatu omówić propozycje inscenizacyjne. *Powitał nas z dawną serdecznością, jaką nas zawsze darzył. Wysoko wsparty na poduszkach, raczej siedział w tózku, niż leżał* – wspomni ten drugi. *Obiecał dać odpowiedź nazajutrz*. Mogli krzepić się wiadomością, że pisarz ma się nieco lepiej po wzięciu lekarstw, które akurat nadeszły z zagranicy. *Ale* – Pronaszko konstatuje – *mimo poprawy, źle wyglądał...*

Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się nad otwartą trumną wystawioną w przysposobionej na kaplicę, spowitej kirem, pełnej zieleni i zalanej światłem, sali kolumnowej na Zamku Królewskim. Nad zmarłym pochylał się jego naj-

bliżsi i przyjaciele, koledzy pisarze; na Zamku miał siedzibę Polski Klub Literacki. A gdy opadnie wieko trumny, wyniosą ją na dziedziniec zamkowy, gdzie spocznie na wysokim katafalku w asyście oficerskiej warty honorowej. Tu przed pisarzem skłoni się



prezydent Rzeczypospolitej. Potrwa, zanim ostatnia z długiego korowodu delegacja, złoży wieniec. Zbliży się godzina trzynasta, trumnę wezmą na swe ramiona pisarze, a protestanci duchowni wyprowadzą ten orszak na plac Zamkowy, gdzie uformuje się gigantyczny kondukt. Na trasie jego przemarszu zgromadzą się rzesze mieszkańców; warszawiacy skutecznie zażądają, aby skrócono dzień pracy. W sprawozdaniach prasowych będzie się mówić, że w tym iście manifestacyjnym akcie pożegnania duchowego herolda narodu uczestniczyło kilkadziesiąt tysięcy osób.

Kondukt pogrzebowy ruszy w zatopioną w szarościach stolicę – Senatorską, przez plac Teatralny, Elektoralną, Chłodną, Wolską do cmentarza ewangelicko-reformowanego przy Młynarskiej. Niebo nad miastem zaciągnęły ciemne, ciężkie chmury, na budynki i ulice spadła mgła nasycająca powietrze przenikliwą mżawką zraszającą bruk ulic, który lśnił, jakby je skropił deszcz, ale dopiero nieco później niewielkie, przelotne opady skłonią niektórych posiadaczy parasoli, by je rozłożyć. Ponury, trochę dżdżysty dzień, ale niezbyt chłodny jak na późnojesienny czas, bo termometry w owych godzinach wskazywały cztery, a chwilami nawet sześć stopni powyżej zera.

W konducie przed trumną kroczyli młodzi pisarze – Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń i Jarosław Iwaszkiewicz (*byliśmy jednego wzrostu* – napisze ten ostatni), niosący na amarantowej poduszce insygnia Wielkiej Wstęgi Orderu Polonia Restituta, którą został odznaczony Żeromski.

Iwaszkiewicz półwiecze później będzie wspominał, że cała Warszawa ruszyła za zmarłym pisarzem w powolnym, niespiesznym marszu, który miał coś z misterium: *Wtedy szło się piechotą na Młynarską czy na Powązki i pochód ten trwał godzinami. [...] Aleśmy szli od Zamku do Młynarskiej całe trzy godziny noga za nogą, tak jak szły kryte kirem rumaki wiozące trumnę. Za nimi trzech harcerzy w kapeluszach skautów z pochylonymi pochodniami, dalej niosący krzyż żałobnik z czarną przez pierś założoną, szeroką, z jasnym, zapewne srebrnym, obrzeżeniem szarfą, następnie czwórka duchownych z modlitewnikami, w biretach, w czarnych togach z wypuszczonymi na nie białymi befkami, swoistymi krawatami liturgicznymi nawiązującymi w ich Kościele do Mojżeszowych tablic. I karawan w potrójnym szpalerze: harcerze najbliżej, pisarze i akademicy dalej, kawalerzyści. Odkryta platforma z wysokim katafalkiem, ale nie widać na nim trumny, bo zarzucono ją biało-czerwonym okryciem i ginie pod wieńcami. Na wysokim koźle przewoźnik pod wężem w ceremonialnym, suto szamowanym dwurogu na głowie (Napoleon nosił taki „w poprzek”), w krótkiej, ledwie zakrywającej ramiona pelerynie, dzierżący wodze do czwórki karych, pod czarnymi czaprakami koni, których pierwszą parę prowadzą za uzdy karawaniarze. Uczestnicy i widzowie pogrzebu ściśle otaczają karawan, a trumna zda się płynąć ponad ich głowami niczym korab jakiś unoszony wezbraną ludzką falą; oto zdjęcie ukazujące nieprzebrane tłumy na placu Teatralnym.*

Gdy dotrze tu czoło konduktu, z balkonu Teatru Wielkiego gruchnie Marsz żałobny Chopina, którego odegra orkiestra Opery Warszawskiej pod batutą jej dyrektora Emila Młynarskiego. Jakże głębokie wrażenie wywarł ten utwór kiedyś na Żeromskim. Co się wydarzyło przed wieloma laty w kościele św. Krzyża podczas nabożeństwa za duszę Józefa Ignacego Kraszewskiego czekającego na marach drogi na miejsce wiecznego spoczynku; Żeromski dzięki znajomościom przedostał się do świątyni, obowiązywały bowiem wejściówki. Pod datą 26 marca 1887 roku taki pozostawił zapis w swym dzienniku: *Nigdy jak żyję nie słyszałem nic podobnego. Stają ci włosy na głowie: słyszysz huk armat, łamanie lanc, trzask pałaszy, jęki, zgrzyt, huk śmiertelny – a spośród tego wylatuje nagle płacz, zawodzenie dziewczyny, jęk matki czy śpiew szaleńca – i przylatuje do ciebie ten głos*

bliżej, bliżej i rani cię w serce. Porywają zmysły w taniec bezmyślny. To pieśń straszna, ostatnia pieśń barda – pioruny uczuć krzyżują się w niej. Nie mogło być lepszej mowy i lepszego uczczenia zmarłego starca. Stał milcząc tłum, łzy były w oczach, bladeść w twarzach. Umiesz czcić, Warszawo, twoich wielkich ludzi! Te ostatnie słowa chciałoby się odnieść do chwil, gdy ulice stolicy wypełnili mieszkańcy żegnający jego – Stefana Żeromskiego.

Funeralny pochód przemierzy prawie cztery kilometry, zanim dotrze do bram nekropolii, która stanie się miastem pisarza po tamtej stronie. Gdy przebrzmieją ostatnie słowa pożegnań i dopełnione zostaną religijne obrządki odprawiające zmarłego – czyjaś ręka rzuci na trumnę grudkę szarej ziemi i gałązkę paproci z Łysicy – góry panującej w najściślej ojczyźnie pisarza; on sam tak nazwał ową dookólną Ciekotom krainę, swój świat pierwszy – gniazdo jego dzieciństwa i młodości.

Na placu Zamkowym przy wieńcu z wplecionymi chryzantemami pozostawiliśmy grupkę mężczyzn przedstawionych jako szkolni – z kielckiego gimnazjum – koledzy Żeromskiego. Co wiemy o nich jeszcze? Na odwrocie zdjęcia ktoś skreślił ołówkiem: *Koło Kielczan* oraz nazwiska z inicjałami imion czterech osób i wskazaniem miejsca, gdzie są na fotografii. Przydamy im pełne imiona, powiemy, kim byli, przybliżymy ich biografie, pierwiej jednak wyjaśnić wypada, co się kryje za owym Kołem Kielczan. To każe nam się przenieść w przeszłość odległą od tamtych chwil kilkanaście miesięcy.

W połowie maja 1924 roku w Warszawie wyznaczyło sobie spotkanie *grono kielczan*, jak się określi garstka mężczyzn połączonych *wzajemnym porozumieniem*, zgodnie dzielących od dawna kielkującą w ich sercach myśl (to ich retoryka) zwołania w Kielcach szkolnego zjazdu koleżeńskiego. Jedni zakorzenili się po studiach w stolicy, inni powrócili w domowe pielesze, owych poniosło w różne strony, a wszystkich wiązały młodzińcze, pokoleniowe doświadczenia i wspomnienia wyniesione z tego samego miejsca – szkoły, którą w większości opuścili w latach osiemdziesiątych XIX stulecia, a więc byli to panowie w zacnym już wieku – przed, czasem po sześćdziesiątce.

Aby mógł się ziścić zamiar *zobaczenia dawnych kolegów, nawiązania z nimi ściślej tączności*, należało mu nadać odpowiednią formę realizacyj-

ną czyli sformować gremium, które przyjmie na siebie obowiązki koordynacyjne. Krótko mówiąc, powołano komitet organizacyjny zjazdu, który na pierwszym posiedzeniu 18 maja postanowił, iż odbędzie się on 7 i 8 września (za trzy i pół miesiąca!) w Kielcach, a do uczestnictwa w nim wezwano wychowawców (takim ówczesnie posługiwano się słowem) gimnazjum kieleckiego od 1870 do 1904 roku (ale stawią się także abiturienti ze znacznie wcześniejszych roczników: Stefan Bzowski – matura 1856, Stanisław Czarnowski – 1864, Władysław Czaplicki – 1866). Komitet wziął się energicznie do działania. W prasie krajowej i gazetach lokalnych umieszczono ogłoszenia i odezwy. Czytamy w nich m.in.: *Potrzebę zjazdu usprawiedliwia pragnienie każdego z nas odmłodzenia się wspomnieniami swego gniazda; ale poza tym zjazd może przynieść korzyść życiu historycznemu, jako związanie pokoleń poprzez półwiecze żywą tradycją, która uprzytomni, ile zyskaliśmy na odmianie losu narodowego. [...] Zjazd będzie miał charakter towarzyski, pozbawiony akcentów partyjno-politycznych, co do formy zaś nie wystawny (uczestnicy nie mają potrzeby brać z sobą fraków)*. Podpisali wszyscy członkowie komitetu; kielczanie z aktualnego ówczesnie adresu: ks. Bogumił Czerkiewicz – wikariusz generalny diecezji kieleckiej, Mieczysław Dygulski – notariusz, Wiktor Jaroński – sędzia, Karol Koziorowski – prezes Sądu Okręgowego oraz warszawiacy: Józef Kamiński – adwokat, Bolesław Markowski – wiceminister skarbu, Zygmunt Wasilewski – redaktor „Gazety Warszawskiej”, Edward Zienkowski – dyrektor Izby Skarbowej, Jan Zydler – dyrektor Gimnazjum im. Staszica, Stefan Żeromski. Nieco później do komitetu dołączą kielczanie Józef Dębicki – dyrektor Izby Skarbowej i Marian Grzegorzewski – prawnik, a z Warszawy – Tomasz Ruśkiewicz – inżynier, wybitny działacz gospodarczy, który szczególnie zasłużył się gimnazjalnej wspólnotie kielczan.

Kilka słów o zjeździe. Uczestniczyło w nim 176 byłych gimnazjalistów; nie przyjechał Żeromski, nie pozwolił mu na to zły stan zdrowia, przysłał list z życzeniami i pozdrowieniami. Z powitalnego wystąpienia Bolesława Markowskiego odnotujmy parę myśli, które niosą bardzo ważne w kontekście tamtych czasów przesłanie. Zgromadzeni w sali Resursy Obywatelskiej usłyszeli m.in.: *Zjazd nasz obejmuje lata 1870-1904 – okres całkowi-*

tego zrusyfikowania szkolnictwa w b. Królestwie Polskiem, okres rządów Wittego, Apuchtina i ich następców. W r. 1869-70 miało miejsce ostateczne wprowadzenie języka rosyjskiego jako wykładowego, a w r. 1905 – exodus uczniów Polaków ze szkoły rosyjskiej i początek walki o szkołę polską. Jesteśmy więc wychowawcami szkoły rosyjskiej – rosyjskiej z języka, bo nie z ducha! I cóż za dziwne zrządzenie losu! Na nas, wychowawców szkoły rosyjskiej, spadł obowiązek podtrzymania żywiołowego opuszczenia szkoły rosyjskiej przez naszych synów czy młodszych braci i stworzenia dla szkoły polskiej materialnych podstaw bytu. To było w okresie 1905-1914 roku. A teraz po wielkiej wojnie stokroć cięższe stanęło przed nami zadanie. Jesteśmy częścią tego zastępu inteligencji polskiej, którym przypadło w udziale kładzenie podstaw pod organizację niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej. [...]

To co powiedziałem prowadzi mnie do wniosku, że jednak w wielkiej części na nas, wychowawcach szkoły rosyjskiej, o ile chodzi o b. zabór rosyjski, leży w tej chwili dziejowej ciężkie brzemie i odpowiedzialność za losy państwa, że jest nas – inteligentów – b. mało, za mało, że spadły na nas nie przygotowanych nadzwyczaj ciężkie obowiązki, ale też i wielkie szczęście budownictwa odrodzonej Ojczyzny. Jeżeli nie brak nam patriotyzmu i umiłowania spraw narodowych, to zasługa naszych rodziców i starszego pokolenia, tego z 1863 roku, a także zasługa tych naszych nauczycieli Polaków, którzy w czasach największego ucisku potrafili przy każdej sposobności pielęgnować w nas miłość Polski i jej spraw.

[...] Tak więc, wbrew usiłowaniom wrogów, nie odjęta nam szkoła rosyjska ducha polskiego, być może, że go nawet zahartowała do walki i do czynu.

I jeszcze kilka refleksji z wystąpienia Zygmunta Wasilewskiego. Znany publicysta, krytyk literacki i działacz polityczny z niejaką emfazą, podobnie jak Bolesław Markowski, ale taka była ówczesna, w młodej Niepodległej, obywatelska dykcja i poetyka przemówień – nawiązał do czasów szkolnych swego pokolenia. *Nasza młodość nie była ani chmurna, ani górna. Ona była szara. W narodach wolnych na ścieżki dziecięce kładą się wesole światłocienie bądź od światła przeszłości zachodzącej tradycjami żywymi, bądź od zórz przyszłości. W naszych duszach było szaro. Nie mówiono nam ze strachu o przeszłości, o przyszłości zaś milczano,*

bo stracono nadzieję. Poza domem panowało jakieś straszne południe od słońca rosyjskiego, które było w zenicie swego władania, a dla nas było zimne. W okropnym tym świetle cienie przez nas rzucały cienie karłów. W duszy było szaro od stałego upokorzenia i beznadziejności, a raczej z braku uświadomień, jak dalece był beznadziejny ten nasz dzień. Nie trzeba jednak nigdy wątpić o słońcu, że jest za chmurą.

Obszerne sprawozdanie ze zjazdu oraz inne materiały dotyczące szkoły, jej dziejów, a przede wszystkim jej uczniów (wspomnienia, życiorysy, wykaz wychowanków) przynosi „Księga pamiątkowa kielczan” wydana po roku z inicjatywy i pod redakcją Tomasza Ruśkiewicza. Zjazd podjął

kilka ważnych uchwał. Zebrani poparli wniosek proponujący zwołanie w 1927 roku *ogólnego zjazdu wychowanków* z okazji przypadającego wówczas jubileuszu dwustulecia kieleckiej szkoły (zjazd się odbył). Z entuzjazmem odnieśli się do projektu zawiązania w Kielcach towarzystwa, które stawiłoby sobie za cel *udzielanie pomocy moralnej i materialnej pracującym na polu naukowym wychowankom szkół kieleckich*.

Jerzy Daniel

Początkowy fragment książki *Wierni sobie. W kręgu szkolnych kolegów Stefana Żeromskiego*, Oficyna Wydawnicza Scriptorum, Kielce 2015, s. 192.



Stefan Żeromski na Zamku Królewskim w Warszawie, 1925

Kondukt żałobny na Placu Teatralnym w Warszawie



Szkolni koledzy pisarza niosą wieniec

Fot. Jan Ryś, z archiwum Biblioteki Narodowej

Wyjątkowa opowieść o najnowszej historii

Z przyjemnością i dużym zainteresowaniem przeczytałem powieść Jana Engelgarda zatytułowaną *Klątwa generała Denikina*.



Książkę czyta się nielekką, z uwagą. Pisana prostym i zrozumiałym językiem, zaciekawia, jest intrygująca, nie jest to jednak powieść czysto literacka. Nie jest to dokument historyczny, acz zamieszczone opisy wprowadzają czytelnika w świat autentyczny, oparty na faktach historycznych.

Książka ta ma wymiar współczesny – polemizuje z przeważającą w polskim myśleniu ideologiczną i polityczną rusofobią. Nieźle oddaje klimat warszawski z lat 1918–1919, opisy domów, ludzi, zwyczajów, rozmów. Charakterystyka postaci, rys ich sylwetek nadaje im autentyczności.

Powieść przedstawia najbardziej aktualny i kompetentny rys historii okresu międzywojennego, w okresie 1918–1919, przedstawia nie tylko zagadnienia polityki międzynarodowej, lecz również wewnętrzne problemy poszczególnych regionów i krajów, które zaważyły na układzie

i przyszłym światowym porządku politycznym w Europie. Zwraca uwagę na fałsz, kłamstwa i przemilczenia w sprawie „białej Rosji” i sposób przedstawiania sprawy polskiej przez ówczesną publicystykę i polską opinię publiczną. Sam autor w postłowie do pierwszego wydania napisał, że: „jego zamiarem było pokazanie białej Rosji, przybliżenie polskiemu odbiorcy ludzi tamtej strony, ich zapatrywań i poglądów w szczególności centralnej postaci, jaką był gen. Anton Denikin”. Przystawia też sylwetki ówczesnych wpływowych polityków, mężów stanu i wojskowych, jak choćby J. Piłsudskiego, W. Lenina, F. Dzierżyńskiego, A. Dmowskiego, gen. Władimira Maj-Majewskiego, czy gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego.

Jest to nietypowe i wyjątkowe opracowanie zdarzeń opartych o historię, wypowiedzi polityków i polemikę.

Z polemiki tej (Jędrzej Giertych, Józef Mackiewicz, dr Paweł Bała, Jan Engelgard) dowiadujemy się o nieznanych faktach i poglądach, toczącej się dyskusji politycznej w ówczesnej Polsce. W licznych kołach uważano kontrrewolucję rosyjską za groźniejszego dla nas wroga od bolszewizmu. Uważano również, że kontrrewolucja na czele z Denikinem nie miała szans na zwycięstwo, gdyby nawet Polska udzieliła wsparcia i pomocy wojskowej. Dalej rozważając i analizując polityczne poparcie dla sprawy zwycięstwa kontrrewolucji w Rosji, można by wysnuć przypuszczenie, że zwycięstwo bolszewików mogło się wydawać Piłsudskiemu mniejszym złem dla Polski, niż zwycięstwo „białych” – a ostateczna rozprawa z nimi mogła być łatwiejsza niż z „białymi” w razie ich zwycięstwa.

W książce Jan Engelgard wyczerpująco i niezwykle kompetentnie omawia historię polityczną, gospodarczą i społeczną w okresie zaraz po uzyskaniu niepodległości Polski do czasów ustalenia się uwarunkowań politycznych w Rosji.

Znakomita książka, w której zasób podanych informacji i zakres dociekań dla zrozumienia przyczyn i uwarunkowań powstania później państwa sowieckiego i przejęcia władzy przez bolszewików, umożliwia czytelnikowi podążanie za narracją. Korzyść dla czytelnika wynika z konsekwentnie

prowadzonej narracji, jak i czytelnego, choć zarazem elokwentnego stylu.

Bohaterowie książki odegrali dużą rolę w życiu politycznym, a swoimi decyzjami wpłynęli jednak znacząco na rozwój europejskiego systemu polityki i powstania państwa polskiego, a także późniejszego ładu na mapie Europy – z dalszymi pozytywnymi i negatywnymi skutkami na rozwój sytuacji politycznej w Polsce i Europie.

Jeśli dobrze zastanowić się nad biegiem historii po roku 1917, to wiele konfliktów powstałych po tym okresie ma swoje źródło w wydarzeniach opisanych przez autora i prowadzonej nieudolnie polityki wewnętrznej i zagranicznej przez środowisko polityczne emigracji i polityków ówczesnej młodej jeszcze Polski, oraz bolszewickiej Rosji.

Książka przynosi solidną porcję wiedzy o nowożytnej międzywojennej sytuacji w Europie, a przy tym ma prawdziwe walory poznawcze, szczególnie drobiazgowo obrazuje rok 1919.

W konsekwencji rozwój życia narodowego i nacjonalizmu, określiły kształt Europy, w której dziś żyjemy. Autor nakreśla historię ruchów i partii. Niezwykle klarownie i zajmująco przedstawia dynamiczną ekspansję państwa komunistycznego, które na początku występowało w obronie wartości narodowych, nazwijmy – proletariatu, aby następnie obrócić się w ideologiczną dyktaturę proletariatu, wręcz zaborczą.

Książka jest próbą syntetycznego ukazania ewolucji stosunków społecznych i politycznych w Polsce okresu międzywojennego, a następnie czynników, które spowodowały narastanie konfliktów polsko-rosyjskich, którego apogeum przypada na okres wojny 1920 roku.

Korowód barwnych postaci ekscentryków, patriotów i zdrajców, dyletantów, ludzi motywowanych politycznie i zwykłych sprzedawczyków czy ignorantów, grę wywiadów czy kontrwywiadów przedstawia realistycznie i trafnie analizuje ich wpływ na wydarzenia wielkiej wagi dla przyszłej Europy. To oni odgrywali główną rolę poprzez swoją beczynność, karierowiczostwo,

lenistwo, obawy czy wręcz niechęć do zmian. Autor ujawnia przy okazji kulisy znaczących wydarzeń, roztaczając przed czytelnikiem złożoność europejskich losów i stroniąc jednocześnie od subiektywnych opinii.

Przedstawione wydarzenia europejskie, tam gdzie jest to konieczne, prezentowane są przez autora w kontekście polityki międzynarodowej i historii powszechnej.

Z analizy tekstu wynika, że autor jest znawcą transformacji ustrojowej i systemowej w krajach byłego bloku sowieckiego i Europy wschodniej, udowadnia, że brak określonej jednolitej polityki wschodniej i szybkich radykalnych decyzji ówczesnych polityków doprowadził do zwycięstwa bolszewizmu i obalenia dawnego porządku w Europie.

Książka jest rezultatem wieloletnich dociekań autora, pasji oraz ciężkiej pracy badawczej w oparciu o szereg materiałów historycznych mniej znanych czytelnikom i dotąd niepublikowanych.

Książka już egzystuje na własnych ścieżkach, na sobie tylko przypisanych autonomicznych obszarach wzruszeń i dyskursywnych argumentów, niejednego zirytuje, poruszy, przybliży prawdę, innemu poszerzy wiedzę historyczną czy wyjaśni rozumienie wielu spraw z historii dziejów europejskich. Wartość artystyczna i socjologiczna zasługuje na wyjątkowe potraktowanie ze strony recenzentów, badaczy i historyków literatury.

W konkluzji przytoczę własny pogląd, że powieść, taka jak ta, oparta na autentycznych wydarzeniach i przystępnie napisana, łatwiej trafia do większej liczby odbiorców, jest lepiej zrozumiana i budzi zaciekawienie. Polecam ją czytelnikom.

Jan Rychner

Jan Engelgard, *Kłątwa generała Denikina*, Capital Sp. z o.o., Warszawa, 2015, s. 402.



Wspomnienia o Piotrze Szczerskim (1953–2015)

Grzegorz Kozera

Piotr Szczerski – kronika zapowiedzianej śmierci

Książkę Marka Mikosa *Z butami do nieba*, nieprzypadkowo noszącą podtytuł *Piotra Szczerskiego Teatr życia i śmierci (1953–2015)*, można by też nazwać innym, Marquezowskim tytułem – kronika zapowiedzianej śmierci. Czytając ją, nie mogłem nie wspominać swojej znajomości z Piotrem.

To miała być książka inna od tej, która powstała. Piotr Szczerski, dyrektor Teatru im. Żeromskiego w Kielcach, w ubiegłym roku zaproponował dziennikarzowi i krytykowi teatralnemu Markowi Mikosowi, żeby ten napisał książkę... o Szczerskim, który w 2015 roku zamierzał świętować jubileusz 40-lecia pracy twórczej. Miała to być monografia pokazująca drogę twórczą i teatralny dorobek reżysera i dyrektora kieleckiej sceny.

Piotr Szczerski zmarł 28 maja 2015 r. Od lutego miał świadomość, że umiera, przygotowywał się do śmierci. Mikos też już wiedział, że będzie musiał napisać książkę inną od zaplanowanej. Zamiast monografii powstała więc praca *Z butami do nieba*, w której autor pokazuje i omawia dorobek teatralny Szczerskiego – krakowski i kielecki – ale w kontekście śmierci reżysera. W pewnym stopniu ta książka jest „kroniką zapowiedzianej śmierci”. Mikos zauważył bowiem, że Szczerski w swoich inscenizacjach od dawna oswajał śmierć, zanim jeszcze się dowiedział, że jest nieuleczalnie chory.

Oprócz lekkiego pióra, największą zaletą tej książki jest szczerść Mikosa. Sam Szczerski nie



chciał, aby napisano o nim panegiryk. No i tekst Mikosa na pewno nie jest pośmiertną laurką dla dyrektora. Mikos, i chwała mu za to, pokazał Szczerskiego jako człowieka trudnego, egoistę i trochę egotystę, ale też jako wspaniałego artystę, dla którego teatr był sensem życia. Ponieważ znałem Piotra, za taki prawdziwy portret ja osobiście też jestem Mikosowi wdzięczny.

Równoległe z publikacją Marka Mikosa ukazało się, przygotowane przez Grzegorza Cupera, zestawienie bibliograficzne obejmujące okres dyrektorowania Szczerskiego w kieleckim teatrze, a więc lata 1992–2015. Cuper sporządził wykaz



obsad i recenzji wszystkich premier wystawionych w tym czasie, również wywiadów z Piotrem Szczerskim. To publikacja – jak większość bibliografii – czytelniczo nieefektowna, za to niezmiernie przydatna tym, którzy będą kiedyś pisać o kieleckiej scenie i jej dyrektorsze. Dla mnie, prywatnie, też jest ważna, ponieważ przy okazji dostałem spis moich recenzji kieleckich przedstawień.

A było ich sporo – w ciągu prawie czternastu lat popełniłem ich chyba z 60 – zamieszczanych w „Słowie Ludu”, ale też w „Przekroju”. Piotra poznałem na przełomie 1992 i 1993 roku, wkrótce po tym, jak napisałem recenzję z *Parad Potockiego* w jego inscenizacji. Spektakl średnio mi się podobał, choć Piotr był z niego zadowolony. Z recenzji oczywiście mniej.

Potem tak się to przeplatało: gdy moje oceny kieleckich przedstawień były negatywne, Piotr mówił do mnie w charakterystyczny dla siebie sposób, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby i wrzucając jakąś złośliwość. Gdy chwaliłem spektakl jego lub innego reżysera, Piotr powściągliwie przyznawał mi rację. Po latach

miał okazję zrewanżować mi się w ocenach tego, co piszę. Moja *Droga do Tarvisio* podobała mu się (może dlatego, że wspominam w niej o jego *Procesie*), a kolejną powieść *Berlin, późne lato* uznał za wtórną wobec Fallady (ja oczywiście byłem innego zdania). Owszem przez dłuższy czas był pewien dystans między nami, wynikający z relacji artysta – krytyk, lecz przecież często udawało się go przełamywać. Dwa spotkania promujące moje tomiki poetyckie odbyły się w teatrze; w czasie jednego Piotr zapytał mnie, czy mógłby zarecytować jeden z moich wierszy (zdaje się był to sonet *Ramiona*), a ja rzecz jasna zgodziłem się, bo uznałem to za zaszczyt. Pamiętam też, że razem pojechaliśmy jego służbowym polonezem do Jana Krzysztofczyka. Piotr znał z „Dialogu” sztuki Janka, lecz nie wiedział, że autor mieszka w Wiośnie, pół godziny jazdy od Kielc. A ponieważ przyjaźniłem się z Jankiem postanowiłem, że zawiozę Piotra do niego. To spotkanie zaowocowało prapremierą spektaklu *Podział. Święcone na pół*. Piotr tego nie reżyserował, nad czym zresztą ubolewałem, ale kilka lat później wziął już reżyserską odpowiedzialność za *Kłopot Pana Boga* Krzysztofczyka. A skoro mowa o sztukach autorów z kieleckiego środowiska, to nie sposób nie powiedzieć o świetnym dramacie Andrzeja Lenartowskiego o pogromie kieleckim *Spotkamy się w Jerozolimie*. Piotr zdecydował się wystawić tę sztukę w 50. rocznicę pogromu i była to odważna decyzja. Byłem pełen uznania dla niego.

Po jednej stronie barykady stanęliśmy też z Piotrem w połowie lat 90., gdy ówczesne władze samorządowe intensywnie zabiegały o przeniesienie siedziby teatru z zabytkowego, XIX-wiecznego budynku przy ul. Sienkiewicza do Kieleckiego Centrum Kultury. Piotr nie wyobrażał sobie tego, zdawał sobie sprawę, że w dużym budynku KCK kielecka scena utraci swego ducha. W dziennikarzach znalazł sojuszników – wsparliśmy go w tej batalii, która zakończyła się sukcesem – Teatr im. Żeromskiego pozostaje w starej siedzibie do dzisiaj.

Jak ważny dla teatru jest to budynek, mogą zaświadczyć wszyscy stali bywalcy kieleckich premier. Piotr Szczerski potrafił zresztą znakomicie wykorzystać dla potrzeb teatralnych architekturę starego hotelu przy ul. Sienkiewicza. Robił to kilkakrotnie, według mnie najlepiej w inscenizacji Kafkowskiego *Procesu* i w *Beckettcie*. U Szczer-

skiego „grały” nie tylko duża i mała scena, również jaskółka, foyer, korytarze, schody, teatralny dziedziniec i wszelkie zakamarki. Ale przecież równie kapitalnych, choć wystawianych „jedynie” na dużej scenie spektakli miał więcej: *Miłość na Krymie*, *Zemsta*, *Król Lear*, *Korowód*, *Skąpiec* czy *Opowieści lasku wiedeńskiego*, żeby wymienić tylko niektóre. Już z tego widać, że Piotr doskonale się czuł w inscenizacjach zarówno klasyki, jak sztuk współczesnych. Wprawdzie w ostatnich latach dopuścił do głosu młodych twórców, którzy na kieleckiej scenie wystawiali nowatorskie, odważne autorskie przedstawienia, to jemu samemu – jak sądzę – bliższa była awangarda spod znaku Mrożka i Becketta.

A wracając do klasyki – w lutym 1998 Szczerski wystawił Mickiewiczowskie *Ballady i romanse*. Oficjalna premiera miała miejsce w Londynie – w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym, gdzie kielecki teatr wystąpił na zaproszenie Anny Grabani-Richards, prowadzącej nad Tamizą Teatr Małych Form. To był dla mnie o tyle ważny spektakl, że pojechałem do Londynu jako jedyny dziennikarz, a wyjazd zaproponował mi właśnie Piotr. Przez tydzień na bieżąco informowałem w „Słowie Ludu” o przygotowaniach, a potem zdałem relację z londyńskiej premiery, na której był obecny m.in. ostatni prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski. Pobyt w Londynie to były także wspólne – z Piotrem i aktorami – kolacje, zwiedzanie miasta i muzeów. Dzisiaj wspominam to z nostalgią.

Ostatni raz dłużej rozmawiałem z Piotrem Szczerskim po premierze sztuki Hanocha Levina *Jakiś i Pupcze* w jego reżyserii. Gratulowałem mu spektaklu, powiedziałem, że cieszę się, iż wrócił do wysokiej formy. Piotr wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego ze swego teatralnego dzieła. I takim chcę go zapamiętać.

Grzegorz Kozera

Marek Mikos, *Z butami do nieba. Piotra Szczerskiego Teatr życia i śmierci (1953–2015)*, Stowarzyszenie Przyjaciół Teatru im. Żeromskiego, Kielce 2015, s. 122.

Grzegorz Cuper, *Dyrekcja Piotra Szczerskiego 1992/1993 – 2014/2015. Zestawienie bibliograficzne. Premiery. Obsady. Recenzje*, Teatr im. Stefana Żeromskiego, Kielce 2015, s. 60.

Dyrektor

Kielce dawno nie widziały takiego pożegnania. Mimo że pogrzeb odbywał się w czasie tak zwanego długiego weekendu, w środku pięknego dnia, Piotrowi Szczerskiemu w jego ostatniej drodze towarzyszyły tłumy. Zastąpił na to aż tak? Jeszcze tak niedawno, świeżo po ukazaniu się w „Projektorze” mojej recenzji z *Hemara poety przeklętego*, zadał mi pytanie – Aż tak? – Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie bujam na papierze. Nie potrafię. Popatrzył mi w oczy, uwierzył i uśmiechnął się.



Jest początek lat dziewięćdziesiątych. Nareszcie ludność bierze sprawy w swoje ręce. Upadają zakłady pracy, powstają firmy handlowe, a nawet firmy produkcyjne. Z kultury odpływają kadry do tzw. biznesu. Społeczeństwo uczy się poruszać w nowej rzeczywistości. Od dworca, omijając rozkładane łóżka z wszystkim tym, czego jeszcze niedawno nie było, idzie „sienkiewką” nowy dyrektor kieleckiego teatru. Nie sam. Z Krakowa przywiózł ze sobą współpracowników. Przed wszystkim Jurka Sitarza. Przywiózł też prawdziwie krakowskie nawyki. Wygrał konkurs, choć

brakuje mu niemal wszystkiego. Poza kierowaniem studenckim Teatrem 38 ma niewielkie doświadczenie zawodowe. Jak na urzędnicze pojmowanie świata, za młody na takie stanowisko. Obcy, niezakorzeniony w tak zwanym środowisku. Nietypowy. Na dyrektora brano zazwyczaj kogoś z tzw. nazwiskiem. Czasem osobę traktującą pracę w Kielcach jak swoiste zesłanie, czasem jako karny przystanek w drodze po sławę i pieniądze. Teraz zabrał się za pracę człowiek zupełnie inny.

– Powinien przegrać! – zacierając łapki, pomyślał ktoś z liczydłami. Wyszło mu na nich, ile budżet zaoszczędzi na likwidacji tej „zbytecznej instytucji”. Szanse na to z takim nieopierzonym do końca artystą wydawały się spore. Tymczasem chłopina wziął się do roboty i mozolnie, krok po kroku, zaczął odwracać niebezpieczne dla siebie i teatru trendy. Zanim wszyscy zrozumieli, także pracujący w budynku na Sienkiewicza, że istnieje tylko dla teatru, upłynęło sporo czasu, w którym krystalizująca się ekipa przestawiła wajchę i puściła teatr Żeromskiego w innym kierunku. Zawalczyła o widza. Tzw. zwykli, a nie zorganizowani widzowie, zaczęli chodzić na spektakle. Wymagało to różnych skutkujących w dłuższej perspektywie sposobów. Także ustępstw co do repertuaru. Pojawiły się wodewile, komedie, również sztuki bardziej bezpośrednio, wprost



mówiące o współczesnych widzom problemach. Być może za bardzo wprost? Serce zakochanego w Becketcie, w Mrożku, zmagającego się z Kafką, otwartego na awangardę formalną artysty krwawiło, jednak dyrektor zacisnął zęby i robił swoje. Krok po kroku. Wprowadzał też bardziej ambitne pozycje. Szło opornie, ale najgorszego uniknął. Teatr na dobre wypłynął z morza czerwonego na płaskowyż wolnego rynku. Mając już publiczność czekającą na kolejne premiery, teatr otworzył się na nowe prądy. I wtedy nastąpił zupełnie nieoczekiwany atak. Tym razem nie jakiś księgowy, nie lokalny polityk o wąskim czółku, nie obrażony aktor, w końcu nie wściekły z powodu swoich niemożliwych do zalecenia kompleksów krytyk. Tym razem odezwał się organizm dyrektora. Upomniał się o swoje brutalnie, nieznośnie. Wytrącił z rozpędu, kazał stanąć w pół kroku. Wiem, że nic nie dzieje się bez powodu. Pewnie i tym razem tak właśnie było.

Kiedy podźwignął się trochę i wrócił do pracy, to tak jakby dostał doładowanie. Tak jakby chciał nadrobić stracony sezon, a może... Właśnie. Może jeszcze zrobić wiele, póki dany mu będzie jeszcze jakiś czas? W tym antrakcie powstały głośne, znaczące spektakle.

Niestety, nie wszystkie zamiary udało się spełnić. Zrealizowany w zamiśle jako testament, ostateczna wypowiedź *Kordian*, nie wytrzymał próby tak umiejscowionej poprzeczki. Może to i dobrze? Może Piotr Szczerski, artysta, jest właśnie taki niedokończony? Taki trochę „studencki”, jak jego Teatr 38, gdzie zdobywał artystyczne szlify. Gdzie zarażał zapałem do sztuki całą grupę wrażliwych ludzi. Wielu zaraził „śmiertelnie”, na trwałe. Z niektórymi osobami współpracował do końca; niektórych w sensie zawodowym, można by powiedzieć, stworzył.

Pora wreszcie powiedzieć o jego największym osiągnięciu: zespole teatru Żeromskiego. Aktorzy poprzez pracę nad różnorodnym repertuarem, poprzez pracę także z różnymi reżyserami osiągnęli znaczny poziom umiejętności. Stanowią wyrównany ansambl. W każdym spektaklu regułą jest, że żaden epizod nie odstaje od całości. Potrafią śpiewać. Liczne nagrody na festiwalach teatralnych i to, że o pracy artystów kieleckich jest głośno, wzmacnia ich. Pozwala wierzyć we własne możliwości. Zespół to również otoczenie pracujących na scenie i przy niej dużej klasy fachowców. Bardzo istotny jest tu nowocześnie

działający marketing. Dyrektor, choć sam w dużej mierze stworzył to grono, zasięgał jego opinii. Inna rzecz, czy zawsze się z nią liczył, ale w każdym razie była dla niego ważna. Tak jak najważniejsza była opinia coraz wierniejszej widowni.

Pewne dobre rzeczy, co rozumiałe, odziedziczył, ale dał temu całemu towarzystwu zaiste nowe tchnienie. Piotr Szczerski pozostawał przez całe życie wrażliwym na piękno człowiekiem teatru. Dorósł przy tym w naszym mieście do roli, jaką przyszło mu pełnić. On budował teatr i teatr kształtował jego. Pewne błędy w kierowaniu zespołem ludzkim, wynikające z przywar charakteru, nadrabiał całkowitym oddaniem sztuce. To nie było miejsce pracy, nie trampolina do jakiegoś skoku w stołeczne zaszczyty. To było dla niego wszystko! Przytoczę wymowną dla jego hierarchii wartości anegdotę. Muzykowi, który zachodził do teatru, będąc nie całkiem trzeźwym, powiedział: – Jak w takim stanie przychodzisz, szkodzisz nie sobie, ale szkodzisz teatrowi!

Z powodu tej, pełnej oddania wobec sztuki postawy, wielu darowało mu jakieś swoje bardziej lub mniej uzasadnione pretensje. Do znajomych i współpracowników docierało, że liczyły się tylko teksty, które bądź jako reżyser, bądź jako dyrektor realizował! Ryzykował, pozwalał młodym adeptom reżyserii na start. Potrafił też tupnąć nogą i powiedzieć „nie”, gdy to, co oferowano, nie wytrzymało poziomu artystycznego. Odrzucał efekciarstwo dla efekciarstwa. I jeszcze ten nieśmiertelny problem: czy Kielce wciąż są Klerykowem, czy też już nie? Biorąc literacko-kulturalny charakter pisma, dla



Z próby do spektaklu *Jakiś i Pupcze*

Fot. Grzegorz Kaczmarczyk

którego piszę, nie powiem, gdzie Piotr Szczerski miał takie dylematy. Tu należy upatrywać genezy jego pomysłu zmiany patrona z Żeromskiego na Mrożka. Na tym poziomie refleksji, na jakim się znajdował, kompleksy zwyczajnie nie istnieją. Może prywatnie, ale on nie istniał prywatnie. On cały był teatrem.

Pozostajemy z żalem, że takiego człowieka polski teatr traci właśnie wtedy, kiedy był najwyraźniej gotowy do największego skoku jako artysta. Za sobą miał te kilkadziesiąt wyreżyserowanych spektakli; te dwadzieścia trzy lata kierowania nie tylko stroną organizacyjną, ale przede wszystkim artystyczną teatru Żeromskiego. Dojrzał jako człowiek, zrozumiał bardzo wiele z tego, co go w życiu spotkało, nabrał wartościującej „patyny”. Kiedy ostatni raz widział się w szpitalu z przedstawicielką – jak należałoby powiedzieć – rodziny teatralnej, prosił o przekazanie, że przebacza wszystkim i o to samo prosi dla siebie. Oto człowiek...

Bardzo dziękuję za pomocne w napisaniu tego wspomnienia rozmowy z paniami: Małgorzatą Jasiak, Renatką Głasek-Kęską, Halinką Łabęcką; panami: Jurkiem Sitarzem, Dawidem Żłobińskim i Andrzejem Skorupskim.

Grzegorz Rak

Postscriptum od redaktora

Gdy w 1997 r. przygotowywałem do druku kolejny almanach z „bazarowej” serii – *Bazar 7* – i wybrałem na miejsce jego promocji Teatr im. Stefana Żeromskiego, nadspodziewanie chętnie wyszedł mi naprzeciw dyrektor Piotr Szczerski z zaskakującą literacką propozycją, bym włączył do almanachu jego „krótką powieść” (jak to określił), którą trzymał w szufladzie od 1991 r., pt. *Jamniki są piękne*. Szybko dogadaliśmy się, że będzie to raczej suplement w mniejszym od A5 formacie, z odrębną okładką (zaprojektowała ją żona Irena). I w takiej właśnie postaci ujrzał światło dzienne jego prozatorski tomik, nazwany w odautorskiej notce na 4. str. okładki „kaprysem literackim”.

Oddział ZLP współpracował z teatrem, korzystając z kawiarni na parterze (obecnym pomieszczeniu organizacji widowni), gdzie odbywały się regularnie pamiętne Piątki Literackie z udziałem

aktorów. Bywał na nich dyrektor Szczerski zadowolony, że coś w kieleckim światku artystycznym się dzieje i objawia dość ciekawie (doceniając poziom tych lubianych, tłumnych wieczorów) obok teatralnych spektakli, z których inscenizacje *Procesu* Kafki i *Miłości na Krymie* Mrożka Stanisław Żak uważał za „najlepsze przedstawienia na scenie kieleckiej pod tą dyrekcją” („*SKL*” 1998, nr 3–4, s. 149). Również mnie wyreżyserowany przez Piotra Szczerskiego *Proces* zafascynował inscenizacyjną koncepcją, klimatem stworzonym na scenowidowni, wciągającym widzów w niepojęty labirynt zdarzeń. Doczekaliśmy się potem dobrych inscenizacji sztuk naszych dramaturgów: Andrzeja Lenartowskiego, Jana Krzysztofczyka... Do walorów pisarstwa tego ostatniego przekonywał Marian Pilot, wybitny prozaik, który w roli krytyka przybył specjalnie na jeden z Piątków.

Promocja *Bazaru 7* na małej scenie teatru, połączona z prezentacją malarstwa Elżbiety Musiał, wypadła świetnie. Piotr cieszył się literackimi *Jamnikami*...

Na niedługo przed śmiercią po jakimś spektaklu podszedł do mnie i oznajmił, że swą mikropowieść właśnie umieścił w Internecie... niezmienioną, by przypomnieć o niej czytelnikom oraz poszerzyć ich krąg. I uściśnął mi dłoń z uśmiechem, jak wtedy, przed laty, gdy odbierał ode mnie, wydawcy, pierwszy egzemplarz swojej książeczki.

Stanisław Nyczaj



Wspomnienie o Andrzeju Pedrycu (1955–2015)

Konrad Sutarski

Pożegnanie naukowca i poety

Odszedł człowiek, Polak, ogromnie zasłużony dla węgierskich nauk ogrodniczych, będący także pomostem kulturowym pomiędzy Węgrami a Polską.

Andrzeja Pedryca poznałem w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Zaistniała wtedy w Budapeszcie możliwość dokonywania przekładów tekstów węgierskojęzycznych filmów reklamowych na język polski i nagrywania ich w studio na polskie zamówienia. Organizowałem tę pracę, a potrzebnych było kilka odpowiednich osób. Ktoś zaproponował dokooptowanie Andrzeja. Okazało się, że przybysz zna nie tylko świetnie obydwa języki, ale ma też dobry styl, a przy tym głos jego – ciepły baryton – nadawał się również do nagrań. Pracowaliśmy zatem razem – zwykle wieczorami – dobrych kilka miesięcy, dopóki owa prywatna firma filmowa działała. Już wtedy dowiedziałem się, że Andrzej jest pracownikiem naukowym na Uniwersytecie Ogrodniczym w Budapeszcie, a więc i dla niego, podobnie jak dla mnie, udział w produkcji filmowej był ciekawą, ale uboczną przygodą życiową.

Przygoda ta przekształciła się z biegiem czasu w dobrą i trwałą znajomość. Ponieważ w 1996 roku utworzyliśmy – przy formującej się co dopiero polonijnej samorządności narodowościowej – Forum Twórców Polonijnych na Węgrzech, skupiające nie tylko artystów plastyków, muzyków, pisarzy, czy dziennikarzy, ale i naukowców ze znaczącym już dorobkiem. Zaproponowałem także Andrzejowi członkostwo w tej nieformalnej, ale dostrzegalnie działającej organizacji. W 2006 roku, kiedy ukształtowała się myśl nadania temu skupisku twórców kształtu organizacji działającej także formalnie i utworzyliśmy stowarzyszenie o tej samej nazwie, Andrzeja Pedryca obraliśmy prezesem. Co prawda stowarzyszenie to istniało tylko do 2010 roku, bo nie mogło być prowadzone w sposób tak sformalizowany i rygorystyczny, jak wymagały tego oficjalne i twarde administracyjne przepisy prawne, ponownie przekształcając się w istniejące do dziś nieformalne Forum, ale fakt

wyboru Andrzeja na stanowisko prezesa świadczył o szacunku, jakim osoby skupione w Forum i stanowiące intelektualną elitę węgierskiej Polonii darzyły jego osobę i aktywność.

Andrzej Pedryc urodził się w podkieleckiej miejscowości Zagnańsk w 1955 r. Wykształcenie średnie uzyskał jeszcze w Polsce, w Końskich, natomiast studia odbył na Uniwersytecie Ogrodniczym w Budapeszcie, dokąd przybył w 1974. Studia te ze specjalizacją genetyki i uszlachetniania roślin ukończył w 1980. Pracę na tym samym Uniwersytecie, im. Corvina, w Katedrze Genetyki i Uszlachetniania Roślin rozpoczął w 1983 i pozostał jej wierny aż do końca życia, wspinając się tam stopniowo po szczeblach drabiny naukowej. W 2005 habilitował się i w tym samym roku został kierownikiem katedry. W 2009 uzyskał habilitację wyższego rzędu Węgierskiej Akademii Nauk i tytuł profesora uniwersyteckiego. Na uniwersytecie był też współzałożycielem i kierownikiem studiów doktoranckich na kierunku klasyczna i molekularna genetyka oraz uszlachetnianie roślin ogrodniczych. Spod jego rąk wyszło – zarówno w Katedrze, jak i w Szkole Doktoranckiej – wielu specjalistów. Szczególnie bliską mu tematyką badań były drzewa morelowe, ich wytrzymałość na działanie mrozu oraz badanie ich genotypu przy użyciu molekularnych markerów. Wyniki tych badań doprowadziły do wyhodowania przez niego sześciu nowych gatunków moreli, zatwierdzonych państwowo do powszechnego stosowania. Andrzej Pedryc był też autorem szeregu tomów naukowych i podręczników, jak *Növénygenetika* (Genetyka roślin), współpracował z pismami specjalistycznymi, jak *Kertészeti* (Ogrodnictwo). Był zastępcą prezesa Węgierskiego Związku Uszlachetniaczy Roślin. Prowadził współpracę z szeregiem pokrewnych instytucji zagranicznych, także pozaeuropejskich.

Gdyby komuś tych wszystkich osiągnięć było jeszcze za mało, można dodać, że Andrzej Pedryc – już prywatnie – pasjonował się astronomią, a okazało się też, że błyszczą w nim poza tym talent poetycki. W 2009 roku ukazał się w Polsce tomik jego wierszy: *Ściernisko marzeń*, z którego przytoczę utwór noszący tytuł *Zniknąć ze świata*. Było to niejako wczesne żegnanie się ze światem, czego Andrzej wtedy zapewne jeszcze

nie przeczuwał i nie mógł przewidzieć, iż będzie ono tak szybkie – w pełni sił twórczych, tuż po przekroczeniu sześćdziesiątego roku życia.

Pochowany został w październiku 2015 w Budapeszcie, na cmentarzu Rakoskereszturi, a więc na węgierskiej ziemi, która stała się jego drugą ojczyzną i na której zostawił żonę Węgierkę oraz córki.

Konrad Sutarski

Andrzej Pedryc

Zniknąć ze świata

Zniknąć ze świata,
za drzewo się schować,
twarz do dębowej kory przycisnąć,
dać myślom, ciału barwy ochronne,
chłonąć samotność, jak bańka prysnąć.

Stać niewidzialnym
w tłumie nachalnym,
nie słyszeć szlochu
marzeń wyśmianych.

Nie patrzeć w oczy
porankom pustym,
dniom nieprawdziwym,
kłamstwem zmazanym.

Łykem powietrza i kroplą słońca
dać ciału zbędnemu od życia dystans.
W konarach dębu listkiem zawisnąć
i ciszy pełnym ze świata zniknąć.

Budapeszt, wrzesień 2007

Postscriptum od redaktora

Gdy w 2008 r. wraz z Wawrzyńcem Markiem Rakiem odwiedził swoje strony rodzinne, wystąpił do nas – Oficyny Wydawniczej „STON 2” – z propozycją wydania debiutanckiego tomiku. Pomyślałem, że to nieszkodliwy kaprys liryczny naukowca, poczciwe dziwactwo. Wydawał mi się nawet swoistą abnegacją dla form jakiegokolwiek elegancji w ubiorze, swobodzie bycia, nieco odezwany od rzeczywistości.

Wybrałem ze środka skoroszytu dwa wiersze:

Ktoś ciągle kłamie

Ktoś ciągle kłamie, kiedy mi mówi,
że świat jest dobry i piękny,
bo światło, kolory,
jej uśmiech i szept namiętny...

Dlaczego? Dlaczego,
gdy w ponizeniu do ziemi przygięty
mówi, że ciepła, że miękka,
gdy smołę czarną do ust przyciska?

Bólu się boi czy prawdy nie zna?
Bo ani kłamstwo i ani złuda
nigdy nie będzie
ni piękna, ni bliska.

Budapeszt, styczeń 2007

Świat się zawalił

Świat się zawalił
i żyć nie chce dalej.
Słońce wyłączył,
gwiazdy pozbiarał,
diabły, anioły – na złomowisko.
Księżyc wyrzucił
w studnię ciemności
i Boga zesłał do raj.

A o mnie zapomniał,
samego zostawił
na obcej nicości skraju.

Budapeszt, styczeń 2007

I pozytywnie zaskoczony, przystąpiłem do systematycznej lektury od początku do końca, robiąc notatki, z których potem ułożyłem posłowie. Decydując się na wydanie, poprosiłem Elę Musiał – nie tylko z uwagi na biograficzne związki autora z Końskimi – o zgodę na zamieszczenie w tomiku tych kilku jej obrazów, jakie go zafascynowały. I tak powstała zgrabna i ciekawa książeczka. Wkrótce po wydaniu zadbałem o jej publiczną promocję w koneckiej Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej. Wyłożyłem treść posłowania, wyraził swoje *credo* życiowe oraz poetyckie autor i potoczyła się bardzo przychylna dla niego rozmowa. Otrzymał doping do czegoś więcej, miał pewne literackie zamiary, ale po wahaniach, jakie wyczuwałem w rozmowach telefonicznych, definitywnie na tym jednym

zbiorku poprzestał. Przypuszczam, że zostawił w szufladzie garść wierszy, jakie ktoś kiedyś odkryje i poda do druku.

Oto pełny tekst mojego postawia:

Liryczna struna Andrzeja Pedrycy

Najbardziej kapryśne, przemienne w nastrojach, są wiersze zrodzone z miłości. Naznaczone tęsknotą, „niezapomnianym wspomnieniem”. Uradowane bujnym wykwittem przemożnego uczucia i, znowuż, przenicowane na skroś nieukojonym żalem. Naiwne, aż niekiedy sztubackie w „szkolnych” skojarzeniach (kartek z zeszytu, ołówków) i, gdzie indziej zniecka, wysublimowane aż po wysokie piętra artystycznego wyrafinowania.

Tak Andrzej Pedryc, naprzemiennie, w amplitudach różnych nastrojów, niby bezwładnie, ze szczerością odruchów z odmiennych chwil, układa swoisty kalendarz wrażliwości lirycznego podmiotu. Stawia natrętne pytania i, jakby od niechcenia czy braku przekonania, odpowiada na nie. Niepokojące pytania są tu po stokroć ważniejsze, choć, zda się, upokarzają swą dręczącą intensywnością bądź dławią się po drodze niedopowiedzeniami, znaczone wielokropkami, bez potrzeby znaku-grymasu w postaci pytajnika. Dlatego strofy wierszy miewają nie dość „uczesany” rytm i rym. Rwą się w niby-puentach jak gwałtowny szloch. W konwulsji obsesyjnych nawrotów pamięci. Jakby nieuchronnie pękła nadszarpnięta struna i urwała się melodia.

Tą melodią jest podskórny, głęboki w udęce i zarazem zwyczajnie rzewny sentyment do ukochanej. Odbierze go nieomylnie każdy czuły słuchacz-czytelnik, bo niekłamany, naturalny, prostoduszny. I nie potrzeba mu zadęcia filozofii, której zresztą w tomiku nie brakuje, ale jest dozowana bez wymądrzania się i ucieczek w cytologię czyichś myśli.

Ten tom, zmysłowo i wersyfikacyjnie szorstki, znajduje sublimujące dopełnienie w obrazach Elżbiety Musiał. Autor wybrał jej malarstwo po trosze z mojej podpowiedzi, ale w definitywnym swym zdecydowaniu z jakąś tyleż wyrozumowaną, co i emocjonalną determinacją. Wybrał obrazy malarki będącej też poetką, mającej swoje nieustępliwe porachunki z upływającym czasem i własny sugestywny wdzięk w tropieniu zagwozdek świata.

O, niełatwo będzie temu, kto chcąc pozostać sprawiedliwym wobec tysiąca prawd jednego miłosnego uczucia, zapagnie wywikłać się z niepokojów, w jakie wyposażył autor duszę lirycznego podmiotu! Nieprędko będzie mógł rozstać się z tą książką. Bo ileż w niej momentów zwabiających dotykem sensualnej trafności, to znów wyprowadzających wyobraźnię ku krawędziom lęku, obawy (straty? zapomnienia?), w zgoła abstrakcyjną refleksję, poza ramy poetyckiego obrazu. Ileż tego, niepochwytne dla pokusy jednoznacznego nazwania, jak choćby w wierszu-obsesji *Pytanie* z sierpnia 2007 roku:

...i powiedz mi, miła,
dlaczego jesteś
zmęczonych źrenic
przyjaznym cieniem
w obrazie martwym,
gdzie żyć mi każesz
w nagim istnieniu,
ciepła promieniem.

Stanisław Nyczaj



Obraz Elżbiety Musiał: *Żarna czasu*, z cyklu *Megalithy*, wykorzystany w tomiku





Uta Przyboś podpisuje Władysławi Szproch swoją najnowszą książkę na promocji w DŚT w Kielcach w dn. 28.10.2015
Fot. z archiwum W. Szproch

Prezentowana malarstwem w tym numerze **Uta Przyboś**, jest także poetką, członkinią Kieleckiego Oddziału ZLP, choć mieszka na stałe w Warszawie. Związała się z nami, bo na pamiętnym plenerze w Mąchocicach-Scholasterii (2005) odkryliśmy jej poetycki talent i zadbali staraniem Oficyny Wydawniczej „STON 2” o wyeksponowanie w trzech pierwszych tomikach: *Nad wyraz* (2007), *A tu tak* (2009), *Stopień* (2012). Znalazła uznanie wśród krytyków literackich, czego wyrazem wypowiedź Stefana Jurkowskiego podczas obchodów 30-lecia Oddziału 8 grudnia ubiegłego roku w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Witolda Gombrowicza, zamieszczona w poprzednim numerze „SKL”.

Jej najnowszy liryczny tom pt. *Prosta*, opublikowany w tym roku nakładem szczecińskiego Wydawnictwa Forma, miał swoją warszawską promocję w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza; 28 października br. również kielecką na pięknym i wzruszającym wieczorze poświęconym w części upamiętnieniu 45. rocznicy śmierci Juliana Przybosia. Z niej pochodzi zamieszczone wyżej zdjęcie.

Przytoczyliśmy na nim postowie Piotra Michałowskiego pt. *Ścieżki, ślady, widnokreśli*, rozpoczynające się znamiennym akapitem:

„Uta Przyboś stanowi w poezji polskiej fenomen niezmiernie rzadki: weszła bowiem do literatury, zanim jeszcze zaczęła ją uprawiać samodzielnie i w pełni świadomie. Wydaje się więc spełnieniem podobnym do tego, który projektował Kochanowski swej Urszulce – z tą wszakże różnicą, że w przypadku Jana z Czarnolasu nie mamy żadnych dowodów na talent poetycki małoletniej córki, tu natomiast zachowały się zapisy dziecięcych prób poezjowania, których Uta była współautorką. Wielki prawodawca awangardy tworzył bowiem wspólnie z nią rymowanki stanowiące niejako dwugłos – dialog dorosłego wypracowanego języka poetyckiego z mową dziecięcą. Z interferencji dwóch wyobraźni rodziły się więc próby wspólnych interpretacji świata”.



Uta Przyboś:
Eucharystia



Uta Przyboś, *Droga*